

# kontakt

Monthly magazine edited by members and sympathizers of „Solidarity”

**wybór tekstów**

nr 10-12 1988

ZBIORY OSKODKA KARTA




WYDAWNICTWO  
WYZWOLENIE

# kontakt

Miesięcznik redagowany przez członków i sympatyków „Solidarności”

wybór tekstów

nr 10-12 1988

 WYDAWNICTWO  
WYZWOLENIE

## S P I S   T R E Ś C I

	3	Od Redakcji
Tadeusz Lepkowski	5	O niepodległości, suwerenności i podmiotowości uwag kilka
Exul	15	Uprywatnić instytucje czy uspo- łecznić państwo?
Arkadiusz Pawełek	18	Spotkanie z Brygidy
Lech Bufa	23	Zaćrać stocznię?
Cezary Kaźmierczak	31	Siła bezsilnych i słabość wszechmocnych
Janusz Beksiak	37	List do redakcji
Exul	38	Podwójna rola "Solidarności"
Ernest Skalski	42	Anatomia wyzysku
	58	Lwowskie Orłęta umierają po raz wtóry
Leszek Szaruga	61	Ciało Rosji
Exul	74	Cele i priorytety
Piotr Moszyński	78	1992 czyli Nowa Europa
Maciej Rybiński	90	Europa - między policją i poli- tyką
W. Kosyk	96	Tysiąclecie chrztu a los Ukrainy
Antoni Pawlak	103	Wiersz
Krystyna Grzybowska	104	Rozmowa z Pawoisem Airikianem
Wadim Szerszow	110	Miejsce śmierci - Kuropaty

**N**ajważniejszym problemem politycznym, który staje obecnie przed polskimi działaczami i publicystami wolnościowymi, jest: jak pogodzić bezkompromisowość celów ostatecznych z poczuciem odpowiedzialności za to, co dzieje się teraz? Jak pogodzić dążenie do niepodległości z zadbaniami o niemowlęta?

Ten problem istniał w teorii zawsze, ale katastrofalna sytuacja gospodarcza i biologiczna dzisiejszej Polski uczyniła go paląco bezpośrednim. Konieczne są natychmiastowe działania ratunkowe.

Dlatego przywódcy „S” w kraju, poparci przez grono ludzi o szczególnym autorytecie moralnym i intelektualnym, decydują się na rokowania z rządem PRL. Nie widać wśród nich naiwnych. Wielu jeszcze niedawno siedziało w więzieniach; wszyscy byli przedmiotem ataków partyjnej propagandy. Są świadomi ryzyka, że władza zechce prowadzić rozmowy tylko po to, by dalej tracić czas na zwodząco-nękające manewry. Ale są gotowi do kompromisu.

Istnieje bowiem różnica między ugodą, polegającą na rezygnacji z własnych celów i wartości — a układaniem się z władzą, której obalić natychmiast nie można, po to, aby zadbać o najpilniejsze potrzeby narodu. Tak samo, jak jest różnica między poddaniem się lub zawarciem pokoju na podyktowanych przez wroga warunkach — a rozejmem ustanowionym po to, by zebrać z pola walki rannych a ludności cywilnej dostarczyć żywność.

Sam fakt dążenia do rozmów z przeciwnikiem nie świadczy o rezygnacji. Może świadczyć o poczuciu odpowiedzialności; cenne bywają nawet cząstkowe sukcesy. Hasło „wszystko albo nic” w sytuacji, gdy nie można natychmiast osiągnąć wszystkiego, usprawiedliwia najczęściej niepodjęcie żadnych działań. Nasi koledzy w kraju wykazali już tyle brawury, tyle razy mierzyli siły na zamiary, tyle razy rzucali wyzwanie całemu systemowi komunistycznemu — że wysuwanie pod ich adresem zarzutu kapitulactwa lub manii negocjacyjnej jest wyrazem lekceważenia potrzeb milionów rodaków, które znalazły się na krawędzi nędzy i rozpacz.

My, emigranci polityczni, mamy obowiązek stale zadawać sobie pytania: jak z bezpiecznego oddalenia brać udział w krajowym życiu

politycznym? Jak uczestniczyć, kiedy się jest pozbawionym bezpieczeństwa przeżyć i pełnej informacji?

Są to pytania, na które nie ma nigdy pewnej odpowiedzi. Ale doświadczenia przeszłości i świadomość, że nam tutaj łatwiej o pryncypializm — nakazują przyjęcie paru doraźnych dyrektyw. Powinniśmy więc:

● zachować skromność wobec tych, którzy są tam, w pierwszej linii frontu;

● korzystając z dystansu dbać o maksymalną rzeczowość i bezstronność analizy;

● okazywać wstępną ufność tym, którzy już się sprawdzili w działaniu — nawet wówczas, kiedy nie rozumiemy do końca ich decyzji;

● starać się o własne możliwie najpełniejsze poinformowanie o wydarzeniach i decyzjach, o których się wypowiadamy;

● śledzić międzynarodowe uwarunkowania i echa tego, co się dzieje w Polsce.

REDAKCJA

## FILMY VIDEO-KONTAKTU

I JÓZEF PIŁSUDSKI  
L Portret Marszałka wydobyty z archiwów filmowych

M KULTURA  
Y Spotkanie w Maisons-Laffitte

V KOR  
I Dzieje Komitetu Obrony Robotników

D PIWNICA POD BARANAMI  
E Wieczór w krakowskim kabarecie  
O oraz

K 17 innych tytułów  
O o różnej tematyce:

T historycznej, politycznej, społecznej, kulturalnej  
A do nabycia na zamówienie telefoniczne lub listowne

K **video** 42, rue Raymond Marcheron  
T **kontakt** 92170 VANVES, FRANCE  
U tel. (1) 46.45.87.16

(dla zainteresowanych bezpłatny katalog)

# O niepodległości, suwerenności i podmiotowości

uwag kilka

Tadeusz Łepkowski

Od dobrych kilkunastu miesięcy narasta, ostatnio w przyspieszonym tempie, istny szal historyczno-publicystyczny związany z rocznicą odzyskania przez Polskę w 1918r. niepodległości. Szum i szal wyraża się nie tylko w piśmie, druku i żywej mowie, lecz również w śpiewie, bo przecież „Gałązka rozmarynu”... Zapewniam, że późną jesienią 1988r. i w następnych miesiącach (poślizgi) będzie znacznie gorzej. Nie można wykluczyć, że wszyscy będą już tego mieli szczerze dosyć. Władza zechce zapewne, abyśmy dostali niestrawności od „przejedzenia patriotyzmem”. To jest niezła metoda. Tym silniej winien zabrzmieć głos niezależnej nauki i publicystyki.

Siedemdziesięciolecie

Zbliżająca się „okrągła rocznica” narzuca pewne reguły publicystyce, socjotechnice, ale i nauce (może lepiej popularyzacji wiedzy). Wszystko kręci się wokół listopada 1918 roku i wokół sprawy polskiej w czasie I wojny światowej.

Ponieważ władza (oraz od niej zależne ośrodki propagandy i historycznej nauki stosowanej) odsłoniła zamilczane i/lub zakłamate nazwiska (uczyniła to z własnej i nie przymuszonej woli – jak sama głosi – i niech już jej tam będzie, skoro tak bardzo jest łasa na inicjatywność i „wiodącą rolę” we wszystkich dziedzinach życia społecznego i politycznego), to będzie się cytować i wychwalać tam i z powrotem Piłsudskiego i Dmowskiego, Paderewskiego i Korfantego, Rydza-Śmigłego i Dowbor-Muśnickiego, będzie się wspominać stale i łącznie

Pierwszą Brygadę i peowiaków, tych z Legionu Pułaskiego i z „błękitnej armii”, bo wszak wszyscy dobrze się zasłużyli sprawie niepodległości. Będą reedycje pism ludzi przez długie lata PRL-u potępianych, łzonych i oblewanych pomyjami, odnowi się pomniki i tablice pamiątkowe, na nowo wprowadzi Kostiuchnowkę na listę nazw pól bitewnych przy Grobie Nieznanego Żołnierza, a przywódcy komunistyczni składać będą wieniec od narodu legionom, hallerczykom i Orłętom Lwowskim. No i dobrze!

Powiedzmy sobie jasno: im więcej prawdy, tym jaśniej. Idzie wszak o to, by prawda była, po pierwsze, cała i nie okrojona, oraz po wtóre, powszechnie dostępna. Oby granie na szlachetnych emocjach nie przysłoniło rzeczy ważnych, oby ludzie zdawali sobie sprawę z tego, iż uroczyste wieloślowie może służyć pominięciu czegoś pozornie drobnego, bez czego jednak prawdy całej już się nie odnajdzie.

Są tacy, co sądzą, że wsparci przez radzieckich aktywistów pieriestrojki decydenci polscy pozwolą może na publiczne śpiewanie *lance do boju, szable w dłoń, bolszewika goń, goń, goń*, a nawet – kto wie – pozwolą przywrócić, nigdy zresztą nie uchyloną oficjalnie, nazwę naszej stołecznej uczelni, która brzmi „Uniwersytet Warszawski im. Józefa Piłsudskiego”. A gdyby tak było, to co, współistniałby nadwiślański uniwersytet Piłsudskiego i nadodrzański Bieruta? I tego całkiem wykluczyć się nie da. W Polsce bowiem wszystko zdarzyć się może.

### Co przynieść mogą obchody rocznicowe?

Pytanie to można by sformułować inaczej: co mogą przynieść w sferze naukowej (i w sferze świadomości narodowej) obchody rocznicowe, sprowadzone do skróconej perspektywy czasowej lat 1914-1918? Otóż niewiele. To, co ciekawe, da się wyśledzić i ukazać jedynie w optyce długiego trwania. Takie podejście jest również płodne, gdy się rozpatruje sprawę niepodległości. Przy założeniu, że władze i związanych z nimi historyków i dziennikarzy interesują tylko wydarzenia 1918r. i błysk momentu odzyskania niepodległości, można łatwo przewidzieć, iż dorzuci się jakieś drobiazgi – może nawet ciekawe – o ówczesnych „dwóch orientacjach”, o Piłsudskim i Dmowskim, o tzw. wkładzie różnych nurtów i ugrupowań politycznych w dzieło odrodzenia niepodległego państwa. Niewiele więcej.

Można mieć nadzieję, ale już znacznie mniejszą, na dalsze



*Manifestacja studentów KUL w Lublinie wiosną br.*

wyjaśnienia i nowe interpretacje sprawy ważnej, a nie całkiem zbadanej: jak to się właściwie stało, że po pięcioleciu daleko idącej utraty nadziei narodowych i niepodległościowych (1910-1914) nastąpiła potężna patriotyczna eksplozja lat 1916-1918, a nawet 1916-1921?

Powiedzmy sobie wyraźnie, że kilka dobrych lat przed strzałami w Sarajewie ze sprawą polską i samowiedzą narodową bardzo wielu Polaków rzecz się miała raczej źle. Postępowała germanizacja Wielkopolski, a strajki szkolne zakończyły się bardzo bolesną przegraną. W zaborze rosyjskim przegrana rewolucji 1905-1907r. oznaczała dla wielu koniec wielkich nadziei. Na miejsce narodowo-niepodległościowych marzeń o wspólnym z rewolucjonistami rosyjskimi zwycięstwie i utworzeniu demokratycznego i socjalnego, wielonarodowego państwa rewolucyjnego proletariatu, przyszło przystosowanie, umocnienie dziesiątkami lat carskiej „edukacji” i podporządkowania rosyjskiej władzy. W 1914r. dla bardzo wielu Polaków naprawdę żołnierz rosyjski, to był żołnierz „nasz”. Nie odnotowano jako zjawiska widocznego, nie mówię już masowego, znacznieszego oporu wobec mobilizacji do trzech armii zaborczych. Natomiast trzy, cztery lata później wszyscy już pragnęli niepodległej Polski, wielu zaś gotowych było oddać za nią życie w walce z tak niedawno „naszymi” żołnierzami.

Łatwo zauważyć, jak często mówi się i pisze w PRL o germanizacji, a jak półgębkiem i rzadko o rუსyfikacji, o jej



mechanizmach, długotrwałych prawidłowościach historycznych i słabo nieraz zauważalnych, trucicielskich osiągnięciach. Tak, mówi się rzadko, gdyż doktrynerzy nie lubią porównać zjawisk z różnych ustrojów, mówi się rzadko, gdyż fenomen rusyfikacji jest aktualny, tyle że w nowym kostiumie i w ramach „światowego systemu socjalistycznego”! W perspektywie krótkiego, kilkuletniego trwania można nawet o rusyfikacji nie wspominać, w obrębie wieków całych tego zrobić się nie da. Na szersze oświetlenie tej sprawy w toku obchodów rocznicowych nie ma więc co liczyć. Podobnie nie ma co liczyć na głębsze przedstawienie sprawy daleko idącego niezrozumienia i przeciwstawienia się przez radykalną lewicę polską (SDKPiL i PPS-Lewica) błyskawicznemu i masowemu odrodzeniu narodo-patriotycznemu. Polityczna marginalizacja w życiu polskim nurtu komunistycznego (a także automarginalizacja, i to jakże uparta!), tak ważnego jeszcze 12 lat przed listopadem 1918r., to rzecz ultra ważna, ciągnąca się wszak w pewnej mierze do dziś. „Oni” (*establishment*) jeszcze dziś stanowią, w mniejszym lub większym stopniu, część zarówno elit politycznych PRL-u, jak elit „nad-ojczyzny” – czyli ZSRR. Kominternowskie pojęcie ojczyzny światowego proletariatu, pierwszego w świecie państwa socjalistycznego i pierwszego „socjalistycznego mocarstwa”, nie całkiem umarło wraz z weteranami, Kominternem i Stalinem, i umrzeć nie mogło, skoro wciąż istnieje wielkie rosyjskie imperium.

A więc nie miejmy zbyt wielkich nadziei na to, co opublikuje się w jesieni 1988r. i nieco później. Mam tu oczywiście na myśli pokłosie rocznicografii, a także rocznicofonii i rocznicowizji. Coś większego da się wyciągnąć i wycisnąć z rocznicy przy rozpatrywaniu zagadnień z szerszej perspektywy, nie inaczej. To zaś oznacza rozległy horyzont czasowy i problemowo-syntetyczny sposób myślenia, czyli myśl niezależną.

### Zależność a niepodległość

Sprawa niepodległości polskiej trwa już lat 270, od 1717r., jeśli ktoś chce koniecznie stać na twardym gruncie dat, a ponad 270 gdy się przyjmie, a tak trzeba, że od przełomu XVII i XVIII w. Polska była już państwem o wyraźnie ograniczonej suwerenności. Lecz ów brak niepodległości, lub niepodległość niemal bez przerwy cząstkowa, kontrolowana czy koncesjonowana, to sprawa całej epoki zależności, totalnej i wszechogarniającej (ani śladu niepodległości) lub ograniczonej, raz głównie ekonomicznej, drugi raz – politycznej lub kulturo-

wo-obyczajowej. Pisałem już kilkakrotnie o straszliwym, zatrutym systemie sprzężenia zwrotnego dominacja-zależność, w który trwale uplątana jest Polska. Ośrodek dominujący zmieniał się, choć od początku XIX w. była nim właściwie Rosja (może z przerwą na okres od około 1870 do 1890, kiedy zarysowała się przejściowo w Europie wyraźna preponderancja Niemiec); zmieniał się też charakter dominacji. Zatruty i podstępny charakter zależności polegał (i polega) na tym, że „uzależnieni Polacy” w niemałym stopniu tracą nadzieję, przystosowują się, nie widzą możliwości przeciwstawienia się presji potężnego centrum systemu zależności. Walka o niepodległość – to ważne – stanowi walkę z duchowym, społecznym i narodowym paralizem. Nawet jeśli nie ma szans na bliski sukces, to sama walka, kontestacja, sprzeciw, działanie, szukanie wyjścia w sytuacji bez wyjścia, przynosi nadzieję na przetrwanie i zwycięstwo, choćby cząstkowe, a więc na rozluźnienie zależności.

Gdy zatem mówimy „niepodległość Polski” i umieszczamy ją w perspektywie długiego trwania, musimy jednocześnie mówić o typie zależności, jaki trzeba obalić, aby owa niepodległość stała się faktem. Od typu i „intensywności” zależności zależy droga do niepodległości. W niektórych okolicznościach osłabienie ograniczonej zależności daje szansę na prawie niepodległość. Przy analizie historii Polski zależnej okaże się, że niepodległość integralna i „totalna” bywa odrzucana przez znaczną część, a nawet większość narodu politycznego, ukształtowanego w warunkach zależności. Tak było około 1820r. w Królestwie Polskim, tak było w 1905-1907r., tak wreszcie było w 1980-1981r., kiedy głoszono w „Solidarności” niepodległość narodu w półzależnym państwie i krytykowano niepodległościową zasadniczość KPN za jej narodowy utopizm, czad staromodnego nacjonalizmu, a nawet szkodliwe awanturnictwo polityczne.

### Suwerenność stadialna

Niepodległość w czasach współczesnych ma, jako pojęcie – treść, zawartość dość skromną (więcej chyba znaczy mało dziś używany wyraz „niezawisłość”). Mamy w ONZ grubo ponad setkę państw niepodległych, choć wiemy, że rzeczywista niezależność wielu z nich, to zupełna fikcja. Ale wszystkie one (lub prawie) mają – tak jak PRL – rząd centralny, lepiej lub gorzej administrujący krajem o wytyczonych granicach oraz społeczeństwem zamieszkującym terytorium państwa, uznany

międzynarodowo, posiadają siłę zbrojną, sztandar, godło i hymn. W tym rozumieniu zarówno Rzeczpospolita w dobie Stanisława Augusta (poza okresem 1788-1792, kiedy była nie tylko niepodległa, ale i w pełni suwerenna), jak i PRL, są niewątpliwie państwami niepodległymi. Nawet Królestwo Polskie lat 1815-1830 miało większość cech państwa niepodległego. A więc byliśmy niepodlegli do 1795r., prawie niepodlegli w latach 1807-1830, niepodlegli w dobie powstania 1830-1831r., a także od 1918r. do dziś.

A jednak dawniej Polacy dobrze się orientowali (dziś – skołowani propagandą i indoktrynacją – nieco mniej), że niepodległość nie jest równa niepodległości. W roku 1787 panował ten sam król, co w roku 1791. Polska była formalnie tak samo niepodległa w obu wymienionych latach. Ale przecież nie jest dziełem przypadku, że dopiero w tekście Konstytucji 3 maja, na samym już początku, pisze się „wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów, ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą egzystencję polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu (...) niniejszą Konstytucję uchwalamy...” (podkr. moje – T.Ł.). Nie używając słowa „suwerenność”, choć ono było by tu bardziej na miejscu, piszą o niej. Piszą, że w 1791r. są „wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów” (to aluzja do czasów „niepodległości zależnej”, w znacznej mierze formalnej), a więc suwerenni. A suwerenność, to całkowita niepodległość zewnętrzna i zupełna wolność wewnętrzna.

A wczoraj i dziś? Czyż jest przypadkiem, że w jesieni 1956r. jednym ze słów najświętszych, ale i najmodniejszych, była „suwerenność” (według znanego ówczesnego dowcipu, Gomułka miał opublikować drobne ogłoszenie: „zamienię suwerenność na lepsze położenie geograficzne”), że wspomniano o wyzysku ekonomicznym w nawiązaniu do sprawy wywozu węgla (to też „hańbiące obcej przemocy nakazy”), że wymuszono umowę o „tymczasowym” stacjonowaniu (to ulubione słowo w imperialnym języku ZSRR, określające okupacyjną obecność oddziałów Armii Czerwonej na obcych terytoriach) kontyngentów radzieckich w Polsce. Czyż możliwe jest istnienie w rzeczywistości niepodległym i suwerennym kraju organizacji niepodległościowych (od WiN-u do KPN, ponad wszystkimi występującymi różnicami ideowymi)? Nie wydaje się ważne tradycyjne słowo „niepodległościowe”, zamiast nie używanego – acz bardziej adekwatnego do sytuacji – słowa „suwerennościowe”. Gdy w kościołach śpiewa się „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!”, ma się na myśli

zarówno suwerenność wewnętrzną („wolność wewnętrzną narodu”), jak samodzielność zewnętrzną, możliwość podejmowania samodzielnie, w Polsce, najważniejszych decyzji dotyczących losów narodu i jego państwa.

Władze państw nie w pełni suwerennych lub – po Breżniewowsku – „o ograniczonej suwerenności” dość często uzasadniają w propagandzie państwowej naturalność i uzasadniony charakter suwerenności ograniczonej. Oczywiście, że podobnie mówią rzecznicy państwa dominującego (zawsze jego działanie, to pomoc lub opieka nad narodami niedojrzałymi do niepodległości suwerennej). Naczelne władze PRL również od czasu do czasu do tej sprawy nawiązują. Po pierwsze, podkreślają z nerwowym naciskiem, że istotne decyzje zapadają w Polsce (np. osławiona „suwerenna decyzja”, to wprowadzenie stanu wojennego własnymi rękami!). Po wtóre, stwierdzają (w sprzeczności z „po pierwsze,!”), że w ramach międzynarodowej współzależności u schyłku XX wieku wszystkie prawie państwa pozbawione są jakiejś części swej suwerenności, na rzecz tzw. społeczności międzynarodowej. Co „odważniejsi” z establishmentu i środowisk uzależnionych utrzymują, że przecież tylko ZSRR i USA (może jeszcze Chiny) są państwami w pełni suwerennymi. Ma to służyć tezie, że wprawdzie Polska (we własnym interesie, oczywiście) zrzuca się części swej suwerenności na rzecz przyjaciół w ramach międzynarodowej wspólnoty bratnich państw i narodów, lecz że Francja też nie jest w pełni suwerenna, ale „gorzej” niesuwerenna, bo zależna w ważnych sprawach zarówno od Wspólnoty Europejskiej, jak od USA, i to nie z własnej chęci, a przy tym ma do czynienia z hegemonem imperialistycznym, nie zaś międzynarodowym (wojska radzieckie, przebywające czasowo za granicą, zawsze przychodzą z pomocą, wysyłane w międzynarodowej misji obrony interesu bratniego ludu, na prośbę jego rewolucyjnego rządu; wojska amerykańskie stacjonują za granicą lub interwenują jako agresorzy w brudnych konfliktach przeciw narodom, na rozpaczliwe wezwanie marionetkowych rządów). Łatwo wykazać, że Polacy, odrzucający wspomnianą demagogiczną ekwilibrystykę, zawsze wołają niepełną suwerenność Francji, niż niepełną suwerenność PRL.

Czy odrodzona w 1918r. Polska międzywojenna była w pełni suwerenna? Tak, była nią, acz w niektórych sprawach jej suwerenność ograniczały postanowienia międzynarodowe (np. uprawnienia mniejszości narodowych). Czy wyzwoliła się z zależności? Nie w pełni. Pozostała m.in., acz ograniczona, zależność ekonomiczna.

Powróćmy wszakże do problemu stadialności, czy – jak kto woli – z różnych stron ograniczanej suwerenności. I w XIX wieku, i – jeszcze bardziej – w XX stuleciu układy międzynarodowe i wielostronne umowy międzypaństwowe, a także tworzenie się biegunów hegemonii i dominacji, sprawiały, że suwerenność (w powszechnym ususie polskim – raczej niepodległość) w sensie totalnym pozostawała celem, nie zaś czymś dotykalnie rzeczywistym. Normalnie bywała ona ograniczana.

We współczesnym świecie, zmniejszonym i pod względem regionalnym współzależnym, w tym świecie skazanym na postępującą jedność, jeśli nie wręcz integrację, narody nadal pragną mieć we własnym ręku zasadnicze decyzje, chcą być suwerenne jako wspólnoty narodowe i jako państwa. Nie sądzę wszakże, by unie i wspólnoty miały pozostawić suwerenność w lamusie historii, a narody złożyć na cmentarzu niedojrzałej ludzkości.

Nieradykalne odłamy opozycji w PRL godziły i godzą się na określone ograniczenia suwerenności, nie rezygnując wszakże z celu finalnego – pełnej suwerenności w ramach uzgodnionej współzależności międzynarodowej. Ta zgoda, biorąc pod uwagę okoliczności geopolityczne, na obecne ograniczenie suwerenności zewnętrznej, zakłada konieczność osiągnięcia tego, co określamy jako suwerenność wewnętrzną lub suwerenność narodu. Innymi słowy, biorąc pod względem dobro wspólne osiągalne w danych okolicznościach międzynarodowych oraz interes dysponującej przemocą władzy państwowej i jej bezpośredniego społecznego zaplecza (aparatu, klientela, rodziny i część społeczeństwa, którą nazwać by można „warstwą przystosowaną” lub „pasywem narodowym”), polski niezależny naród polityczny darowuje część suwerenności swym formalnym reprezentantom, czyli rządzącym.

### **Podmiot i przedmiot**

Niezależnie od rozważań o niepodległości, suwerenności, zdominowaniu, niewoli i zależności, można i trzeba mówić o Polsce państwowej i bezpieczeństwa, czyli o narodzie polskim, jako o podmiocie lub przedmiocie polityki międzynarodowej lub więcej – dziejów. Wymienione pojęcia (niepodległość, suwerenność-podmiotowość, zależność, niewola-przedmiotowość) są bliskoznaczne w perspektywie historyczno-politycznej, lecz przecież nie jednoznaczne. Bardzo oczywiste jest to,

że niepodległa PRL ma ograniczoną suwerenność i stanowi raczej przedmiot niż podmiot polityki międzynarodowej. Oczywiście, jest to uproszczenie w tym sensie, że w pewnych okolicznościach, a nawet na zlecenie, PRL może odgrywać rolę prawie podmiotu, czegoś na kształt „przedmiotu podmiotopodobnego” (Gierek – Giscard d’Estaing – Breżniew).

Odrodzona Rzeczpospolita w latach 1918-1939 była – jak już wspominałem – państwem w pełni suwerennym. Nie oznacza to wszakże, że pozostawała cały czas podmiotem polityki międzynarodowej. W wielu aspektach Polska odradzająca się w latach 1918-1921 była państwem uzależnionym od decyzji zwycięskiej Ententy, a więc stanowiła podmiot ograniczony, jak wszystkie mniejsze państwa zwycięskiej koalicji.

Jeśli nawet przyjmijemy, że w latach 1922-1938 Polska była w pełni podmiotem w polityce, że „robiła historię”, to tylko w wydzielonej strefie Europy Środkowo-Wschodniej. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro pozostawała – w niezgodzie z ambicjami mocarstwowymi sanacji – państwem średnim.

Swą podmiotowość utraciła wszakże latem 1939r., kiedy o jej losach decydować miały dwa sprzymierzone na krótko, totalitarne mocarstwa, III Rzesza i ZSRR – rozbiornicy Polski w 1939r. Swoim suwerennym uporem i odporem stawianym agresji, Rzeczpospolita zmusiła jednak Wielką Brytanię i Francję do wejścia do wojny, co przyczynić się miało po ponad 5 latach do unicestwienia hitlerowskich Niemiec. Ale ta przysługa wyświadczona Europie i światu nie została przez Europę i świat doceniona. Przez całą II wojnę światową Polska pozostawała przedmiotem w stosunkach międzynarodowych, choć chętnie powtarzano, że jest „natchnieniem narodów”. Z woli wielkich mocarstw pozostała przedmiotem również po roku 1945.

Co dalej?

Na długiej taśmie czasu międzywojenna niepodległość, której odzyskanie chcimy, stanowiła wyjątek. Od lat prawie 300 Polska bywała (i jest) formalnie niepodległa, zgoła efemerycznie stawała się w pełni suwerenna, a podmiot w dziejach powszechnych też stanowiła rzadko. Nie oznacza to bynajmniej przyjęcia do wiadomości istnienia historycznego fatum zależności. Splot dominacja-zależność należy cierpliwie rozplątywać i to od dwóch końców. Trzeba budować maksimum niezależności wewnętrznej narodu i skłaniać władzę do maksy-

malnego rozszerzania marginesu niezależności zewnętrznej. Patrząc od strony hegemonu, powinno się umieć wykorzystać wszelkie – obecnie bardzo wyraźnie widoczne – zmiany „rozluźniające” w ZSRR. Trzeba to wszakże czynić na trzeźwo. Trzeba patrzeć na ewolucję wielkiego sąsiada baczny i chłodnym okiem.

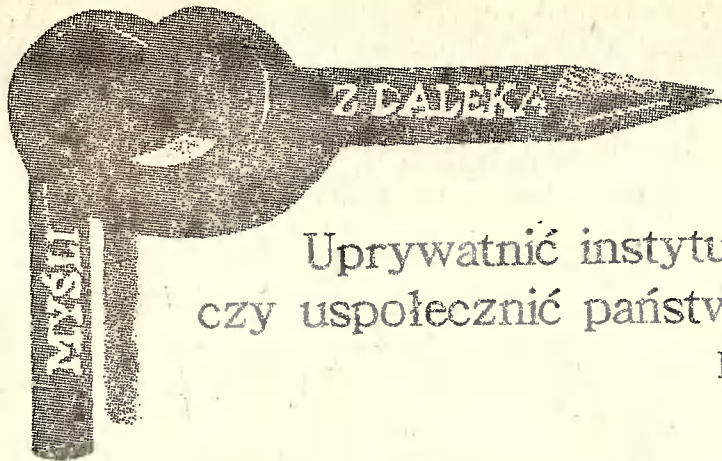
Pieriestrojka nie zmieniła istoty ekspansjonizmu radzieckiego, a zwłaszcza państwowego nacjonalizmu rosyjskiego o dawnych, smutnej sławy tradycjach. Nawet w wątpliwym wypadku rychłego rozkładu imperium, odzyskiwać suwerenność i podmiotowość można będzie tylko stopniowo, wrywając je od centrum dominacji „po kawałku”. Nie da się żadną miarą pomyśleć powtórka z historii w postaci jakiegoś nowego roku 1920. Trzeba nam zatem wiele cierpliwości i stanowczości.

\*\*\*

Władzy zależy na szumnych obchodach siedemdziesięciolecia odzyskania niepodległości („oni” – niby sprytnie – wolą mówić 70-lecie Niepodległości, bo rzekomo ona trwa nieprzerwanie i niezmiennie od 1918 z małą przerwą na lata 1939-1944). Będzie w tych celebracjach wiele rzeczy dla społeczeństwa pożytecznych, umacniających patriotyzm i daleką od szowinizmu dumę narodową. Jednego zabraknie z pewnością: powiedzenia zgodnie z prawdą, że bez obalenia trwającej już prawie pół wieku zależności od ZSRR, nie może być Polski suwerennej, że po 1918 mieliśmy niepodległość suwerenną, a po 1944r. staliśmy się państwem niepodległym o silnie ograniczonej suwerenności i statusie przedmiotu w stosunkach międzynarodowych. Zachowaliśmy jednak, dzięki istnieniu II Rzeczypospolitej i dzięki naszym wysiłkom w czasach PRL, znaczny zakres niepodległości duchowej, tożsamość kulturową i sporo elementów suwerenności wewnętrznej. W tym nasza siła i nadzieja.

5 lipca 1988r.

Tadeusz LEPKOWSKI



## Uprywatnić instytucje czy uspołecznic państwo?

Exul

Nadeszła ostatnio z Polski wiadomość o projekcie utworzenia prywatnych szkół, opłacanych przez rodziców. Już od wielu miesięcy dyskutuje się tam o potrzebie wprowadzenia częściowej odpłatności za leczenie ubezpieczonych i o możliwości prywatnego lecznictwa. Są to najsilniejsze sygnały świadczące, że państwo, oficjalnie „ludowym” zwane, przestało wypełniać swoje zadeklarowane w konstytucji obowiązki.

Nic dziwnego, że coraz liczniejsze i donośniejsze stają się wezwania do prywatyzacji, do przejmowania we własne ręce obywateli tych zadań, do których wykonywania powołane były instytucje użyteczności publicznej. Jest to zrozumiała reakcja na kryzys tych instytucji, analogiczna do tego, co żywołowo dzieje się w sferze i myśli, i praktyki gospodarczej. Ekonomia oparta na centralnym planowaniu, nakazach i przydziałach — zawiodła na całej linii. Sektor państwowy okazał się z natury (a nie z powodu jakichś popełnionych błędów) niewydolny, funkcjonujący według swoistej „logiki”, sprzecznej nie tylko z regułami gospodarki rynkowej, ale z samym celem działalności gospodarczej, którym jest zaspokajanie potrzeb konsumentów, nie zaś wypełnianie jakichś tam planów. (Zgrabnie opisuje tę prawidłowość wydana niedawno w Angli i USA książka Jana Winieckiego „The Distorted World of Soviet-Type Economies”).

Twierdzenie, że system ekonomiczny, zbudowany tak ogromnym kosztem w krajach realnego socjalizmu, nie zdał egzaminu — stało się już banałem, poświadczonym podpisem Gorbaczowa. Czy niczym nie krępowana gra sił rynkowych jest jego najlepszą alternatywą i czy w którymkolwiek z krajów wysokorozwiniętych taka gra się toczy — to inna sprawa. Nie można się dziwić krajowym entuzja-



stom kapitalistycznego liberalizmu, że idealizują imponujący sprawnością i dobrobytem Zachód; trzeba im jednak zwracać uwagę, do jakiego stopnia ingerencja centralnych władz państwowych w Japonii czy RFN wpływa na wydajność gospodarczą tych krajów; i w jakiej mierze ujemny bilans budżetu państwowego USA odbija się na światowych skokach kursów walut. Nie są to zjawiska wolnego rynku.

Wróćmy jednak do państwa, które nie spełnia swoich obowiązków w dziedzinach nie-gospodarczych, takich jak leczenie, oświata, nauka, kultura. Czy odpowiednim środkiem zaradczym jest po prostu – zwalnianie państwa z tych obowiązków?

Nasze powojenne polskie losy odczyły nas patrzeć na państwo jak na to, czym być ono powinno: siecią instytucji usługowych dla narodu. Wytrenowano nas ostrymi metodami, by myśleć o państwie, jako groźnej i autonomicznej strukturze, ponoszącej wobec społeczeństwa różne ofiary, na przykład dotacje do cen żywności. Państwo ludowe twierdziło, że się dla społeczeństwa poświęca, a więc może wymagać lojalności i posłuszeństwa. Fakt narzucenia nam obcego ustroju, wyobcowanie systemu władzy, stałe przeciwstawianie „my – oni”, kojarzenie aparatu państwowego przede wszystkim z przynusem i represją – sprawiły, że Polacy przyzwyczaili się czuć, że Państwo to coś, czemu są zmuszeni służyć. Nie trzeba być liberałem, aby uznać, że jest to stawianie rzeczy na głowie. Państwo jest od tego, by służyło swoim obywatelom.

Odruch, by machnąć ręką na to nicmiłe nam, źle rządzone i niesprawne państwo, jest całkiem naturalny. Także i z powodu zrozumiałej niecierpliwości: wiemy, że wiele rzeczy szybciej zrobimy sami, niż je wydełbimy od administracji. Tak samo reaguje matka, kiedy znużona wzywaniem dziecka do zrobienia porządku w zabawkach sama je w końcu układa. Ale rezygnowanie z wymagań pod adresem państwa jest nie tylko niepedagogiczne: jest rezygnacją z naszych podstawowych praw. Pierwszą reakcją na niespełnianie przez instytucje użyteczności publicznej tych funkcji, dla których zostały utworzone – powinny być naciski roszczeniowe. Tak się dzieje w ustrojach demokratycznych: niedomogi w dziedzinie świadczeń publicznych wywołują z reguły porażkę wyborczą rządzącej partii. Nie umiecie zaspokoić naszych potrzeb – zmieniamy was.

Jeżeli zamiast uspokajać państwo, tj. poddawać jego decyzje i funkcjonowanie kontroli i uczulać na społeczne potrzeby, będziemy nu odbierać pieczę nad sferami, którymi się źle zajmuje – musimy się liczyć z rozmaitymi skutkami tej decyzji. Instytucje użyteczności publicznej zostały utworzone po to, by przyczynić się do wyrównania szans życiowych obywateli, to jest pomóc słabszym. Zastępując te instytucje likwidujemy także ich przewidzianą rolę społeczną – jako narzędzi równouprawnienia.

Uprywatnienie szkolnictwa czy lecznictwa pociąga za sobą nieuchronnie pogłębienie przedziałów społecznych. Wiemy, że ubiegłe siedem lat było w Polsce okresem gwałtownego rośnięcia różnic w poziomie życia. Poprawić stan szkoły przez jej uprywatnienie jest zabiegiem dość prostym i szybkim – ale korzyść z niego odnosią tylko ci, których na to stać. Podobnie wprowadzenie jako reguły opłat za leczenie (mimo, że wszyscy płacą składki ubezpieczeniowe) odbije się na zdrowiu najuboższych, a więc tych, którzy i tak mają statystycznie największe szanse chorowania.

Płacąc podatki obywatele mają prawo oczekiwać, że coś zostanie w zamian dla nich zrobione. We współczesnych państwach Europy to „coś” obejmuje powszechny dostęp do przyzwoitej oświaty i lecznictwa. Przekazanie tych dziedzin w prywatne ręce przeniesie je w sferę poddaną prawom popytu i podaży, konkurencji i zysku. Zwielokrotni natychmiast skutki nierówności ekonomicznych, wytwarzanych przez gospodarkę wolnorynkową: ci, którzy będą mieli więcej pieniędzy, będą też mieli dostęp do innych szkół i innych szpitali. Wrócimy do XIX wieku.

W różnych krajach różny jest podział odpowiedzialności za zagospodarzenie sfery życia zbiorowego. Jednakże ogólne doświadczenie mówi, że tam, gdzie sferami pozaekonomicznymi (tj. nie dotyczącymi wytwarzania towarów) rządzi ekonomia, tam te sfery cierpią. Przykładami mogą być zarówno nauka jak i sztuka: jeżeli brakuje funduszy na nie przynoszące żadnych zysków badania podstawowe, albo dziedziny historyczno-humanistyczne – upada poziom całej nauki i technologii; jeżeli teatr, muzykę czy wydawnictwa oprze się w pełni na zasadach komercyjnych – rozprzestrzenia się kicz.

Może najbardziej szkodliwym na dłuższą metę zaniedbaniem PRL jest dopuszczenie do dewastacji środowiska naturalnego. Ten fakt, ściśle związany ze zdrowotnością obywateli, jest koronnym przykładem, że państwa w wypełnianiu niektórych pozaekonomicznych obowiązków nikt i nic nie zastąpi. Żadna, na największą nawet skalę, prywatna inicjatywa nie zorganizuje oczyszczania wód na terenie kraju. Może je jednak – wymusić.

Dlatego słuszne wydaje mi się tworzenie takich organizacji, jak powstała niedawno Polska Partia Ekologiczna. Stawia sobie ona za zadanie zmuszenie państwa, by wywiązało się ze swoich obowiązków. Bo pewne obowiązki wobec społeczeństwa mogą spełniać tylko ogólnokrajowe instytucje, poddane kontroli całej zbiorowości.

A więc: uprywatnijmy to, co się przez swój charakter i skalę do uprywatnienia nadaje, przede wszystkim – ludzką przedsiębiorczość; ale równocześnie uspołecznijmy państwo, by służyło naszym potrzebom.

EXUL

# Spotkanie u Brygidy

Arkadiusz Pawełek

Dziedzinec gdańskiego kościoła św. Brygidy nabitý jest ludźmi. Jeszcze dwie, trzy godziny temu było tam spokojnie, choć w jednej z sal katechetycznych odbywała się pierwsza po sierpniowym strajku konferencja prasowa Lecha Wałęsy. Przewodniczący Związku był w wyśmienitej formie, dziennikarze – niezbyt ciekawscy. Wałęsa uzasadniał sens swoich poprzednich posunięć. Tłumaczył konieczność przerwania strajków i podjęcia rozmów z generałem Kiszczakiem. Miał już wprawę. Kilka dni wcześniej musiał wytłumaczyć swoją decyzję tym, którzy w następnych godzinach wypełnią kościelne podwórze.

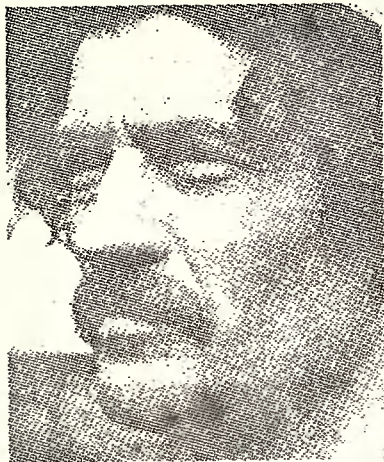
Andrzej mówi, że nie lubi pracować w Stoczni Północnej. Zarobki jakie takie, perpsketyw żadnych, a jeszcze dyrekcja wyrzuca jego kolegów za udział w strajku, straszy cięciem zarobków, powołaniem do wojska. Wyrzucono 39, a teraz nie można się o nich upomnieć, to gdzie, do cholery, ta nasza solidarność?

– A gdybyś sam znalazł się na liście wyrzuconych?

– Wszystko mi jedno. Przecież robienie tam i tak nie ma sensu.

Ale Andrzej nie rzuci dobrowolnie pracy w Stoczni. W sumie przypisanie do tego konkretnego miejsca daje mu poczucie bezpieczeństwa, stabilizacji i jeszcze świadomość siły, bo w końcu zrobili ten sierpniowy strajk. Na przekór groźbom. Po to, żeby wesprzeć Stocznę Lenina i padający Śląsk. Dla kogoś, kto ma 21 lat i mieszka w Gdańsku, zrobienie strajku oznacza, że przekroczyło się próg dorosłości.

Marek ściska w rękę „wilczy bilet”. Między biurokratycznymi formułkami i numerkami paragrafów Kodeksu Pracy wpisano maszynową czcionką zdanie: *zwolniony dyscyplinarnie*



(fot. AB)



(fot. AB)

za *aktywny udział w nielegalnym strajku*. Chyba boi się o przyszłość, choć próbuje nadrobić miną.

– Nie byłem w Komitecie Strajkowym. Myślę, że chyba na strajku nie było mnie specjalnie widać. Na wiecach ze dwa razy stałem obok naszego brygadzysty. Wtedy cieszyliśmy się, że ktoś z dozoru technicznego też jest z nami. A potem dyrektor wiedział nawet, w którym miejscu spałem.

– Wrócisz do Stoczni, przyjmą cię do pracy – pocieszam.  
– Wałęsa też tak mówi. A potem dzwoni do Stelmachowskiego, żeby interweniował. Stelmachowski dzwoni do Orszulika, Orszulik do Czyrka, a Czyrek dziwi się: *jak to, jeszcze nie pracują?* To ja następnego dnia idę do pracy, a tam mi mówią, że przecież jestem wylany, to mogę się nie pokazywać.

Marek ma 22 lata i po raz pierwszy w życiu jest bezrobotnym. Dobrze, że obok pracy w stoczni zapisał się jeszcze do szkoły. Inaczej poszedłby do wojska, a przecież wiadomo, jak w wojsku postępuje się z tymi, którzy do jednostki trafili za karę.

Sławek jest w tym gronie wyjadaczem. Skończony 24 lata i udział w dwóch strajkach: majowym i sierpniowym. Został wybrany członkiem wydziałowych władz „Solidarności”, choć w czasie legalnego działania Związku był tylko kilkunastoletnim uczniakiem.

– Cieszę się, że ludzie mi zaufali. Może dlatego, że w maju byłem w Stoczni Lenina do końca. Przecież na wydziale jest tylu starszych.

Sławek przyjechał do Gdańska cztery lata temu z niewiel-

kiej miejsciny leżącej w środku Polski. W domu mówiło się o „Solidarności”, o Sierpniu '80, o Wałęsie. Dlatego Sławek na miejsce swojej pracy wybrał Gdańsk, a później już jakoś poszło, choć mieszka w hotelu robotniczym i przypisany jest do najniższej grupy płacowej, raczej bez szans na szybką podwyżkę.

Rzecz jasna zaczął pracować w Stoczni Lenina. Ale wtedy, cztery lata temu, nie działo się tam nic. Był Wałęsa, człowiek—symbol niezależnego społeczeństwa i... to właściwie wszystko, bo stocznia była praktycznie martwym symbolem.

Sławek wpasował się w grupę ludzi takich samych jak on — młodych robotników. Czego nie mógł robić u siebie w pracy, robił na ulicy. Zadymy, ulotki, malowanie murów — to pierwszy etap opozycyjnej edukacji. Etap bardzo ważny, bo z luźnej grupy znajomych stworzył zespół zgranych przyjaciół o wspólnych postawach, poglądach, zainteresowaniach.

— Kim są twoi koledzy?

— Pracujemy w jednej stoczni, na jednym wydziale. Większość pochodzi z Gdańska, ale sporo mieszka po hotelach robotniczych albo w prywatnych kwaterach. To bardzo różni ludzie, często z „pokreconymi” życiorysami. Niektórzy mają w swojej biografii więzienie, ale niekoniecznie siedzieli za politykę. Wiem, że mogę na nich liczyć. Chłopaki nie boją się; są tak samo dobrzy na zadymie jak w strajku.

Wkrótce uliczne ganiańki z ZOMO przestały im wystarczać, co oczywiście nie znaczy, że nie brali już w nich udziału. Od ulicy można zacząć, ale nie można na niej poprzestać. Wzięli się więc za kolportowanie bibuły, wspólnie czytali drugoobiegowe książki, urządzali dyskusje, ale też jeździli na wycieczki, robili prywatki, bo przecież całej młodości nie wolno spędzić na politykowaniu. Wiedzieli, co im przeszkadza, co chcą zmienić, ale jeszcze nie potrafili opisać tej przyszłości, w której miało być im lepiej. Przewartościowanie rzeczywistości zaczęli więc od spraw najprostszych, bliskich codziennemu życiu.

— Taki majster może w stoczni zrobić z tobą dokładnie wszystko — opowiada Sławek, a zebrani wokół niego koledzy milcząco potakują głowami. — Od majstra zależą zarobki, rodzaj pracy, jaki ci przydzielą. Dobiera sobie zwykle jednego lub dwóch pomocników—przydupasów. Nie robią nic, tylko szpiegują, donoszą i za to biorą forszę, bo dla nich są pieniądze, premie, nagrody z okazji. Robotników traktują z góry, po pańsku. Sam nie podskoczysz, bo zniszczą cię natychmiast.

Kiedy w kwietniu 1988 roku stanęła Nowa Huta, wiadomo było, że Stocznia Lenina poprze krakowskich robotników.

Przebieg i finał gdańskiego strajku – milczący pochód w rytm bijących dzwonów z kościelnych wież przez początkowo wymarłe, a później rozkrzyczane ulice miasta – tylko wzmocnił przekonania Sławka. Na nic zdały się zabiegi dyrekcji stoczni, która starała się na wszystkie możliwe sposoby utemperować buntownicze charaktery. Majowy protest był drugim etapem nauki życia w PRL. Stoczniowa młodzież już wiedziała, że bez „Solidarności”, bez własnego związku zawodowego ich problemy nie zostaną załatwione. Czekali okazji – znów gdańskie ulice zaroily się setkami młodych ludzi ganianych przez zomowskie patrole wśród staromiejskich kamieniczek. Kiedy więc w sierpniu stanęły jastrzębskie kopalnie, wówczas wykrzyczeli na wiecu przed kościołem św. Brygidy, że Stocznia Lenina poprze górników solidarnościowym strajkiem.

Ten ostatni gdański strajk był bardzo silny, od pierwszych dni wpadł w określony rytm, mógł z powodzeniem potrwać o tydzień dłużej. Decyzja Wałęsy zaskoczyła strajkującą młodzież. Jak można wyciszyć tak mocny strajk, przyjmując w zamian mętne obietnice? Stoczniowcy, szczególnie ci najmłodsi, byli przekonani, że po rozmowach w Warszawie Wałęsa przywiezie im „Solidarność”. Związek leżał w zasięgu ręki. Zdaniem Sławka wystarczyło tylko zacisnąć palce, a „Solidarność” miałby w garści.

– To znaczy, że Wałęsy pokpił sprawę?

– Najważniejsze, że z nim rozmawiają. Przecież w ten sposób faktycznie uznali Solidarność.

– Ale Związku jeszcze nie macie. W rozmowach między sobą często atakujecie Wałęsę, a kiedy przychodzi ktoś z boku, dopiero wtedy stajecie zwartym murem. Może więc Lechu nie zrobił najlepiej?

– Zmieńmy temat!

Tomek pracuje w Remontówce. Też uważa – lecz tylko „prywatnie” – że Wałęsa zbyt szybko przerwał strajk. Powinien wcześniej przegadać sprawę z robotnikami, a potem decydować. Jeżeli nie rozmawia się z ludźmi, łatwo zapomnieć, czego naprawdę chcą. Ale w Warszawie mogło być różnie i nigdy nie wiadomo, co w takich gabinetowych negocjacjach może wyskoczyć. Teraz więc Lecha poprzeć trzeba. Właśnie w imię solidarności. Bez tej przez małe „s” dużej nie będzie nigdy. A od własnego związku zależy cała przyszłość.

– Jaka ma być ta przyszłość?

– To nie tylko „Solidarność”, ale prawdziwe reformy gospodarcze i polityczne. Żeby był pluralizm, różne partie polityczne. Żeby nie było cenzury. Żeby te byki z ZOMO

wzięły się do uczciwej pracy. Żeby były normalne wybory, a ludzie mieli paszporty w kieszeni.

– Ale co to zmieni w twoim życiu?

Pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Okazuje się, że język wielkich haseł i dalekosiężnych programów trudno przetożyć na prozaiczny konkret. Jak myśleć o własnym mieszkaniu, pracy automatycznej i małym fiacie, kiedy w głowie ma się niepodległość?

Takich Andrzejów, Marków, Tomków, Sławków są w Gdańsku tysiące. Z Polski nie wyjechali i chyba nie wyjadą, bo są u siebie, a to „u siebie” oznacza i przywiązanie do miejsca, i odpowiedzialność za nie. Są wierzący, bo *choć Kościół miękki, to Papież przecież mówi, że społeczeństwo trzeba budować na solidarności*. Teraz czas gorący, więc po robocie spotykają się u św. Brygidy niemal codziennie. Wymieniają opinie, podyskutują, policzą swoje siły, wiedzą, że nikogo z nich jeszcze na razie nie ubyło. Ich poglądy, zaangażowanie świadczą o znacznej części gdańskiej młodzieży. Młodzieży robotniczej, członków stoczniowej społeczności, którym marzy się autentyczny, niezależny, samorządny, a przede wszystkim własny związek zawodowy.

W Brygidzie nie ma już tych bardziej radykalnych (choć ich pragnienia, nawet te dalekosiężne, wcale nie muszą być inne). Niektórzy uczestnicy ruchu „Wolność i Pokój”, ludzie szukający swoich korzeni w efemerycznym Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, w formacjach gdańskich anarchistów, wyznawcy „totartu” i „społecznej metafizyki” do tego kościoła – bastionu „Solidarności” już nie przychodzą. Tam można spotkać Wałęsę, a Wałęsa – w ich przekonaniu – odpuścił, wystawił robotników i młodzież do wiatru.

– Mielśmy rację – mówią. – Z muzealnymi mumiami nie ma co gadać. Zamknęli się w świecie sprzed ośmiu lat, a tu trzeba do przodu.

Czas pokaże, która z postaw okaże się trwalsza, silniejsza, bliższa rzeczywistości. Dziś tylko jedno jest pewne. Znaczna część młodzieży Trójmiasta wyrwała się z letargu i – co najważniejsze – zrobiła to bez niczyjej pomocy. Dalej wszystko zależy od nich.

Arkadiusz PAWELEK

Postacie występujące w reportażu są prawdziwe. Zmieniono tylko imiona. (A.P.)

# Zaorać Stocznnię?

Lech Rufa

**K**iedy jeden z niesławnej pamięci Budowniczych Polski Ludowej rzucał propozycję („Zaorać Stocznnię!”) w Grudniu roku 1970, większość strajkujących w roku 1988 stoczniovców była w wieku przedszkolnym, inni oglądali świat z dzieciennego wózka. Jeżeli dzisiaj nazwisko Zenona Kliszki z czymś im się w ogóle kojarzy, to właśnie z ową propozycją radykalnego rozprawienia się z gniazdem kontrrewolucji na Wybrzeżu. Zapamiętano dobrze to zdanie, podobnie jak nie zapomni się Urbanowi jego sławetnej wypowiedzi o perspektywach żywienia rządu.

Potem w dekadzie dynamicznego rozwoju nikt nie powracał do opinii Kliszki. Przeciwnie: ekipa Gierka hołubiła stocznnię, pakowała w nie miliardy, dęła w propagandowe balony. Może była w tym jakaś forma wdzięczności dla ludzi, którzy zupełnie nieświadomie odegrali kluczową rolę w przewrocie pałacowym? Potem – jak wiadomo – przysły dla stoczni z całym świecie lata chude. W kraju szykował się rekordowy w skali światowej krach. Siedmioletnia generalska normalizacja niczego nie uzdrowiła, stoczniovcy znów się buntują i powróciła dawna koncepcja towarzysza Kliszki...

Jej forma była oczywiście inna. Wszak nie rządzą już PRL-em ciemniacy, aroganccy dyletanci. Teraz władza jest światła, wykształcona i docenia znaczenie twardych praw ekonomii. Po wiosennym strajku odegrano więc komedię na tematy ekonomiczne rozpisana na gazety, radio, telewizję. Autorzy scenariusza – zapewne z kół zbliżonych do wiadomego resortu – obsadzili w głównych rolach nieszczęsnego dyrektora Stoczni Gdańskiej, Czesława Tołwińskiego, Narodowy Bank Polski, a nawet naczelnego do niedawna reformatora, wicepremiera prof. Sadowskiego.



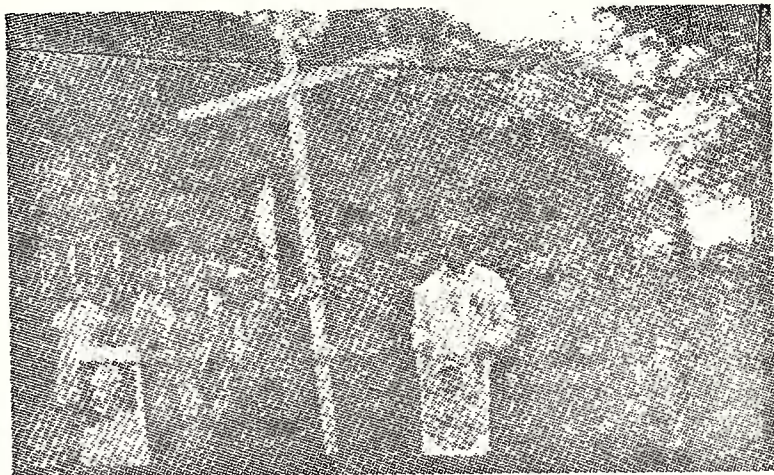
Komedia nie była zbyt dowcipna, a dla wielu gdańskich stoczniowców stała się wręcz dramatem. W ich domach powiało grozą. Oto ich miejsce pracy może być zlikwidowane! Stocznia bankrutuje. Bank odmawia kredytów, a rząd dotacji. Żeby było jeszcze czarniej i wiarygodniej, gazety i telewizja zaczęły się prześcigać, obficie racząc społeczeństwo informacjami o bankructwach stoczni kapitalistycznych, o całkowitym likwidowaniu przemysłu okrętowego w Szwecji, o jego upadku we Francji i RFN. Miało to przydać wiarygodności zapowiedzianemu upadkowi Stoczni Gdańskiej, no bo skoro bogatych do nieprzyzwoitości Szwedów nie stać na dotowanie przemysłu okrętowego, to tym bardziej nas. Rodził się więc w niejednej duszy autentyczny niepokój, co natychmiast dzielni reporterzy TV gdańskiej wykorzystali, podtykając mikrofon pod nosy robotników odbierających swoje pensje w hali „Olivii”. Niepokój podsycali umiejętnie kolportowane pogłoski o planowanym podziale stoczni na kilka mniejszych, o stworzeniu wspólnego przedsiębiorstwa polsko-radzieckiego...

Obawa przed utratą pracy, przed „doprowadzeniem zakładu do bankructwa” lub jego likwidacji, z pewnością miała jakiś wpływ na rozładowanie, przygaszenie strajkowych nastrojów w maju br. Umiejętnie wykorzystano kilka mitów i dość powszechny brak rozeznania w sytuacji polskiego i światowego przemysłu okrętowego. Odnosi się to zresztą zarówno do stoczniowych robotników jak do wielu działaczy gospodarczych w stolicy.

Robotnikom i to nie tylko – co zasługuje na szczególne podkreślenie – młodym owa niepewność nie przeszkodziła w podjęciu masowego tym razem strajku w sierpniu. I co ciekawe: do sprawy zaorania stoczni jakoś na razie propaganda nie powróciła. Poszło ku „okrągłemu stołowi”, drobna kalkulacja socjotechniczna, prymitywne chwytły użyte dla postraszenia stoczniowców, póki co, zdezaktualizowały się. Można jednak przewidywać z dużym prawdopodobieństwem, że sprawa znów się pojawi w takim czy innym kontekście. Mity chwilowo wycofane z obiegu nie przestały być wszakże żywe. Warto więc chyba podjąć próbę przywrócenia mitów do rzeczywistości.

### Spojrzenie na plan ogólny

Prawdą jest, że w całym świecie przemysł okrętowy bardzo dotkliwie odczuł beseę po krachu naftowym, choć nastąpiło to dopiero w kilka lat po nim. Wzrost cen ropy i surowców



*Zakończenie strajku w Stoczni Gdańskiej (fot. AB)*

spowodował spadek zapotrzebowania na nie, a w ślad za tym – na przewożące je statki. Sytuacja nie powróciła do stanu przedkryzysowego nawet po spadku cen, ponieważ prężne gospodarki krajów rozwiniętych zdołały dzięki nowoczesnym technologiom wydatnie zmniejszyć swe zapotrzebowanie na ropę i surowce. Spadek zamówień na statki w latach osiemdziesiątych był katastrofalny i mimo pewnego ożywienia w ostatnich miesiącach – nie ma nadziei na radykalną poprawę w tej dziedzinie.

Efektom spadku zamówień był oczywiście spadek cen statków, może z wyjątkiem budowanych w niewielkiej liczbie luksusowych statków wycieczkowych czy promów pasażerskich. Nic więc dziwnego, że stocznie, mając coraz mniej zamówień, stały się deficytowe. Najszybciej i najdotkliwiej dotknęło to przemysły krajów najbogatszych, gdzie robotnikowi za bardzo ciężką pracę w stoczni trzeba zapłacić co najmniej półtora tysiąca dolarów miesięcznie.

Prawdą jest zatem, że stocznie w Europie Zachodniej pozamykano, gdy brak nadziei na rychłą poprawę sytuacji spowodował obcięcie rządowych subwencji. Prawdą jest, że Szwecja praktycznie całkowicie likwiduje swój przemysł okrętowy, który jeszcze kilkanaście lat temu zajmował za Japonią drugie miejsce w świecie, imponując jednocześnie nowoczesnością.

Prawdą jest jednak również, że ów przemysł – „szyłkowy” w krajach bogatych bynajmniej nie jest szyłkowym

gdzie indziej. Statki zawsze będą potrzebne i zawsze budowane. Produkcja okrętowa przeniosła się więc na Daleki Wschód – przede wszystkim do Korei Południowej, która niedawno odebrała światowe przodownictwo w tej dziedzinie Japończykom, także na Tajwan, do Chin, Brazylii. Wszędzie tam, gdzie siła robocza jest jeszcze względnie tania. Ma to zasadnicze znaczenie, ponieważ trudnych prac stoczniowych nie daje się zautomatyzować.

Prawdą jest wreszcie i to, że od powyższej reguły są wyjątki. W Europie takim wyjątkiem jest przemysł okrętowy Finlandii, który na razie prosperuje jak za najlepszych czasów. Ma bowiem dwa wielkie atuty. Pierwszym jest nowoczesność i specjalizacja w budowie statków najbardziej skomplikowanych, o szczególnych przeznaczeniach, najdroższych. Finowie są mistrzami świata w budowie wielkich luksusowych statków wycieczkowych, olbrzymich promów pasażerskich i lodołamaczy.

Drugim wielkim atutem Finów jest... sąsiedztwo Związku Radzieckiego. Większość produkowanych przez nich statków kupuje ZSRR – może poza wspomnianymi wycieczkowcami, choć i te przed laty zamawiał. Jest to przykład, jakim dobrodziejstwem może być sąsiedztwo chłonnego rynku. Nie pierwszy zresztą przykład w historii – żeby tylko wspomnieć, jak nasza Łódź urosła przed wiekiem na zamówieniach rosyjskich. Rzecz w tym jedynie, żeby między kupującym a sprzedającym obowiązywały rzetelne zasady obopólnego interesu. Obowiązywały one także w stosunkach wymiany między należącą do cesarstwa rosyjskiego Łodzią a kupcami z głębokiej Rosji – jak to w gospodarce bądź co bądź rynkowej. Obecnie o takie równorzędne partnerstwo polsko-rosyjskie jest jakby trudniej.

### Sytuacja ma bogate podteksty

Autorów wiosennej kampanii propagandowej na temat Stoczni Gdańskiej należy podziwiać za szczególne poczucie humoru. Tylko bowiem komediopisarz uprawiający pure nonsense mógł wpaść w ramach tego tematu na pomysł porównań polsko-szwedzkich. W Szwecji robotnik nie podejmuje się przecież czyszczenia z rdzy czy spawania okrętowej blachy, czy to mróz czy upał, za sumę niższą niż wspomniane półtora tysiąca dolarów. Jego polski kolega robi to w znacznie gorszych warunkach technicznych i socjalnych za setkę – jeśli zastosujemy przelicznik oficjalny, lub za trzydzieści: jeśli

posłużymy się realnym kursem: spod Pewexu. W konkurencji kosztów robocizny jesteśmy zapewne „lepsi” nawet od Korei Południowej. Pod tym względem utrata konkurencyjności raczej naszym stoczniom nie grozi, i to mimo ewidentnych przerostów zatrudnienia. Jeżeli oplaca się inwestować w ten przemysł w Brazylii, to powinno i nam. Pod warunkiem jednak, że i u nas po pokonaniu socjalistycznego zakrętu dojdziemy do rozsądku ekonomicznego.

Polskie stocznie reprezentują zupełnie przyzwoity poziom światowy, choć są miejsca, gdzie pracuje się niezwykle ciężko, w warunkach przypominających manufakturę. Jest bardzo dobra kadra projektantów i technologów, choć wielu z nich uciekło do przedsiębiorstw lepiej płacących. Możemy budować i budujemy statki nie ustępujące budowanym w świecie, więc nie mamy problemów z zamówieniami. Pod tym względem polskie stocznie notowane są w światowym „rankingu” londyńskiego Lloyda ostatnio na 3 miejscu – po Korei Południowej i Japonii. Olbrzymia większość zamówień pochodzi od naszego wschodniego sąsiada.

Dlaczego podobne zamówienia radzieckie są żyłą złota dla stoczni fińskich, natomiast polskie doprowadzają na skraj bankructwa. Może dlatego, że Finowie otrzymują zapłatę w „prawdziwych pieniądzach” – nie muszą swoich statków sprzedawać za ruble? Może dlatego, że rubel jest wart w ZSRR aż 60 centów, a w Polsce znacznie mniej? Może dlatego, że na statkach sprzedawanych za te nie-wiadomo-ile-warte ruble montuje się urządzenia kupowane za nie-wiadomo-ile-warte w złotówkach dolary? Są to wszystko kwestie, na które nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Gadanie o dochodowości czy nierentowności, gdy nikt nie wie, ile jest warta złotówka w stosunku do dolara, złotówka do rubla i rubel do dolara jest bezsensowne. Dotyczy to zwłaszcza przemysłu, który produkuje głównie za złotówki, a produkt końcowy w olbrzymiej większości sprzedaje za ruble lub dolary. Nieliczne statki budowane w polskich stoczniach dla polskich armatorów ci ostatni również kupują w znacznej części za dewizy.

Dywagacje o dochodowości czy nierentowności stoczni nie mają zbytniego sensu także i z tego powodu, że chyba żadne z przedsiębiorstw przemysłowych nie są w takim stopniu, jak stocznie, uzależnione od kooperantów, którzy prawie bez wyjątku są krajowymi monopolistami. Dyktują więc ceny, windują je w górę, pokrywając z tego m.in. źródła podatki odprowadzane do skarbu państwa. Od roku 1980 do 1986

ceny wyrobów dostarczanych do stoczni przez 1500 kooperantów wzrosły czterokrotnie. W tym samym czasie oficjalny kurs dolara wzrósł o 284 proc. zaś rubla o 105 proc.

### Są jeszcze inne mity

powtarzane w propagandowej argumentacji przeciwko przemysłowi stoczniowemu. Na przykład mit materiałochłonności i niskiej efektywności z tym związanej. A przecież cały ten przemysł zużywa nie więcej niż 3,5 proc. krajowej produkcji stali walcowanej. Przy tym, za 1 kg wyeksportowanego statku kraj uzyskał 2 dolary, podczas gdy za 1 kg samochodu otrzymywaliśmy 1,9 dol. za miedź – półtora, za walcówkę – 22 centy.

Faktem jest, że w kosztach budowy statku materiały stanowią przeszło połowę, jeżeli je obliczać z punktu widzenia stoczni. Rzecz wygląda zupełnie inaczej, gdy się uwzględni, że w materiałach i urządzeniach, które dostarcza się stoczni już jest zawarta praca ludzka o wielkiej wartości, a w ich cenach – powtórzmy – mają odbicie podatki płacone przez dostawców. Oni płacą podatki skarbowi po to, by deficytowa w konsekwencji stocznia dostawała od tegoż skarbu dotacje. Ona nie może się bez tych dotacji obejść, bo w odróżnieniu od swych dostawców nie może podnosić cen swoich produktów. Ją bowiem obowiązują ceny światowe.

### Czy likwidować?

Nie dajmy się oszukiwać! Przecież Gorbaczow by na to nie pozwolił. Wszak z polskich stoczni dostaje corocznie kilkadziesiąt bardzo dobrej jakości statków, kupowanych za pół darmo, wyposażonych w zachodni sprzęt. Dzięki temu stocznie radzieckie mogą poświęcić się bez reszty budowaniu setek okrętów podwodnych, niszczycieli rakietowych, lotniskowców i innego zabójczego morskiego żelastwa. Apetyty sąsiada już teraz znacznie przekraczają możliwości polskich stoczni, a eksport na Zachód jest przez niego tolerowany tylko dlatego, że służy importowi urządzeń montowanych na radzieckich statkach.

Z drugiej strony: czy PRL mogłaby zrezygnować z tego przemysłu? W ubiegłym roku przyniósł on skarbowi ponad 150 mln dolarów (przy znacznym spadku zamówień zachodnich w stosunku do ubiegłych lat) i ponad pół miliarda rubli. Udział Stoczni Gdańskiej był w tym największy. Czy można

łatwo zastąpić te zarobki wpływami z eksportu innych dziedzin gospodarki? Wolne żarty! W Polsce nie ma drugiego przemysłu przetwórczego, który miałby porównywalnie wysoką markę za granicą.

Budujemy statki niemal na poziomie RFN czy Japonii, czego przecież nie można powiedzieć o samochodach, elektronice, chemii. Zresztą poprzez eksport statków sprzedaje się również wyroby innych przemysłów, które samodzielnie raczej szans by nie miały. Jeden z najsłynniejszych polskich okrętowców wygłosił przed laty tezę, że przemysł okrętowy mógłby w Polsce spełnić analogiczną rolę promotora postępu technicznego w innych dziedzinach jak przemysł lotniczy w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej. Wynika to z konieczności spełniania bardzo wysokich wymagań jakościowych przez instalowane na statkach urządzenia. Chemiczne, elektryczne i elektroniczne, z komputerami i systemami automatyki włącznie.

Tak się niestety nie stało, bo zmonopolizowany rynek umożliwił wielu producentom wygodne życie po odejściu od niewygodnej kooperacji ze stoczniami. To właśnie jest największy problem polskich stocznii – w których powstają przede wszystkim „opakowania” dla nowoczesnych urządzeń. Właśnie wyposażenie statków w głównej mierze decyduje o ich nowoczesności i cenie.

Nie czas chyba myśleć o likwidacji przemysłu okrętowego, bo długo jeszcze nie będziemy mieli czym go zastąpić, bo dzięki niemu możemy sprzedawać to, czego inaczej nie można, bo zdobył sobie naprawdę światową markę, bo nie ma kłopotów z brakiem zamówień, bo ma wielotysięczną kadre, bo – w końcu – jako kraj czwartego świata (kraje związające się) wcale nie musimy kopiować wzorów Szwecji czy RFN. Zresztą, dzięki bankructwom stocznii w tych krajach nie mamy już zbyt wielu konkurentów.

### Przemysł okrętowy wymaga pomocy

I nie o pieniądze tu chodzi, lecz o zreformowanie systemu ekonomicznego tak, by stocznie nie musiały płacić za podatki opłacane przez dostawców, a ci będą finansowo zainteresowani współpracą ze stoczniami. Przemysł okrętowy wymaga też unowocześnienia w sferze zarządzania. Prawdą jest bowiem, że jego kierownictwo nie kocha reformy i nie czuje się dobrze w warunkach naturalnej gry ekonomicznej. Ściślej: nie czuje się dobrze z tymi jej elementami, które zdołały sobie utworować

drogę w polskiej gospodarce. Nielicznymi. Jednak panowie dyrektorzy są dziećmi systemu nakazowo-rozdzielczego, za którym tęsknią i dają temu wyraz publicznie. Likwidacja antyreformatorskiego lobby stoczniowego nie wymaga wszelako likwidacji samej stoczni...

Na koniec jeszcze parę słów o spekulacjach na temat podziału Stoczni Gdańskiej. Nie jest przypadkiem, że podobne pogłoski były kolportowane między Sierpniem 80 a 13 grudnia. Ślepy by zauważył, że chodzi tu o zlikwidowanie kłopotliwego, znanego w całym świecie szyldu, o podzielenie buntowniczej załogi.

Są jednak i uzasadnienia ekonomiczne. Stocznia Gdańska w istocie utworzona została po wojnie z dwóch dużych stoczn: Schichaua i Danziger Werft – czyli przedwojennej stoczni gdańskiej. Powstał kolos, który pod względem liczebności załogi z pewnością nie miał i nie ma sobie równego w światowym przemyśle okrętowym.

Jeszcze kilkanaście lat temu podział zakładu na dwa lub trzy miałby również ekonomiczny sens. Może trzy mniejsze stocznie (są trzy doki z pochylniami) byłyby elastyczniejsze, efektywniejsze. Teraz sens podziału jest wątpliwy. Powstały bowiem obiekty służące całej stoczni – z wielkim centrum prefabrykacji kadłubów na czele. Ustawienie płotów zmieniłoby poszczególne stocznie we wzajemnych kooperantów, a co to oznacza dla gospodarki realsocjalistycznej – każdy wie.

W dodatku, jest wysoce nieprawdopodobne, by załogi takich trzech stoczn przestały być ze sobą solidarne.

*Lech RUFA*

W momencie kiedy przekazujemy ten tekst do druku, nowy minister przemysłu w rządzie PRL, Mieczysław Wilczek, ogłosił decyzję o likwidacji Stoczni im. Lenina.

# Siła bezsilnych i słabość wszechmocnych\*

Cezary Kaźmierczak

W zwykły dzień budynek Uniwersytetu Warszawskiego z zewnątrz nie różni się specjalnie od innych domów na Krakowskim Przedmieściu. Jedynie w czasie akcji protestacyjnych i wieców na bramie pojawiają się zwracające uwagę przechodniów i milicji, wraz z transparentami. Jednak już po wejściu na dziedziniec można odnieść wrażenie, że znalazł się człowiek w nieco innym świecie. W odróżnieniu od ulicy czy podmiejskiej kolejki nie czuć tam takiego podskórnego napięcia, aury przygnębienia, klimatu rezygnacji i obojętności. Czuje się natomiast pulsujący luz. Trudno powiedzieć na ile dzieje się to z powodu, iż przeważa tam młodzież, a na ile z atmosfery panującej na uniwersytecie, niemniej ta „zmiana pogody” jest bez trudu zauważalna.

Na dziedziniec Uniwersytetu wchodzi dwóch umundurowanych milicjantów. Już po kilku minutach zostają otoczeni przez grupę młodzieży.

– *Proszę opuścić teren uczelni* – mówi spokojnie młodzieniec w czerwonej apaszce, ubrany w koszulkę z olbrzymim nadrukiem N.Z.S. – *Przecież panowie wiedzą, że nie wolno panom wchodzić na teren uniwersytetu.*

Zdumieni milicjanci nie wiedzą co robić, jednak po chwili posłusznie odchodzą odprowadzeni przez studentów do bramy.

Wśród zebranych widać lekkie podniecenie i satysfakcję. Ich stosunek do milicjantów jest raczej chłodno-obojętny; nie widać ani strachu, ani nienawiści.

---

\* Kompilacja tytułów dwóch esejów: „Siła bezsilnych” Vaclava Havela i „Słabość wszechmocnych” Jana Walca (przyp. autora).



Kilkanaście metrów za bramą znajduje się tablica Samorządu Studenckiego. Zebrało się przy niej sporo, nie tylko młodych, ludzi. Na tablicy widnieją zdjęcia ze strajków na UW, w Stoczni Gdańskiej, komunikaty Samorządu i NZS-u, oświadczenia Komitetów Strajkowych, informacje... Wiele osób, w tym bardzo ładne dziewczyny, nosi znaczki NZS-u. Nawet tropy na wojsku już się do tego przyzwyczaili – informuje mnie – nazwijmy go – Zeb, szeregowy członek NZS-u, z którym spaceruję po uniwersytecie.

Wchodzimy na jeden z wydziałów. Na ścianach pełno przyklejonych ulotek, z których mniej więcej połowa nosi ślady okaleczeń. Plakaty informują o różnych akcjach i spotkaniach. Od razu widać, że środowisko jest bardzo prężne. „Wysyłka polskich książek do ZSRR” i informacja, gdzie je można przynieść lub przekazać pieniądze na ten cel. Już same nazwiska ludzi, z którymi odbyły lub odbędą się spotkania mówią same za siebie: Adam Michnik, Jan Józef Lipski, Andrzej Malanowski, Andrzej Werner, Jan Lityński... *Michnik nam kazał czytać „Aganioka”* – mówi z ironią Zeb. Frekwencja na spotkaniach jest ponoć bardzo duża.

Podczas rozmów w marcu br. rektor Grzegorz Białkowski nie zgodził się na umieszczenie na wydziałach tablic informacyjnych NZS-u, ale wyraził zgodę na tablice, które będą funkcjonowały na zasadzie „Hyde Parku”. W praktyce oznacza to tylko inną nazwę. Na tablicy na Wydziale Historii widnieje przypięta pinezkami bibuła i informacje dotyczące działalności komisji wydziałowej NZS. *Kilkanaście dni temu* – informuje mnie Zeb – *odbyło się walne zebranie członków z wydziału historii. Przyszło ponad 200 osób.*

Podczas wspomnianych już rozmów rektor nie wyraził także zgody na sklepiki z bibułą. Funkcjonują więc lotne, codziennie niemal na wszystkich wydziałach. Mam właśnie możliwość obserwacji pracy jednego z punktów. Handel podobny jak w kiosku „Ruchu”. Nie ma absolutnie żadnego podniecenia ani sensacji. Klienci badają stan techniczny oferowanych pozycji, zastanawiają się, grymaszą, kupują lub odchodzą. Do wyboru około 40 tytułów prasy i książek przeważnie z Warszawy, ale widać także książki i gazetki z Wrocławia, Krakowa i Poznania. Zamieszanie powstaje jedynie, gdy w ofercie pojawia się druk bezpłatny, który momentalnie znika ze stołu. *Ceny książek drugiego obiegu* – mówi mi niezależna „kioskarka”, którą na chwilę zastąpił kolega – *to bardzo bolesna sprawa. Ja na przykład mogę sobie pozwolić na jedną, góra trzy książki miesięcznie, a do bardzo biednych nie należę. Gdybym się*



Uniwersytet Warszawski wiosną br. (fot. Jan GRUSZYŃSKI)

*tym nie zajmowała i nie miała czytających znajomych, nie miałabym orientacji w tym, co się dzieje na rynku. Brutalna prawda jest taka: studenta stać dziś na gazetkę, ale na książkę już nie bardzo. Dlatego nadzieją napawa fakt, że dziekan Wydziału Historycznego wyraził zgodę na zorganizowanie wydziałowej biblioteki druków niezależnych. Podobna biblioteka organizuje się aktualnie na Wydziale Filologii Polskiej. Sklepiki na UW sprzedają ok. 200 egzemplarzy książki średnio popularnej i znacznie więcej gazetek – jak informuje mnie „niezależna kioskarka”. Represji wobec sprzedających jak dotąd nie zarejestrowano.*

\*\*\*

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że głównym animatorem działań niezależnych na UW jest Niezależne Zrzeszenie Studentów. *Po 13 grudnia NZS w zasadzie się rozsyłał – mówi Adam, członek Podziemnego Zarządu NZS UW – na dobrą sprawę ciągłość organizacyjną zachował jedynie w Krakowie, Wrocławiu i częściowo w Warszawie. Według Adama winę za to ponoszą liderzy NZS-u z 1981 roku, którzy masowo poszli działać do podziemnych struktur „S”. Studenci jakby nie mieli odwagi wejść na ich miejsce. Przełom nastąpił na początku 1986 roku. Adam wiąże to z ukończeniem studiów przez działaczy Zrzeszenia z 1981 roku oraz z ograniczeniem*

przez ustawę o szkolnictwie wyższym z 1985 roku możliwości działania samorządu studenckiego. NZS stał się wówczas atrakcyjny. W rok po uchwaleniu ustawy nastąpiła wyraźna aktywizacja środowiska. Zaczęły powstawać nowe pisma itd. 18 lutego 1987 powstała Unia NZS, w której skład weszły grupy Zrzeszenia z SGPiS-u, UW, AWF i SGGW. Unia zaczęła organizować, oprócz form już sprawdzonych przez opozycję, krótkie demonstracje. Przez kilkanaście minut kilkadziesiąt osób z transparentami ruszało jakąś ulicą rozdając ulotki, skandując, malując napisy. Zanim policja zdążyła cokolwiek zmontować, demonstracji już nie było. Działacze Zrzeszenia zaczęli także podejmować działania zmierzające do obniżenia poziomu strachu wśród studentów. Służyły temu *happenings*, które zaczęli robić korzystając z koncepcji Waldemara „Majora” Fydrycha. Nie odbywały się one co prawda pod szyldem Zrzeszenia, ale transparenty „Niestety Znowu Studentci” były aż nadto czytelne. Na *happenings* zaczęło przychodzić coraz więcej ludzi, powoli pękła bariera strachu. *Staraliśmy się brać za konkrety* – mówi Andrzej Anusz, członek Komitetu Założycielskiego NZS UW, student IV roku historii. Typowym przykładem konkretnej akcji była sprawa Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, która znajduje się w tragicznym stanie i jej zbiory są poważnie zagrożone. Zapoczątkowana przez NZS akcja przyniosła m.in. dary na remont od samorządów pracowniczych (FSO – 1 mln zł, inne po kilkaset tysięcy), studenci zebrali ok. 200 tys. zł, sprawa zafunkcjonowała w oficjalnych środkach przekazu. Zorganizowano też aukcję-*happening* „Od partii i bezpieki na remont biblioteki”, na której to imprezie m.in. sprzedawano dzieła Lenina i „Rok w trumnie” Bratnego.

O powołaniu jakiejś reprezentacji jawnej działacze NZS-u myśleli od 1987 roku. Pobudziło ich do tego jeszcze bardziej powstanie 405-osobowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „S” UW. Delikatnie sondowano możliwości. 19 lutego br. na UW odbył się wiec NZS-u. Żądano poprawy sytuacji materialnej studentów oraz poruszono sprawę remontu BUW. Wówczas de facto doszło do ujawnienia kilku działaczy NZS-u, którzy udali się do prorektora ds. studenckich Wierzbowskiego i przekazali mu petycję – dokument wiecu do Ministra Edukacji Narodowej m.in. z żądaniem legalizacji NZS-u. Prorektor Wierzbowski przywitał delegację NZS-u słowami: *Bardzo chciałem się z panami spotkać.*

Podczas wiecu 8 marca, w rocznicę wydarzeń marcowych, ogłoszono jawny NZS na UW. Pierwszego dnia zapisało się

899 osób. Andrzej Anusz: *Przeszło to nasze najśmielsze oczekiwania, mówiąc szczerze, liczyliśmy na ok. 150 osób, przy sprzyjających wiatrach. Aktualnie Komitet Założycielski NZS UW liczy ok. 2 tys. osób.* Podstawową bazę członkowską stanowią studenci I i II roku. Powodem tego, według Andrzeja Anusza, jest fakt, że osoby te nie mają poczucia kłębki 13 grudnia 1981.

Jak się można było spodziewać, wniosek o rejestrację został rozpatrzony odmownie. Urząd Dzielnicowy decyzją z dnia 21 marca 1988 zakazał założenia i działalności NZS, gdyż zamiarem tego stowarzyszenia jest *podjęcie działalności mogącej spowodować zagrożenie spokoju lub porządku publicznego.* Nie pomogło także odwołanie. Dyrektor Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu m.st. Warszawy utrzymał w mocy poprzednią decyzję. Odmowę rejestracji otrzymały także dwa komitety wydziałowe NZS, które podjęły próbę rejestracji w innych urzędach dzielnicowych, właściwych dla lokalizacji tych wydziałów. Uzasadnienie identyczne.

Mimo odmowy rejestracji NZS postanowił działać dalej. Na większości wydziałów odbyły się już walne zebrania członków, a obecnie odbywają się wybory. Rektor Grzegorz Białkowski zapowiedział, że pomimo odmowy rejestracji nadal będzie rozmawiał z NZS *jako realną siłą na uczelni.* Warto dodać, że rektor G. Białkowski publicznie, w wywiadach prasowych popiera dążenia studentów do pluralizmu.

Co do tego, że część działań musi być prowadzona w podziemiu, zgadzają się wszyscy. *Struktura podziemna musi być zachowana – podkreśla z naciskiem Adam. – Jest cała masa spraw technicznych, których jawnie robić się w żaden sposób nie da. Ponadto nie ma żadnej pewności, że oni znowu nie zaczną wsadzać. Bez oparcia w „tajnych” „jawni” nie mogliby funkcjonować.*

O Komitecie Założycielskim „S” moi rozmówcy mówią dość niechętnie. Zarzucają „S”, że łożyła tylko wniosek o rejestrację i dalej nic nie robi. Współpracy praktycznie nie ma – *many odmienne filozofie działania.* Nie oznacza to oczywiście, że istnieje jakiś konflikt czy spór.

Na uczelni działają także inne grupy, ale o nieporównywalnie mniejszych możliwościach. Jest komórka PPS-u, KPN-u, działają młodzi narodowcy, którzy, jeśli sądzić po złośliwych dopiskach na ich plakatach, nie cieszą się zbytnią sympatią.

„Wszchemocnych” nie widać w ogóle. ZSP liczy podobno 450 członków na ok. 16 tys. studentów. Podobno, bo ilu ich jest tak naprawdę, nikt dokładnie nie wie. *ZSP jest najbardziej zakonspirowaną organizacją na uczelni po ZSMP – mówi nie bez satysfakcji zdeklarowany konspirator, Adam. Andrzej Anusz*

mówi, że jak dotychczas kontaktów pomiędzy NZS a ZSP nie było poza tym, że zsympowcy – jak się ich tutaj nazywa – przynieśli kiedyś kilka ryz papieru. I sekretarz POP na UW, doc. Kusiński, sytuację na UW maluje w ciemnych barwach. W wywiadzie dla „Polityki” atmosferę na Uniwersytecie porównał do jesieni 1981. Stwierdził, że można spotkać napisy „Czerwonym wstęp wzbroniony”. Na tablicy PZPR ktoś napisał farbą „PZPR na Madagaskar”. Andrzej Anusz zaznacza, że w żadnym wypadku nie były to inicjatywy NZS.

Aczkolwiek nie tak pręźnie jak na UW, NZS działa także na innych uczelniach. Świadczą o tym choćby masowe akcje solidarnościowe z robotnikami w maju czy też liczba wydawanych pism. W Warszawie ukazują się: „Kurier Akademicki” (międzyuczelniane, dalej MU), „Międzyuczelniany Informator Środowiskowy – MİŚ”, „Grizzły” (UW), „Refleksy” (UW), „Mecenat” (AWF), „Nawias” (SGPiS), Informator ATK, „Waga” (MU), „Bratnia Pomoc” (PW), „CIA – Centrum Informacji Akademickiej” (MU), „Życie Codzienne” (Wydz. Geografii UW), „Orzeł Biały” (pismo studentów członków KPN), „Nurt” (MU). W innych miastach także ukazują się pisma Zrzeszenia: w Krakowie – 8, we Wrocławiu – 6, w Gdańsku – 4, w Poznaniu – 3, po 2 w Katowicach, Lublinie i Szczecinie oraz po 1 w Łodzi, Kielcach, Rzeszowie i Toruniu.

Casus Uniwersytetu Warszawskiego pokazuje, ile można osiągnąć odwagą i zbiorową solidarnością. Jest faktem, że swobodę na uczelni w dużej mierze należy zawdzięczać jej władzom, jednak gdyby nie taka postawa pracowników i studentów, Uniwersytetem rządziłby zupełnie kto inny.

Cezary KAŻMIERCZAK

Warszawa, 15.09.1988

Droga Redakcjo,

zawiadamiam, że mój syn ma nieszczęście uczyć się z podręcznika niejakiego pana Jerzego Prokopczuka („Historia powszechna 1971-1939”, wyd.IV, „Książka zalecana jako pomocnicza w realizacji programu nauczania historii w klasie III liceum ogólnokształcącego oraz w klasach II i III technikum i liceum zawodowego”, Wyd. Szkolne i Pedagogiczne. Warszawa 1988). Nie jestem historykiem więc nie próbuję, broń Boże, robić recenzji tej zdumiewającej książki. Pozwolę sobie tylko zacytować kilka urywków, które mnie wprawiły w osłupienie, czasem przerażyły a czasem ubawiły.

1. Na stronie 110 jest mapa „Stany Zjednoczone Ameryki Północnej w końcu XIX w.”, na której Alaska graniczy z jednej strony z Kanadą, a z drugiej z ZSRR.

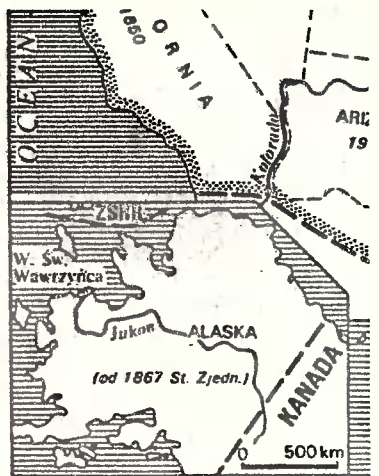
2. Na stronie 229 tak charakteryzuje się zwolenników Mussoliniego: „Członkowie organizacji faszystowskich nosili czarne koszule i byli uzbrojeni”.

3. Na stronie 238 opisana jest portugalska „dyktatura faszystowska” Salazara: „Zabroniono działalności związków zawodowych i wszystkich partii politycznych z wyjątkiem rządzącej Unii Narodowej. Zakazano organizowania strajków. Powołano jednocześnie do życia, kontrolowane przez rząd, związki branżowe. W kraju rozszalał się terror polityczny”.

4. Na stronie 243 tak opisuje się rządy Horthy’ego na Węgrzech: „Była to dyktatura typu faszystowskiego. Od dyktatury hitlerowskiej i włoskiej różniła się jedynie zachowaniem parlamentaryzmu i tolerowaniem opozycji”.

5. Na stronie 251-252 opisuje się po kolei – i niemal tymi samymi słowami – historię „wstąpienia” Litwy, Łotwy i Estonii do ZSRR. Weźmy, jako przykład, Łotwę, gdzie retoryka jest szczególnie smakowita: „Po wybuchu wojny rząd łotewski podpisał z ZSRR porozumienie, na mocy którego wkroczyły i tutaj wojska radzieckie. Utworzono nowy rząd. W zaistniałej sytuacji w wyborach do sejmu 1940r. większość uzyskali komuniści i związani z nimi bezpartyjni. 21 lipca 1940r. sejm proklamował władzę radziecką. Łotwa jako republika związkowa została przyjęta w skład Związku Radzieckiego”.

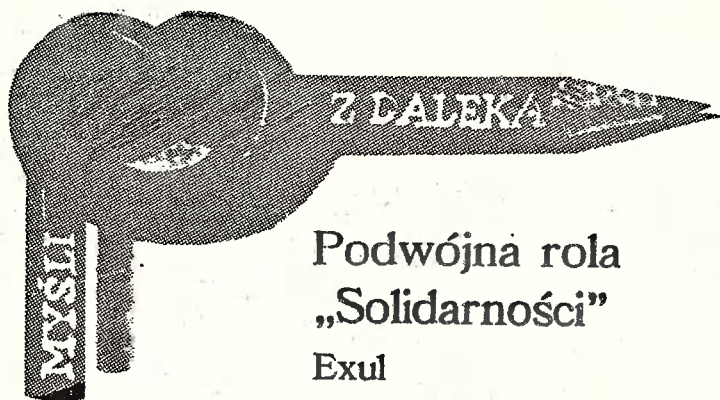
Warto dodać, że autor – zapewne w ramach zapełniania „białych plam” – korzystał z takich najnowszych źródeł jak: „Chrestomatija po nowoj istorii”, Moskwa 1953 czy „Nowaja istoria”, Moskwa 1959, o czym specjalnie zawiadania we wstępie do podręcznika (niezależnie od obszernej bibliografii na końcu książki).



— granice Stanów Zjednoczonych w końcu XIX w.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Janusz BEKSIĄK



## Podwójna rola „Solidarności”

Exul

**O**d roku 1939 Polacy żyją w kraju, gdzie od ekonomii ważniejsza jest polityka. Że tak było podczas wojny, to oczywiste. Potem komuniści – chociaż deklarują się jako materialści i determiniści, głoszą prymat bazy wobec nadbudowy a siłom wytwórczym przyznają rolę czynnika decydującego o procesach historycznych – głosili zarazem prymat polityki nad ekonomią. Co z tego wynikło, widzimy: poddana okrutnej tresurze gospodarka zwyrodniała do tego stopnia, że dzisiaj nawet I sekretarzowi KPZR trudno ją nakłonić do samodzielności...

A co się dzieje, kiedy gospodarka nie podlega dyktatowi polityki? Prosto rzecz ujmując, w krajach wolnego rynku funkcjonowanie gospodarki wyznaczone jest przez grę sił dwu zbiorowości: producentów i konsumentów. Oczywiście funkcje te nie są całkiem rozdzielne: producentami jest wielu, konsumentem – każdy człowiek. Tutaj przez „producentów” rozumiem, dla uproszczenia, nie robotników przy maszynach, ale tych, którym produkcja towarów przynosi zysk, a więc przede wszystkim właściciele przedsiębiorstw i akcjonariuszy. Producentom zależy na tym, by wytwarzać tanio a sprzedawać zyskownie. Konsumentom na tym, by kupować towary jak najlepsze i jak najtaniej. Producent chce jak najwięcej zarobić, konsument jak najobficiej (ilościowo i jakościowo) pochłaniać. Interesy ich są więc ewidentnie (choć wcale nie całkowicie, jak uczyli klasycy marksizmu pisząc o „kapitalizmie”) sprzeczne – ale zarazem obie strony potrzebują się wzajemnie. Gra ich interesów jest motorem rozwoju gospodarki wolnorynkowej.

Interesów tych bronią różne instytucje, organizacje i grupy nacisku. Wielkie banki, stowarzyszenia przemysłowców i giełda są typowymi reprezentantami producentów; konsumentów reprezentują typowo partie tzw. populistyczne, najrozmaitsze stowarzyszenia specjalne – i związki zawodowe. Pierwsi zabiegają o nowe technolo-

gie i wytwory, rozwój poszczególnych dziedzin, konkurencyjność wyrobów, usprawnienia i zwiększenie rentowności, rynki zbytu i wyrównywanie podaży z popytem. Drudzy walczą o zaspokajanie potrzeb, obniżenie cen przynajmniej w stosunku do zarobków, poprawę jakości dostępnych towarów, skracanie czasu pracy.

Wolny rynek towarów – to teren konkutowania ze sobą producentów o łaski konsumentów. Wolny rynek pracy, ściśle z tamtym związany, to teren przetargów producentów z konsumentami. Nie wszystko tu dzieje się całkiem żywiołowo. Nowoczesne społeczeństwa rozwinięte starają się, przy pomocy prawodawstwa, dbać o równouprawnienie producentów a zarazem chronić konsumentów przed wyzyskiem przez ustawy antymonopolowe i antykartelowe. Państwa przy pomocy ściąganych podatków, zapewniają utrzymanie własnym struktorem; wymiar podatków może być surowszy już to wobec producentów już to wobec konsumentów. Państwa opiekuńcze, zwłaszcza te, których ustawodawstwo tworzone pod wpływem socjaldemokratów, zapewniają pewien poziom życia wszystkim konsumentom, kosztami tego obciążając szczególnie producentów.

Superarbitrem w rozgrywkach między konsumentami a producentami bywa zwykle parlament danego państwa. Wobec tej najwyższej władzy obie strony usiłują jak najskuteczniej reprezentować swoje interesy, walcząc o ulgi podatkowe dla inwestorów – albo o ustawowe kontrole jakości towarów.

A jak to jest w PRL, na polskim gruncie realnego socjalizmu? W imieniu konsumentów występują co jakiś czas strajkujący robotnicy – to chodziło w latach 1956, 70, 76, 80... Ale kto tam reprezentuje interesy producentów? Jest jasne, że konsumentom zależy na mieszkaniach, ubraniach i żywności – ale komu zależy na ich produkcji? Na pewno chłopom indywidualnym, bo z tego żyją – ale któż, poza nimi samymi, broni ich interesów? Jeżeli jest taka instytucja, czy stronnictwo, jego obrona jest mało skuteczna, skoro rolnictwo opłacalne, to znaczy rodzinne, jest od czterdziestu lat traktowane gorzej, niż nieopłacalne. Można powiedzieć, że ktoś skutecznie broni interesów PGR-ów, ale trudno tę obronę uznać za obronę interesów producentów. Zapowiadane na 1 stycznia 1989 rozluźnienia przepisów dotyczących obrotu produktami rolnymi, zostały wymuszone głównie naciskiem konsumentów – protestujących przeciwko brakom w zaopatrzeniu.

Kto zaś broni interesów producentów przemysłowych? KIM są ci producenci? To WIELKA NIEWIADOMA gospodarki „realnego socjalizmu”. Nie wiemy bowiem, do kogo właściwie należą fabryki, kopalnie i zakłady budowlane. Bardzo wielu ich dyrektorom niewątpliwie zależy na dobrym funkcjonowaniu przedsiębiorstwa; ale przecież „dobre funkcjonowanie” w realnym socjalizmie – to wcale



nie znaczy produkcja opłacalna (jak to obliczyć, kiedy ceny sztuczne?) ani zaspokojenie potrzeb rynku.

Po tym przydługim rozbiegu przygotowawczym stawiam dwie tezy:

1. W strukturach państwowych PRL po prostu NIKT nie reprezentuje interesów producentów. (Słynne Urbanowe „Rząd się zawsze żyżywi” i ten ma sens: opłacalność jest dla rządu mało ważna).

2. Solidarność przynajmniej od połowy roku 1981 usiłuje reprezentować zarówno konsumentów (w których obronie powstała) jak i producentów – o których nikt inny skutecznie nie dba.

W tym paradoksie streszcza się cała trudność roli „S” w sferze gospodarczej. A także niesamowita nowość roli NSZZ, który przyjął na siebie funkcję rzecznika sprzecznych interesów: producenta/pracodawcy, który chce sprawić, by jego działalność przynosiła zysk, co pozwoli na spłatę długów, inwestycje, rozwijanie i udoskonalanie wytwórczości – i konsumenta/pracobiorcy, który chce towarów już teraz i jak najtaniej.

Brzmi to jak kwadratura koła, i dla wielu JEST kwadraturą koła. Ale czy do dzisiaj ktoś wskazał bardziej obiecującą drogę? Czy jest na horyzoncie inna siła społeczna, władna upomnieć się o produkcję i konsumpcję?

„S” już po kilku miesiącach istnienia zaczęła zdawać sobie sprawę z piramidalnego paradoksu a zarazem pilności swoich zadań w dziedzinie gospodarczej. I wysunęła program tworzenia i rozwoju samorządu pracowniczego.

Czy jest to rozwiązanie realne i skuteczne – na to pytanie nikt odpowiedzialny nie odpowie dzisiaj z całą stanowczością. Ale nie widać mniej bolesnego sposobu wybrnięcia z zasadniczej trudności gospodarki realnego socjalizmu, którą stanowi zanik poczucia własności (i odpowiedzialności) w przedsiębiorstwach państwowych.

O „Bitwie o samorząd 1980-1981” mówi ważna i ciekawa książka Szymona Jakubowicza, wydana właśnie przez „Aneks”. Z niej to wypisuję, na pocieszenie, dwa cytaty z lat 1947 i 1948, kiedy toczyła się ostra debata między teoretykami PPS-u – zwolennikami systemu gospodarczego opartego o samorządy a działaczami PPR-u – zwolennikami własności państwowej.

Hilary Minc, niebawem szef polskiej gospodarki, przestrzegał przed kryjącym się za programem samorządów pracowniczych jako gospodarzy przedsiębiorstw, niebezpieczeństwem przejścia od „przemysłu o elementach socjalistycznych do przemysłu o formach państwowo-kapitalistycznych, a następnie prywatno-kapitalistycznych”.

Roman Werfel atakował: „Nie byłby to socjalizm, lecz rodzaj kapitalizmu z kolektywną własnością poszczególnych zakładów pracy, ze wszystkimi minusami ustroju kapitalistycznego, z chaosem pro-

## FILMY VIDEO-KONTAKTU

I  
L  
M  
Y  
V  
I  
D  
E  
O  
K  
O  
N  
T  
A  
K  
T  
U

JÓZEF PIŁSUDSKI

Portret Marszałka wydobyty z archiwów filmowych

KULTURA

Spotkanie w Maisons-Laffitte

KOR

Dzieje Komitetu Obrony Robotników

PIWNICA POD BARANAMI

Wieczór w krakowskim kabarecie

oraz

17 innych tytułów

o rozmaitej tematyce:

historycznej, politycznej, społecznej, kulturalnej

do nabycia na zamówienie telefoniczne lub listowne

**video  
kontakt**

42, rue Raymond Marcheron

92170 VANVES, FRANCE

tel. (1) 46.45.87.16

(dla zainteresowanych bezpłatny katalog)

dukcyjnym, z kryzysami, z bezrobociem”.

*A może Werfel miał rację? Może samorząd pracowniczy to naprawdę w istocie „prywatno-kapitalistyczna” forma własności? Skoro zaś „minusy” ustroju kapitalistycznego okazały się powabniejszą i wygodniejszą od naszych plusów, i skoro w chaosie produkcyjnym nikt nam nie dorówna – to może czas skoczyć w to niebezpieczeństwo, przed którym uchroniono nas czterdzieści lat temu? I może warto przed skokiem przypomnieć sobie, że najsilniejsza i bardzo sprawnie funkcjonująca gospodarka Zachodniej Europy – RFN – oparta jest na systemie współdziałania samorządu pracowniczego w kierowaniu WSZYSTKIMI przedsiębiorstwami. Tam konsumenci są – ustawowo – równocześnie producentami...*

EXUL

# Anatomia wyzysku

Ernest Skalski

**U**podstaw polityki zatrudnienia w realnym socjalizmie znajduje się zasada Piotra I: „By ani jedna ręka w państwie nie próżnowała”.

W komunistycznym państwie, tak jak w feudalnym domini-  
nium, praca poddanych jest narzędziem służącym przede  
wszystkim realizacji celów stawianych przez suwerena. Ale nie  
stosuje się przy tym optymalnego doboru tego narzędzia, lecz  
zasadę maksymalizacji zatrudnienia. Rozumowanie jest proste:  
skoro poddany jest, zajmuje miejsce, je, zużywa jakieś rzeczy  
– a wszystko to jest państwowe i musi być przez państwo  
zrobione kosztem ważniejszych dlań wartości czy celów – to  
niechże ten człowiek robi jak może najwięcej. Nawet jeśli nie  
może dużo, to i tak zwróci chociaż część kosztów. Jest to  
właściwie uptylizacja potencjalnych zasobów pracy.

To prymitywne rozumowanie chyba by jednak nie zachowa-  
wało takiego znaczenia w krajach realnego socjalizmu już jako  
tako uprzemysłowionych, gdyby nie jego aspekt zupełnie  
pozagospodarczy, a mianowicie – przemożna potrzeba organi-  
zowania ludzi i kontroli nad nimi.

Socjologowie badający komunizm dochodzą do wniosku,  
że nie toleruje on społeczeństwa, czyli złożonej historycznej  
struktury, mającej zorganizowane grupy, wyartykułowane  
interesy. Potrzebuje jedynie ludności, lecz jednocześnie nie  
może sobie pozwolić na puszczenie luzem milionów jedno-  
stek, bo trudno dotrzeć do każdej z poleceniem i skontrolo-  
wać jej zachowanie. A do tego te jednostki mogą się same  
zacząć organizować. Konieczne są więc struktury stworzone i  
całkowicie kierowane przez władzę, obsługujące przy tym  
ważne dla państwa dziedziny: wojsko, szkolnictwo, gospodar-  
kę państwową, a do tego partię i wszelkie inne organizacje.

Nas tu interesuje akurat gospodarka, czy szerzej – ten obszar, na którym państwo ludzi zatrudnia. Skupia się ich tu najwięcej i przez najdłuższy okres w ich życiu. Kontrolni podlega przy tym najważniejszy rodzaj ich życiowej aktywności oraz podstawowe źródło utrzymania.

\*\*\*

Zatrudnienie ma więc dla państwa wymiar **ekonomiczny i policyjny** zarazem. Twierdzenie, że ma ono przeważnie socjalny charakter, objaśnia tylko część (i to nie najważniejszą) problemu. Tę stronę można by załatwić przy pomocy zasiłków. Poza tym, do potrzeby kontroli dochodzi troska o obraz gospodarki socjalistycznej, w której, z definicji, nie powinno być bezrobocia. Jest więc bezrobocie ukryte, ale niepoliczalne. Wszystko to jest na tyle ważne, że gdy nie wystarcza przymus ekonomiczny, stosuje się przymus administracyjny i fizyczny. W Polsce nie wyglądało to aż tak, jak w ZSRR, Chinach czy w Kambodży Pol Pota. Jednak podobne elementy występowały w ustawie o socjalistycznej dyscyplinie pracy w okresie stalinowskim, kiedy można było pójść do więzienia za jej naruszenie, w hufcach Służby Polsce, w korpusie węglowym Ludowego Wojska Polskiego, w systemie skierowań do pracy absolwentów, w ustawie o „pasożytach”, w militaryzacji zakładów pracy, czy wreszcie w przymusowym pośrednictwie i utrudnionych zwolnieniach z pracy. W PRL przymus tego rodzaju nigdy nie był powszechny, ni konsekwentny, lecz zawsze istniała i istnieje możliwość jego użycia.

Na co dzień dla ogółu wystarcza prosty przymus ekonomiczny. Prawie każdy musi pracować, by żyć. W konsekwentnym systemie komunistycznym może zostać jedynie pracownikiem państwowym, niezależnie od tego, jak nazwie się sposób jego zaszeregowania. W Polsce dotyczy to dwóch trzecich zatrudnionych, jako że system nasz – chwała Bogu – jest najmniej konsekwentny w krajach RWPG.

Jedyny pracodawca swoich poddanych, a zarazem zwierzchnik prawno-policyjny swych pracowników, może sobie pozwolić na daleko idącą dowolność w ustalaniu warunków pracy. A jest przedsiębiorcą, który przyzwyczaił się, że wszystko użytkuje za darmo: eksploatuje surowce, przejmując cudzy majątek, używa zastaną infrastrukturę, zanieczyszcza środowisko. Cokolwiek robi – robi to dla dobra swych poddanych-pracowników, którzy w poczuciu wdzięczności,

pewne elementy samofinansowania, ten wzgląd jest szczególnie istotny.

W Polsce powtarza się do znudzenia, że „postęp kosztuje”, co jest prawdą, podczas gdy w normalnej gospodarce się na nim zarabia. Jeśli więc brak rynku nie wymusza postępu, to niskie płace wręcz mu przeciwdziałają. Nie chodzi jednak tylko o stronę finansową; socjalistycznego menagera praktycznie rzadko limitują złotówki, a zawsze – fizyczny brak tego, co potrzebne do pracy. Ludzi już też. Jeden z nieodmiennie najwyższych składników zajętości na świecie, a „nie ma kim robić”. Przy tym wszystkim jednak, o pracowników z reguły jest stosunkowo najłatwiej. Nie trzeba ich sprowadzać za dewizy, składać z kilkuletnim wyprzedzeniem zamówień u kooperantów. Wystarczy nieco tylko poprawić warunki pracy – płace lub świadczenia socjalne zakładu – w stopniu nie wpływającym istotnie na kalkulację, a pracownicy sami przyjdą. W ten sposób zakłady tworzą sobie rezerwy pracy – ludzi, którym płaci się stale po to, aby zrobili coś od czasu do czasu; pod koniec okresu sprawozdawczego, czy inaczej, akurat jest coś pilnego i gdy jednocześnie ma się surowce, części, energię, transport itd. Rezerwowa armia bezrobotnych przekroczyła więc bramy fabryk i pełni swą rolę na etacie.

Być może, gdyby można było przyciągnąć pracowników podnosząc im płace aż do granic opłacalności, ich przepływ doprowadziłby do jakiejś racjonalizacji zatrudnienia. Na przeszkodzie jednak stoi centralna polityka płac, na różne sposoby blokująca te możliwości, oraz administracyjne przeszkody w polityce zatrudnienia. W pewnym okresie – nie tak dawno jeszcze – płacono się 500 proc. podatku za 1 zł ponadplanowego wzrostu płac! Kiedy zatem dochodzi do sytuacji, w której już naprawdę nie ma skąd pozyskać pracownika albo mu przyzwoliciel zapłacić, ogranicza się produkcję i usługi, pogłębiając inflację i kryzys, bo gdzie indziej płaci się – fakt, że przeważnie mało – ludziom nieużytecznym częściowo czy całkowicie. Nieraz z powodu braku ludzi do pracy w innym zakładzie.

\*\*\*

Praca jest czymś, co ma w realnym socjalizmie, „ustroju ludzi pracy” swój kult. Jest nawet fetyszyzowana w warstwie werbalnej. Gdy wyczerpuje się propagandowo „wyścig pracy”, pojawia się jej „współzawodnictwo”, czy inne szczegółowe określenia. Na miejsce wyeksploatowanych „przodowników

**WYDAWNICTWO KASET VIDEO**  
Wspomaga niezależne wydawców  
Kaset video w Polsce ▶ rozwój  
Nia ich kasety za granicą realiz  
Je filmy oparte na materiałach  
W kraju nie osiągalnych • przezn  
Cza dochód ze sprzedaży kaset n  
Rozwój kultury niezależnej w Pol  
ce • proponuje filmy o związane  
Z Polską tematyce politycznej, hist  
Rycznej, kulturalnej i społeczne  
• osobom zainteresowanym wysył  
My ulotki reklamowe z opise  
**POSZCZEGÓLNYCH TYTUŁÓW**

42, rue Raymond Marcheron, 92170 VANVES, France, tel: 46 45 87 16

16,1 proc. udziału płac w produkcji sprzedanej przemysłu – zdobycz „Solidarności”. Lecz gospodarka realnego socjalizmu nie była w stanie wytrzymać tego poziomu i tak dalekiego jeszcze od kapitalistycznej przedwrześniowej normy. Rok 1982, ze stanem wojennym i horrendalną podwyżką cen, sprowadził więc ten udział do 7,9 proc., aby potem wrócić do PRL-owskiego standardu, który w kolejnych latach obniża się.

Udział płac w kosztach własnych produkcji jest, siłą rzeczy, nieco wyższy niż w produkcji sprzedanej, lecz generalnie też niski i oscyluje w granicach 12-13,5 proc. ogółu kosztów, przy tendencji niżkowej w latach osiemdziesiątych. W krajach rozwiniętych udział ten jest trudny do ustalenia i bardzo zróżnicowany w różnych gałęziach produkcji, lecz można chyba przyjąć, że jest przynajmniej kilkakrotnie wyższy niż u nas, a są gałęzie, w których przekracza dwie trzecie kosztów.

Droga praca jest zaś podstawowym bodźcem dla postępu technicznego i wzrostu wydajności pracy. U nas on praktycznie nie funkcjonuje. Z punktu widzenia jednostki gospodarczej – która bezpośrednio organizuje pracę, jest tonajtańszy czynnik z potrzebnych dla produkcji. Budynki, maszyny, surowce i materiały, części zamienne i półfabrykaty, wszystko to jest przeważnie droższe od pracy. Jest ona ostatnim dobrem, które by się opłacało oszczędzać, zastępować nowym sprzętem czy większym zużyciem czegośkolwiek. Teraz, kiedy nadal centralnie się limituje wzrost płac, a reforma wprowadza

pewne elementy samofinansowania, ten wzgląd jest szczególnie istotny.

W Polsce powtarza się do znudzenia, że „postęp kosztuje”, co jest prawdą, podczas gdy w normalnej gospodarce się na nim zarabia. Jeśli więc brak rynku nie wymusza postępu, to niskie płace wręcz mu przeciwdziałają. Nie chodzi jednak tylko o stronę finansową; socjalistycznego menagera praktycznie rzadko limitują złotówki, a zawsze – fizyczny brak tego, co potrzebne do pracy. Ludzi już też. Jeden z nieodmiennie najwyższych składników zajętości na świecie, a „nie ma kim robić”. Przy tym wszystkim jednak, o pracowników z reguły jest stosunkowo najłatwiej. Nie trzeba ich sprowadzać za dewizy, składać z kilkuletnim wyprzedzeniem zamówień u kooperantów. Wystarczy nieco tylko poprawić warunki pracy – płace lub świadczenia socjalne zakładu – w stopniu nie wpływającym istotnie na kalkulację, a pracownicy sami przyjdą. W ten sposób zakłady tworzą sobie rezerwy pracy – ludzi, którym płaci się stale po to, aby zrobili coś od czasu do czasu; pod koniec okresu sprawozdawczego, czy kiedy akurat jest coś pilnego i gdy jednocześnie ma się surowce, części, energię, transport itd. Rezerwowa armia bezrobotnych przekroczyła więc bramy fabryk i pełni swą rolę na etacie.

Być może, gdyby można było przyciągnąć pracowników podnosząc im płace aż do granic opłacalności, ich przepływ doprowadziłby do jakiejś racjonalizacji zatrudnienia. Na przeszkodzie jednak stoi centralna polityka płac, na różne sposoby blokująca te możliwości, oraz administracyjne przeszkody w polityce zatrudnienia. W pewnym okresie – nie tak dawno jeszcze – płaciło się 500 proc. podatku za 1 zł ponadplanowego wzrostu płac! Kiedy zatem dochodzi do sytuacji, w której już naprawdę nie ma skąd pozyskać pracownika albo mu przyzwoliciel zapłacić, ogranicza się produkcję i usługi, pogłębiając inflację i kryzys, bo gdzie indziej płaci się – fakt, że przeważnie mało – ludziom nieużytecznym częściowo czy całkowicie. Nieraz z powodu braku ludzi do pracy w innym zakładzie.

\*\*\*

Praca jest czymś, co ma w realnym socjalizmie, „ustroju ludzi pracy” swój kult. Jest nawet fetyszyzowana w warstwie werbalnej. Gdy wyczerpuje się propagandowo „wyścig pracy”, pojawia się jej „współzawodnictwo”, czy inne szczegółowe określenia. Na miejsce wyeksploatowanych „przodowników

pracy" mogą przyjść „ludzie dobrej roboty”. Wyróżniający się w pracy otrzymują dyplomy i nagrody. Ich zdjęcia i nazwiska ukazują się na różnego rodzaju honorowych tablicach i w prasie. Dostają za to ordery, wchodzi – jako decorum – do wszelkim możliwych instancji, łącznie z sejmem i Biurem Politycznym KC. Wszystko to jest w zasadzie metodą – w Polsce już kompletnie bezużyteczną – wyłudzania dodatkowego wysiłku bez należnego ekwiwalentu. Towarzyszy zaś ona nie spotykanej dotąd deprecjacji pracy, będącej obiektem rabunkowej gospodarki w stopniu nie mniejszym niż surowce, infrastruktura oraz walory środowiska.

Świadomość tego wydaje się dziś już dosyć powszechna. Odpowiednie badania wykazują, że mniej więcej co dziesiąty pracownik zaledwie jest przekonany, że ma należycie zorganizowaną pracę i że może sensownie pracować. Większość w związku ze swoją pracą przeżywa różne stopnie frustracji, co jest obiektywnym faktem społecznym, mającym swój wymiar w gospodarce.

Jednym z głównych powodów tej frustracji jest, obok wszystkich wymienionych już okoliczności, poziom otrzymywanych zarobków. W połowie roku 1988 przeciętne miesięczne uposażenie w gospodarce uspołecznionej przekroczyło 45 tysięcy, przy czym mniej więcej dwie trzecie zatrudnionych nie osiągnęło tego poziomu, co jest raczej proporcją stałą od lat. Pomimo formalnych zobowiązań rządu, do tej pory nie zostało podane oficjalnie minimum socjalne. Resort płacy i spraw socjalnych nie mógł się zdobyć na ustalenie go w wysokości 7-8 tysięcy złotych na osobę, w obawie, że wywoła to wzburzenie licznych rodzin, które nie osiągają tego poziomu. W tym czasie Sieć wielkich zakładów, działająca w strukturach „Solidarności”, na tyle właśnie szacowała tzw. minimum wegetacji, co jest odpowiednikiem dawnego minimum biologicznego. OPZZ z kolei uważało, że minimum socjalne powinno – w 1987r. – wynosić średnio 12-14 tys. złotych miesięcznie i to wydawało się kwotą, o której można by już dyskutować; oczywiście tylko wówczas, nie później, po rozpoczęciu przyspieszenia podwyżkowego w 1988 roku.

Z badań budżetów domowych można wysnuć wniosek, że przy tej wysokości dochodów rodziny mające mieszkanie (i to mieszkanie już wyposażone w podstawowe artykuły trwałego użytku), a nie obciążone specjalnie chorobą czy przez jakieś inne okoliczności, mogły zaspokajać swoje bieżące potrzeby przeważnie na bardzo skromnym poziomie, czyli: żywność.



śódki higieny, przejazdy itp. – bez amortyzacji artykułów trwałego użytku. A jednocześnie wynikało z tego, że za przeciętne – niedostępne dla dwóch trzecich zatrudnionych w PRL – uposażenie, które przeważnie otrzymuje fachowiec ze sporym stażem, pracujący w pełnym wymiarze, nie można utrzymać siebie, żony i dziecka na poziomie tegoż minimum. Co najwyżej na krawędzi egzystencji biologicznej.

Nie jest to związane z kryzysem. Dziesięć lat wcześniej, gdy tak samo nieoficjalnie szacowane minimum socjalne miało wynosić poniżej 2 tysięcy na osobę, przeciętne uposażenie nie dochodziło jeszcze do 4 tysięcy miesięcznie. I we wszystkich wcześniejszych latach, kiedy nie było mowy o tym minimum, wiadano, że z przeciętnej, którą zawsze otrzymywała tylko mniejszość zatrudnionych, można było jedynie z najwyższym trudem utrzymać siebie i dziecko. W roku 1986 dochód na osobę w rodzinach pracowniczych wynosił prawdopodobnie (szacunek) około 14,5 tys. zł, czyli był nieznacznie tylko wyższy od postulowanego skromnego minimum.

Przy tych zarobkach poziom życia większości zatrudnionych zależy przede wszystkim od liczby osób pracujących i niepracujących w gospodarstwie domowym, a dopiero później od wysokości wynagrodzenia za pracę. Urodzenie się kolejnego dziecka może więc przekreślić materialne skutki wieloletniej kariery zawodowej, a jeśli musi to być związane z przerwaniem pracy przez żonę, może skazać rodzinę na biedę. Z kolei, śmierć emeryta ze starego portfela może dać znacznie większe efekty, niż istotne podniesienie kwalifikacji, korzystne przeszerowanie, czy zmiana pracy na lepiej płatną.

Ale nawet wysokość dochodów z pracy na członka rodziny, będąca obecnie punktem wyjściowym do rozważań nad poziomem życia, nie określa wszystkich jego istotnych parametrów. Badania GUS nad korelacją dochodów na głowę ze stanem wyposażenia rodziny w artykuły przemysłowe trwałego użytku wykazały, że taki związek istnieje jedynie w rodzinach emerytów i rencistów, których 60 proc. należy do najuboższej, czwartej grupy wyposażenia. Natomiast w rodzinach robotniczych i chłopskich nie zauważono takiej zależności. Częstokroć niskim dochodom towarzyszył wysoki poziom wyposażenia i odwrotnie. Tłumaczy się to ceną tych dóbr, nie pozostającą w żadnej proporcji ni do zarobków, ni do dochodów z tego tytułu na głowę.

Stwierdzenie, że fiat 126p (chyba najgorszy produkowany obecnie samochód świata), gdy się go chce kupić za realną cenę, czyli na giełdzie, stanowi równowartość więcej niż pięcio-

letnich przeciętnych zarobków, niczego jeszcze nie mówi. Nikt bowiem nie jest w stanie wydać wszystkich swoich zarobków na samochód. Istotne jest to, co w GUS-owskich badaniach budżetów gospodarstw domowych określa się jako „inne rozchody”. W tej rubryce, po zaspokojeniu wydatków bieżących oraz po zakupie odzieży i obuwia, znajdują się środki na zakup artykułów trwałego użytku. Otóż w rodzinach pracowników i chłopskich przeznaczają się na ten cel około 9-10 proc. rozchodów, w rodzinach emerytów – 7,7 proc. W pewnym przybliżeniu wynosi to w drugiej połowie 1988 roku sumę w przedziale 6-7 tys. złotych miesięcznie. Zakładając, że całą tę możliwą do wydzielenia sumę przeznaczono by na jeden tylko określony zakup, przeciętna rodzina pracownicza mogłaby kupić pralkę automatyczną po upływie około 13 miesięcy, telewizor kolorowy po 6-7 latach, „malucha” po 25 latach. (Mieszkanie pozostaje poza wszelką, teoretyczną nawet kalkulacją życiową. Takie, które się kupuje od ręki, czyli po cenie realnej, kosztuje około 300-600 tys. złotych od metra kwadratowego. Marne M-4 w substandardowych blokach, na księżycowym osiedlu, kosztuje zatem więcej niż większość pracujących zarobi w czasie całej swej zawodowej kariery od stażu do emerytury.\*

Przy zakupie większości dóbr – z wyjątkiem niektórych zakupów czarnorynkowych – w ich koszt należy wliczyć również czas i wysiłek niezbędny w celu znalezienia, wystania czy załatwienia tego, czego chce się nabyć, który to koszt nie jest uwzględniony przy wszelkich porównaniach międzynarodowych.

Poziom płac nie jest jedynym wyznacznikiem poziomu życia. Standard życiowy części rodzin jest wyższy, niżby to wynikało z ich regularnych zarobków, przeliczonych na jedną osobę. Pochodzi on z okoliczności czy starań, nieraz nielegalnych czy niezupełnie legalnych, z nieakceptowanych społecznie przywilejów, związanych ze stanowiskiem. Przeważnie jednak bierze się z dodatkowych prac: nadgodzin, tzw. fuch i chałtur. Często – z pracy za granicą, czyli albo z oficjalnych kontraktów, łączących się z upokorzeniem i wyzyskiem przez instytucje wysyłające, albo z saksów, czyli z pracy na własną rękę, połączonej z pewnym ryzykiem w kraju przebywania i po powrocie do Polski. Istotną pozycją jest pomoc z zagranicy, gdzie zdaje się ma kogoś co trzecia, jeśli nie więcej, rodzina. W każdym razie, w powojennej Polsce praktycznie nie zdarza się, aby za podstawowe wynagrodzenie za regularną pracę rodzina miała przyzwoite mieszkanie, dobre wyposażenie

nie w sprzęt techniczny, jakiś samochód, coroczny wyjazd na urlop, więc to, co stanowi standard większości pracujących w krajach zachodnioeuropejskich, w tym takich, jak Włochy, Hiszpania, Grecja.

Praca na etacie jest konieczna ze względu na tzw. „ciągłość”, świadczenia socjalne, poczucie przynależności. Zapewnia ona też egzystencję, lecz przeważnie tylko na bardzo niskim poziomie. Najczęściej – między minimum biologicznym, a socjalnym. Wszystko, co przewyższa ten poziom, wymaga odrębnych starań.

Jeśli zważyć, że już całe pokolenie przepracowało cały swój staż zawodowy w takich warunkach i że drugie już mija półmetek, nie dziwi pozycja, jaką zajmuje praca w rubryce „sprawa do załatwienia” w ankiecie przeprowadzonej w 1984 roku. Dom, mieszkanie znajduje się na pierwszym miejscu, gdyż wskazuje na to 41 proc. odpowiadających. Różne aspekty sytuacji materialnej wymienia 27,2 proc., natomiast lepsza praca interesuje tylko 3,5 proc. ankietowanych. Jak na razie, uzasadnione przecież rozumienie roli pracy w PRL, jej etos po czterech dziesięcioleciach, wydaje się jeszcze zadziwiająco dobry, świadczący o uznaniu dla innych, niż tylko materialne, wartości.

\*\*\*

Jeśli się jakiś sposób gospodarowania ocenia w długich historycznych okresach, to poziom życia jest dla tego stosunkowo najbardziej przydatnym miernikiem. Podtrzymanie egzystencji, a w epoce przemysłowej – jej poprawa, jest bowiem podstawowym celem aktywności gospodarczej, tak jednostek, jak i grup oraz całych społeczeństw.

Dane z 1935 roku służyc mogą już tylko bardzo przybliżonej orientacji. Za podstawę przyjęto 120 złotych ówczesnego wynagrodzenia robotnika przemysłu przetwórczego. Hutnicy zarabiali wówczas dwa razy więcej, majstrowie mogli dostawać i po 700 złotych, ale też na wschodnich kresach robotnicy zarabiali niekiedy i cztery razy mniej. Bardzo też były zróżnicowane ceny. Tu uwzględniono przeciętne z Rocznika Statystycznego. Dla roku 1988 przyjęto średnie uposażenie w gospodarce uspołecznionej – 40 tys. zł – i ceny również w większości GUS-owskie.

Tak więc w roku 1935 za 120 zł, a w 1988 za 40 tys. zł można było w przybliżeniu kupić: chleba żytniego 133 i 700 kg, mąki pszennej – 300 i 540 kg, ziemniaków – 1700 i 1000

kg, wieprzowiny z kością – 92 i 46-75 kg, wołowiny – 100 i 70 kg, masła – 39 i 43 kg, mleka – 522 i 1050 l, jaj – 1500 i 1200 szt., cukru – 96 i 24 kg, wódki czystej – 54 i 37 but. à 0,5 l.

Jak z tego widać, mąka i mleko staniały wielokrotnie, ale one ważą niewiele w budżecie, cukier – już nieco bardziej, lecz żadnych daleko idących wniosków z tych przesunięć, jak i relatywnego podrożenia mięsa, wysnuć nie można. Jedna rzecz wydaje się raczej niewątpliwa: otóż w ciągu tego półwiecza, przy dużych zmianach cen poszczególnych artykułów, nie nastąpiło w Polsce generalne potaniecie (w stosunku do zarobków) podstawowych produktów żywnościowych, co miało miejsce w rozwiniętych krajach. Na żywność – bez alkoholu – w gospodarstwach domowych wydaje się w Polsce od 37 do 51 proc. wydatków, podczas gdy w Hiszpanii wydaje się – licząc z winem – 31 proc., zaś w krajach bogatych – 20 procent.

Przy tym wszystkim jesteśmy niedożywieni. Z zestawienia faktycznych wydatków na żywność w gospodarstwach domowych z kosztami prawidłowej diety, opracowanej przez Komitet Gospodarstwa Domowego, wynika, że nawet w grupach najzamożniejszych pod względem dochodu na głowę wydaje się nieco poniżej normy KGD. Zaś w najbiedniejszych grupach wydaje się około połowy tego, co należałoby wydać. To znaczy, że całe prawie społeczeństwo nie dojada, z tym, że znacząca jego część – bardzo. Nie tylko złotówki wydawane na żywność, lecz również spożywane kalorie kształtują się prawie jak dwa do jednego między najbogatszymi i najbiedniejszymi. Przy czym największe niedobory występują nie w przypadku reglamentowanego mięsa, lecz warzyw i owoców, na które istnieje zrównoważony rynek. Po prostu nie starcza pieniędzy. Mało tego: w Polsce spożycie ziemniaków oraz mąki i pieczywa... wzrasta w miarę wzrostu zamożności! Pod koniec XX wieku, w centrum Europy, uprzemysłowione społeczeństwo „nie zarabia” na elementarne wyżywienie w odpowiedniej ilości i składzie – nie mówiąc już o coraz bardziej skandalicznym stanie żywności.

Sprawa jest przy tym bardziej złożona, niżby to wynikało z pobieżnego przeglądu niektórych cen, w różnych okresach i różnych krajach. W czasie mierzonymi pokoleniami, w przemyśle cywilizacji zmienił się model konsumpcji, a przede wszystkim pojawiły się w powszechnym użytku nowe artykuły, których wtedy nie było lub stanowiły tylko ekstrawagancki prototyp. Wyraźnie odczuwalny i nie kwestionowany postęp

materiałny w rozwiniętych krajach polega na tym, że w ciągu tego czasu artykuły te, przeważnie techniczne, coraz doskonalsze i relatywnie (nieraz bezwzględnie: elektronika) tańsze, stają się dostępne dla przeciętnej rodziny, przy jednocześnie zauważalnej poprawie „starych” elementów konsumpcji, a więc: warunków mieszkaniowych, wyżywienia, sposobu spędzania urlopu itd. Aby to było możliwe, aby mogły się w zarobkach zmieścić nowe produkty i by mogło się poprawić spożycie większości starych, te drugie też powinny generalnie stanąć w stosunku do zarobków w tym historycznym okresie. Szczególnie zaś dotyczy to podstawowej żywności, która przestaje być problemem w rozwiniętych krajach.

Tak się składa, że akurat małego – jak i dużego – fiata można było kupić w Polsce również przed wojną. Stanowił on równowartość niespełna 40 przeciętnych zarobków robotniczych (120 zł), by w końcu 1987 roku wynieść 50, jeśli chce się go kupić tak jak wtedy, czyli od ręki. W międzyczasie przeszło jednak pół wieku rozwoju cywilizacji i czterdzieści lat intensywnej industrializacji w Polsce. Wtedy samochodu nie chciała nawet większość tych, których byłoby nań stać – inne były wyróżniki zamożności – teraz, co chyba naturalne, pretenduje do niego prawie każda rodzina, a mieć go może w Polsce co czwarta. Przy innych, tańszych artykułach technicznych nie występuje to tak wyraźnie, ale mechanizm jest podobny. Realny socjalizm w długim okresie nie poprawia radykalnie przeciętnej stopy życiowej, przy licznych przesunięciach i ogólnym zmniejszeniu różnic. Nie pozbawia nas też całkowicie materialnych skutków postępu cywilizacyjnego, lecz dozuje je w bardzo umiarkowanym stopniu i za bardzo wysoką cenę. Uwzględniając wkład pracy ogromnej większości społeczeństwa – porównywalna z Zachodem intensywność, większa uciążliwość pracy – okazuje się ten ustrój, z punktu widzenia jednostki, jeszcze bardziej nieefektywny, niż w skali makro, gdzie występował chociaż wielki wzrost „ilościowo-wagowo-objętościowy”.

\*\*\*

Ta nieopłacalność staje się jeszcze bardziej widoczna, gdy się weźmie pod uwagę niepoliczalne aspekty jakości życia. Relacja dochodów i cen nic bowiem nie mówi o tym, że prawie wszystko, co się za ogromne pieniądze nabywa, jest przestarzałe, nieekonomiczne, nietrwałe i nieestetyczne, w porównaniu z przeciętnym standardem międzynarodowym. A wielką

część tego stanowią wręcz buble, nie nadające się do użytku prawie lub wcale, zaś kupowane są za pełną i to wysoką cenę. Wspominaliśmy o czasie i wysiłku potrzebnym dla kupna większości rzeczy i uzyskania większości usług, których jakość jest równie marna, odwrotnie proporcjonalna do ceny. Chaos na rynku i inflacja, wyrażająca się przeważnie zaskakującymi podwyżkami cen na większość towarów, nie pozwalają na planowanie budżetów i racjonalne prowadzenie gospodarstwa domowego.

\*\*\*

Według ustaleń GUS, prace domowe – bez zakupów – zajmują w gospodarstwie domowym średnio około 6 godzin dziennie. Zgodnie z danymi z końca lat siedemdziesiątych (od kiedy na pewno nie ma poprawy) codzienne zakupy żywności zajmują od godziny do dwóch, w dni przedświąteczne – dłużej. Do tego dochodzą nieregularne zakupy artykułów przemysłowych, dokonywane sporadycznie, przeważnie bardzo długotrwałe. Korzystanie ze służby zdrowia to rocznie na jedną rodzinę około 30 wizyt trwających średnio około półtorej godziny. Długie i przewlekłe jest załatwianie spraw w urzędach, w biurokratycznym systemie. Prawie wszyscy zatrudnieni dojeżdżają do pracy i z pracy na ogół w bardzo trudnych warunkach. W skrajnych przypadkach zajmuje to im 3–4 godziny w jedną stronę, a średnio, w miastach, w granicach godziny. Suma wszelkich koniecznych zajęć poza pracą, nie mieszczących się w pojęciu czasu wolnego, jest więc ogromna. Na samą obsługę domu z zakupami – można przyjąć – zużywa się przeciętnie raczej nie mniej niż 7–8 godzin dziennie, więc pełną dniówkę. W przeliczeniu jest to pełnowymiarowe zatrudnienie dla około 11 milionów osób, bo tyle jest gospodarstw domowych. Jeśli doda się to do około 18 milionów aktywnych zawodowo, pracujących, według danych CBOS, średnio około 10 godzin dziennie, to w przeliczeniu na normatywny czas pracy – wyjdzie zatrudnienie dla około 33,5 milionów przy 38-milionowej ludności i około 22 milionach osób w wieku produkcyjnym. Oznacza to więc dla większości stały wysiłek, znacznie przekraczający normalny czas pracy. To rezultat powszechnej pracy kobiet (stanowiących 45 proc. zatrudnionych), wynikającej przede wszystkim z tego, że przeciętna rodzina nie jest w stanie utrzymać się z jednego uposażenia. Niezależnie od kulturowych i emancypacyjnych aspektów pracy kobiet, ich praca okazuje się najbar-

dziej niezbędna dla rodziny właśnie wtedy, kiedy potrzebna jest również ich opieka nad małoletnimi dziećmi. Jest tych dzieci do 15 lat 9,4 miliona. Można do tego dodać 0,6 mln ludzi ponad 80-letnich i bliżej nie ustaloną liczbę osób niepełnosprawnych (wszystkich ich oblicza się na co najmniej 20 proc. populacji, lecz wymagających stałej opieki jest mniej). Można przyjąć, że w statystycznym gospodarstwie domowym jest jedna osoba wymagająca takiej opieki ze strony różnych instytucji.

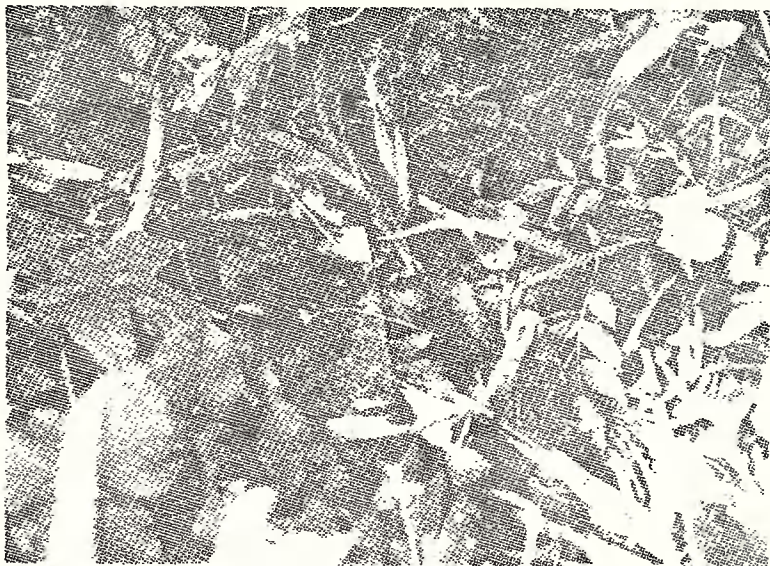
Ogólny i pogłębiający się niedowład sfery usług sprawia, że korzystanie z nich jest nie tylko czasochłonne, lecz powoduje nieustanną frustrację. Wywołują ją czynności, które w normalnych warunkach stanowią relaks, nagrodę za wykonaną pracę – jak choćby urlop, korzystanie z placówek kulturalnych, urzędzeń sportowych czy gastronomii.

Jest to w realnym socjalizmie zrozumiałe, ponieważ ta sfera jest faktycznie lekceważona, wyposażona gorzej, niż sfera produkcji materialnej i akurat tu nieliczni pracownicy, siłą rzeczy, muszą być najbardziej wydajni, ale też najbardziej przeciążeni, odreagowujący na klientach, na których im raczej nie musi zależeć.

Tak więc do zmęczenia i frustracji, jaką powoduje źle zorganizowana i nie zaspokajająca podstawowych potrzeb człowieka praca, dokłada się narastające zmęczenie i frustracja powodowana przez to, co dzieje się poza pracą. Wpływa to, oczywiście, dodatkowo na jej nie efektywność i określa jakość życia większości społeczeństwa. Trudno się zatem dziwić, że odbiera ono państwo, w którym żyje, jako wyzyskiwacza względem siebie, a niekiedy wręcz jako grabieżcę. Implikacje tego są tragiczne zarówno dla państwa, jak dla społeczeństwa. Ale to państwo jest dla społeczeństwa, a nie społeczeństwo dla państwa. I dlatego doprawdy trudno się dziwić coraz powszechniej odczuwanej konieczności zmiany tego stanu rzeczy. Od tego, jak ten proces zostanie przeprowadzony, zależy obraz Polski w XXI wieku, zależy los naszych dzieci i wnuków. A to, że przeprowadzony być musi dziś chyba już dla nikogo nie ulega wątpliwości.

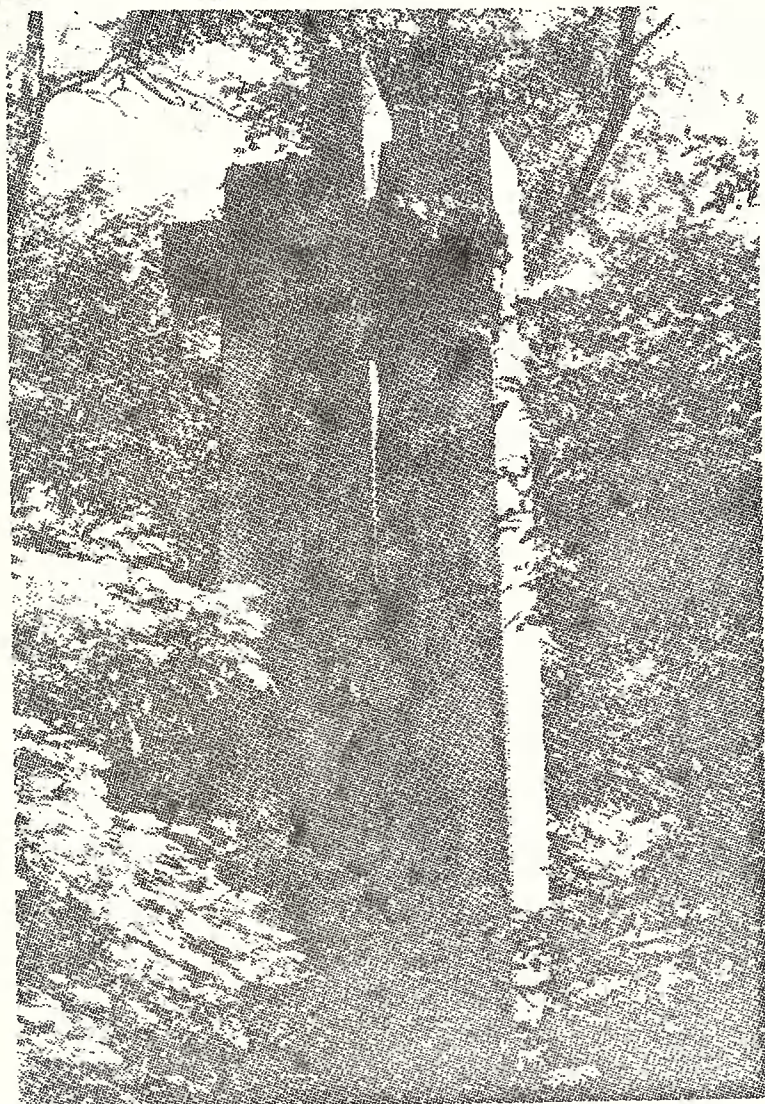
*Ernest SKALSKI*

(Materiał dostarczony z kraju przez Agencję MOST)

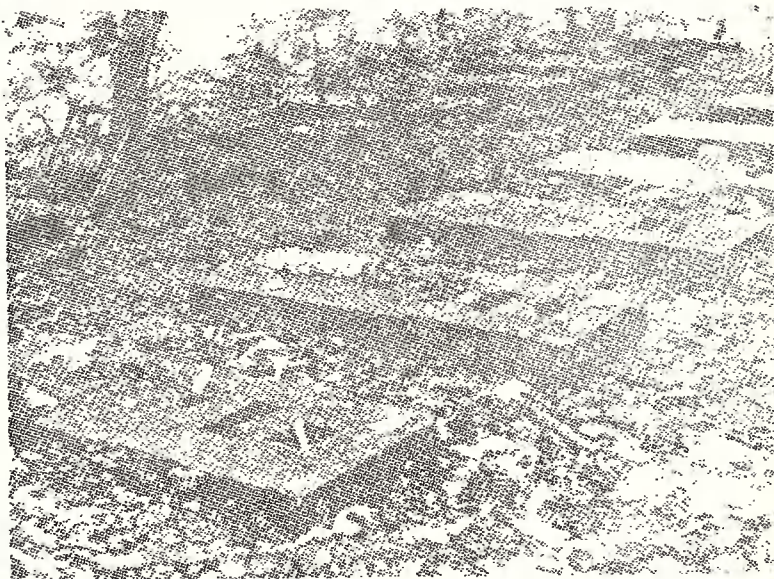
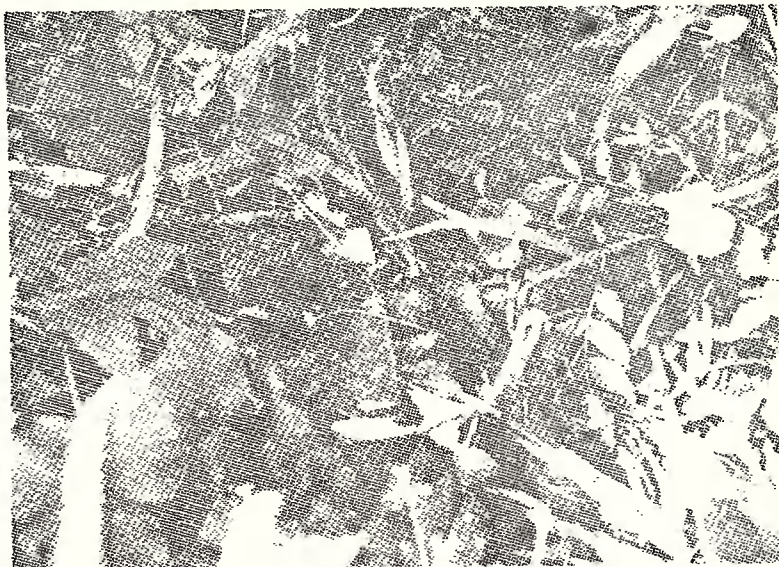


*Groby polskie we Lwowie. Stan obecny. (fot. R. i S.)*





Cmentarz Janowski. Uszkodzony krzyż, jedyna pozostałość po 500 mogiłach polskich żołnierzy i strzelców ukraińskich walczących o Lwów w latach 1918-19. Na miejscu mogił znajdują się obecnie wyłącznie groby rosyjskie (fot. R. i S.)



*Groby polskie we Lwowie. Stan obecny. (fot. R. i S.)*

# Lwowskie Orleńta umierają po raz wtóry

Aleksander Nebelski

Jak wygląda dzisiaj Cmentarz Orleńt Lwowskich na Cmentarzu Łyczakowkim? Niemal cały teren porośnięty jest zielskiem i krzakami. U stóp cmentarnej kaplicy (Rotundy) znajduje się warsztat kamieniarski. Ulokowany w b. . . . . skleconych barakach, z częściowym wykorzystaniem dawnych zabudowań - tonie w błocie. Dumnie natomiast stoi na swoim miejscu, kłując w oczy mieczem i napisem (MORTUI SUNT UT LIBERI VIVAMUS) Brama Tryumfalna. Ocalała tylko dlatego, że nie potrafiąco wytłumaczyć przybyłemu celem jej wysadzenia oddziałowi saperów, dlaczego należy zniszczyć tę zdrową budowlę... Stoi także świątynia (Rotunda), zamieniona obecnie na składowisko złomu i zniszczonych części samochodowych.

I są groby. Groby Orleńt - zapewne, nie wszystkie, ale jednak dużo, dobre kilkadziesiąt - zwłaszcza na odcinku pomiędzy Bramą a zakładem kamieniarskim. Z zerwanymi płytami, powyrzucanymi krzyżami - ale same groby, betonowe cembrowiny - pozostały. Zarośnięte krzakami przysypane ziemią; zapomniane. Prawie nikt tu nie zagląda, a jednak gdzie - nigdzie leżą zeschnięte wiązanki. Teren jest celowo zaniedbany, czeka na rychły już chyba moment, gdy trzeba go będzie - jako zapuszczoną ruinę - zniszczyć, wyrównać... Niepodobna trafić tu samemu. Trzeba zapytać po polsku jakąś staruszkę na cmentarzu, zaprowadzi bezbłędnie. W pozostałej części historycznego Cmentarza Łyczakowskiego zapomniane groby powstańców 1863 r. zarastają zielskiem, żelazne krzyże sterczą powyginane we wszystkie strony. Nikt tu nie zagląda, nie trafiają tu wycieczki "Orbisu" czy "Juventuru". Zapewne wkrótce i te, zapuszczone kwatery zostaną zrównane z ziemią. Podobnie dzieje się z wieloma polskimi grobami na Cmentarzu

Lyczakowskim, które jako zapomniane i zaniedbane, czyli niczyje, odsprzedawane są powszechnie nowym mieszkańcom Lwowa. Nie dotyczy to tylko sztandarowych, pokazywanych oficjalnie wycieczkom z Polski grobowców Konopnickiej, Zapolskiej, Ordona, Grottgera. To dowód, jak dba się tu o nieliczne pamiątki wszystkich mniejszości narodowych.

Na nasze narzekania na stan zapuszczenia polskiego cmentarza, wcale liczne ukraińskie kobiety, zmieniające świeże kwiaty przed krzyżami lub figurami świętymi na polskich grobowcach (właśnie dlatego, że stoi tam święta figura, a nie dlatego, żeby grób był „znajomy”) odpowiadały (po polsku): *A kto ma o to dbać? Zamiast narzekać, żeby tak każda polska wycieczka, która tu zachodzi, poświęciła 15 minut na oczyszczenie tych grobów, uporządkowanie - to by tu śniło, wówczas nikt nie śmiałby wam niczego zniszczyć. Ano prawda... I jeszcze: Żebyście naciskali wasze władze, czy jakieś organizacje u was, by dopominały się u tutejszych władz, że tu niszczejną zabytki, pamiątki kultury europejskiej... Kto to ma zrobić, jak nie wy?*

No właśnie - kto to ma zrobić? ZBOWiD? „Solidarność”? Każdy z Polaków, coraz częściej odwiedzających Lwów? Czy może nie ma już szans na uratowanie polskiego Cmentarza Łyczakowskiego, w tym i Cmentarza Orłąt? Otóż wydaje się, że są możliwości. Przypomnę tu jak lat temu parenaście zabrano się do ratowania zabytkowych lwowskich kościołów, pozamykanych przez władze i pozostawionych celem definitywnego zniszczenia wraz z upływem lat. Ludzie zaczęli protestować, pisać listy do władz (to specyficzna i dość skuteczna w ZSRR metoda), że oto ma miejsce skandaliczne marnotrawstwo dobra społecznego, że niszczejną budynki, które mogłyby jeszcze służyć społeczeństwu sowieckiemu, np. jako sale koncertowe ... Władze sowieckie ustępują częściej, niżby się wydawało - byle tylko nie ruszać polityki.

Większość jednak tych działań podjąć muszą lwowscy Polacy - a jest ich we Lwowie tylko 30 tys. (5 procent ludności miasta). Trzeba im pomóc, „dobijać się” za nich. Polacy w kraju powinni może spróbować powołać specjalne stowarzyszenie i fundację, zorganizować prasowy nacisk m.in. na nowo otwarty Konsulat PRL we Lwowie. Polacy zaś na Zachodzie, obok niewątpliwie koniecznego wsparcia finansowego, winni zorganizować wielkie *publicity* i to nie tylko w polskich pismach. Trzeba maksymalnie wykorzystać luzy *pierstrojki*: teraz - albo już nigdy!

Ukrainizację (a właściwie sowietyzację) Cmentarza Łyczakowskiego przeprowadzono w sprytny i tani sposób: oto

wzdłuż co główniejszych alejek poustawiano dodatkowe rzędy grobowców, z nazwiskami pisanymi cyrylicą - i datami z 2-jej połowy XX wieku... Często też spotyka się na cmentarzu stare grobowce, na których, obok starych dat i nazwisk polskich, pojawiają się począwszy od lat 40-ych nazwiska całkiem nowe pisane „bukwami”: rosyjskie, ukraińskie... No i gwiazdy, gwiazdy... - czerwona Droga Mleczna! Ale nie tylko, nowe krzyże trafiają się wcale często, tyle, że nie w tych ekspozowanych alejkach. Wystarczy bowiem dać krok w głąb, poza pierwszy szereg grobowców, by obraz zmienił się diametralnie. Nagle znajdujemy się na tym starym, pięknym, chociaż zaniedbanym polskim cmentarzu. Dostrzegłem tylko jeden powojenny grób z napisem po polsku, z lat 80-ych. Może to znak nowego? Może to dowód na to, że wbrew naciskom, a nawet szykanom władz - należy „dobijać się” o swoje? Natomiast wiele, niestety, widuje się starych, rodzinnych grobowców polskich, na których powtarza się to samo, co dawniej nazwisko - tyle, że od czasu „wyzwolenia” pisane zawsze „bukwami”. Na alfabet łaciński nie ma zgody.

A na marginesie refleksja: alfabet gotycki także godzi w system. Oto przykład, że „zacieranie śladów” metodą niszczenia grobów i cmentarzy właściwe zdaje się być „awangardzie światowego proletariatu” niezależnie od narodowości. W Jeleniej Górze, przy starym, ceglany kościółku w stylu neogotyckim jest cmentarz. Pośród wiekowych, dorodnych drzew znajdują się groby, na których są wyłącznie polskie nazwiska, zaś daty śmierci - pochodzą zawsze z 2-jej połowy XX wieku. Ale gdyby ktoś zechciał pofatygować się, znalazłby pod murem sporą górkę, częściowo już zarośniętą, z której wystają fragmenty starych, potłuczonych płyt nagrobnych, z napisami wykonanymi gotykiem w jakimś nieznanym „rdzennej” ludności języku...

Aleksander NEBESKI

# Ciało Rosji

## Leszek Szaruga

Jednym z najbardziej interesujących doświadczeń, z jakimi miałem ostatnio do czynienia, był udział w kilku dyskusjach toczonych w Niemczech na temat Europy Środkowej. Nieodmiennie zmierzały one zawsze ku swemu punktowi centralnemu: ku rozmowie na temat wzajemnych stosunków między oboma państwami niemieckimi, jakie wyłoniły się z drugiej wojny światowej. Początkowo dziwiło mnie to, później drażniło, wreszcie zaczęło bawić. „Ach tak – pomyślałem – teraz już wiem, gdzie leży ta mityczna Europa Środkowa: dokładnie między oboma niemieckimi państwami”.

2.

Każdy, jak się okazuje, ma swoją Europę Środkową. Ze swojej Kundera wyłączył Rosję i Niemcy. Jest to więc kraina, której terytorium kurczy się i rozszerza, pulsuje w dyskusjach, czasem znika, by się za chwilę wyłonić z oceanu słów.

Nie od dziś zresztą. Pisarze dziewiętnastowieczni umieszczali Bułgarię właśnie w Europie Środkowej – dziś Bułgaria leży gdzieś na peryferiach kontynentu. Ale z jego mapy zniknęło tymczasem wiele państw – czy to Macedonia podzielona obecnie, jak dawniej Polska, między trzech sąsiadów, czy to Litwa, Łotwa i Estonia, których dyplomatyczne przedstawicielstwa, symboliczne raczej, utrzymuje potęga

Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, czy to wreszcie Serbia. Błąka się po Europie duch niepodległej Ukrainy, która miewała co prawda okresy politycznej autonomii, lecz nigdy nie uzyskała niezależnego bytu państwowego – ma jednak, podobnie jak Białoruś, swoje przedstawicielstwo i osobny głos w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Swój osobliwy status polityczny eksponuje Finlandia stanowiąca – podobnie jak Węgry – językową wysepkę ugrofińską: jej przykład ma przerażać Europejczyków, którzy co jakiś czas słyszą o możliwości „finlandyzacji” swego kontynentu, na który rzucił olbrzymie ciało Rosji, a której wojska dotarły przecież swego czasu nawet do Paryża.

3.

Ale kurczą się i rozszerzają granice poszczególnych krajów. Jeśli więc mówimy, że Polska należy do Europy Środkowej, wówczas automatycznie pojawia się pytanie: jaka Polska? Gdy bowiem wyświetlimy film, którego bohaterem będzie terytorium tego kraju, zobaczymy wówczas, jak się ono rozszerza – obejmując w pewnym momencie przestrzenie łączące Morze Bałtyckie z Morzem Czarnym – by skurczyć się do zera i potem wyłonić z nicości, wreszcie przesunąć ze wschodu na zachód. W granicach tego kraju mieszkały różne ludy: Polacy, Litwini, Ukraińcy, Białorusini, Niemcy, Żydzi, Rumuni, Tatarzy, Ormianie. Panowali różni królowie – czy to Ludwik Węgierski, czy królowa Bona z Italii, czy władcy pochodzący z Saksonii lub Szwecji. Mieszały się wpływy różnych religii, zderzały języki. Polski parlament gromadził w XVIII stuleciu na równych prawach przedstawicieli Polaków, Litwinów i Rusinów.

Bez tych wszystkich doświadczeń nie byłoby Polski współczesnej w tym jej kształcie duchowym, w jakim się ona objawia światu i sobie samej. Istnieje zatem jakby zasadnicza tożsamość tych rozmaitych wcieleń politycznych, historycznych i geograficznych. Jeśli zatem się mówi, że Polska należy do Europy, że należy do Europy Środkowej, to nie można się ograniczać do Polski współczesnej, lecz należy ogarnąć jej całość, pełne bogactwo doświadczeń.

4.

Ale doświadczenie Polski jest dużo bogatsze i daleko wykraczające poza geograficzne terytorium. Jeden z

romantycznych poetów polskich stwierdził, że jego ojczyzna jest tam, gdzie on sam się znajduje, że ojczyznę niesie się w sobie po drogach świata. Stwierdzenie to jest niesłychanie ważne w wypadku narodu, który – jak ten właśnie, ale i wiele innych: Ormian, Węgrów, Litwinów, Rosjan, Czechów lub Rumunów – żyje na emigracji, w rozproszeniu, zakorzeniony nie tylko w ojczyźnie, ale w wielu oddalonych od niej miejscach świata. Bez emigracji XIX i XX wieku nie byłoby Polski współczesnej, inny byłby jej kształt duchowy. Doświadczenia narodu pomnażane były – i są nadal: spory odsetek wybitnych pisarzy polskich żyje dziś na wychodźstwie – przez doświadczenia emigrantów w innych krajach świata, przez wpływy innych kultur przefiltrowane przez dzieła własnej kultury.

Drobiny i cząsteczki składające się na tożsamość Polski – ale przecież także i innych krajów – mają często bardzo dalekie od europejskości pochodzenie. Procesy, które prowadzą do ich połączenia w jedną całość, są nieraz niezwykle skomplikowane. Nie sądzę, by można tu było mówić o jakichś dających się zmierzyć prawidłowościach – zwłaszcza współcześnie, w ciągu ostatnich dwustu lat, może nawet nieco dłużej, procesy te dają się porównać raczej do ruchów Browna niż sprowadzić do jakichś regularnych wzorów. Do historii Polski na przykład należą nie tylko wydarzenia w niej się rozgrywające, ale także udział generała Bema w walce o niepodległość Węgier, uczestnictwo Kościuszki i Pułaskiego w amerykańskiej wojnie secesyjnej, dwukrotny udział Polaków w walkach na terenie Hiszpanii – w czasie wypraw napoleońskich i w roku 1936, uczestnictwo dowódców polskich w Komunie Paryskiej, nie wspominając o wkładzie w obronę Londynu czy działania na innych frontach II wojny światowej w składzie rozmaitych armii sojuszniczych. W prawie wszystkich tych wypadkach niewiele to wszystko ma wspólnego z Europą Środkową, a tworzy tkankę historycznej pamięci Polaków.

5.

Komplikacji z Europą jest dużo więcej. Wzajemne wpływy – zarówno te widziane gołym okiem, jak dyskretne, podskórne, wymagające już oka uzbrojonego – przebiegają wielokierunkowo, w każdej dziedzinie inaczej. Czym innym jest tu Europa jako pojęcie polityczne, czym innym jest jako kategoria kulturalna – rozdzielanie jednak tych poszczególnych znaczeń terminu „Europa” wydaje się cokolwiek dziwaczne i



nierozsądne. Niewątpliwie wiele nas dziś dzieli od tej wspólnoty, jaką stanowiła Europa średniowieczna, z jej uniwersalnym językiem modlitwy i kultury jakim była łacina. Wiele też odgradza nas od Europy zamorskich imperiów – czy to brytyjskiego, czy francuskiego, holenderskiego, portugalskiego czy hiszpańskiego: Europy centrów dalekich kolonii. Ale w spadku po jednej i drugiej odziedziczyliśmy poczucie wyjątkowej roli cywilizacyjnej i dla wielu Europejczyków ich własny kontynent wciąż stanowi centrum świata. Czy słusznie?

Jeżeli Kongres Wiedeński, który zapoczątkował linię traktatów sankcjonujących – łącznie z konferencją w Helsinkach – podziały na strefy wpływów, był jeszcze dziełem samych Europejczyków, to już wydarzenia obecnego stulecia odbywają się przy udziale zamorskiej potęgi: USA. Warto w tym kontekście przypomnieć choćby postulaty prezydenta Wilsona żądające po I wojnie światowej między innymi odbudowy państwowości polskiej – nie przypadkiem w Warszawie mianowano jego imieniem jeden z głównych placów, dziś przechrzczony na Plac Komuny Paryskiej, lecz przez warszawiaków nadal nazywany „prawdziwym” mianem. Ale Wersal i Monachium wciąż jeszcze sankcjonowały względną samodzielność Europy. Skończyło się to ostatecznie w Teheranie, Jalcie i wreszcie w Helsinkach.

Kongres Wiedeński jest momentem narodzin współczesnego pragmatyzmu politycznego. Ale jest też chwilą, w której rozwiązywanie problemów kontynentu stało się możliwe wyłącznie w wyniku układów wielostronnych. Nie ma powodów po temu, by ową praktykę polityczną pochwalać – przeciwnie: wszystkie dotychczasowe doświadczenia potwierdzają jej słabe strony, do których należy dominacja siły, dyktat wygody i cynizmu, brak długofalowej wizji. Niezależnie jednak od tego stanu rzeczy nie podobna go ignorować jako sfery realiów.

6.

Z punktu widzenia Rosji Europa jest całością, nie da się podzielić na jakieś wyodrębnione obszary. W znakomitym poemacie Aleksandra Błoka „Scytowie” przeciwstawienie Rosji Europie i fascynacja Rosji Europą to dwa nierozdzielnie ze sobą związane punkty widzenia. Może też warto uświadomić sobie fakt, że zarówno dla obserwatora amerykańskiego z, powiedzmy, Iowa City i obserwatora rosyjskiego z

Swierdłowska Europa wygląda podobnie – mały spałachetek ładu podzielony dziwaczną szachownicą państwem. Z obu tych perspektyw Europa jest całością – trochę egzotyczną, nieco niepojętą. Z obu też stanowi – szczególnie w odniesieniu historycznym – kolebkę współczesnej cywilizacji, z której doświadczeń oba te współczesne mocarstwa w różny sposób wyrosły: w oporze wobec Europy i w fascynacji Europą. Ameryka i Rosja to lustra, w których Europa może obejrzeć swoją dwoistość.

7.

Milan Kundera pisze: „Po wojnie ukształtowały się w Europie trzy zasadnicze sytuacje: sytuacja Europy zachodniej, sytuacja Europy wschodniej oraz sytuacja Europy środkowej”. Taki podział budzi rozliczne wątpliwości. Bo czyż do Europy zachodniej można w takim wypadku zaliczyć Portugalie Salazara, Hiszpanię Franco lub Grecję pułkowników? A nie były to w końcu twory tak bardzo epizodyczne, nieważne. Czy tworzyły one jeszcze jakąś inną sytuację Europy? A jaką „sytuację Europy” tworzyły bunty „dzikiego” pokolenia 1968 w RFN i Francji?

Cóż – z pewnej perspektywy mamy do czynienia rzeczywiście z sytuacjami epizodycznymi, z innej – bliższej – wydają się znaczące i trwałe. Może do takich epizodów należy też „sytuacja Europy środkowej”? Nie wiem. Jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości – wszystkie te sytuacje składają się na pełną tożsamość europejską. I nie ma powodu, dla którego należałoby specjalnie odróżniać, stosując różne sofistyczne w istocie sztuczki, przewrót „czarnych pułkowników” w Grecji od przewrotu dokonanego przez generała w czarnych okularach w Polsce. Oba mają ten sam, antydemokratyczny charakter. Nie ma też powodów, by oddzielać różnymi barierami znaczeniowymi bunty młodzieżowe z roku 1968 w Polsce i Jugosławii z jednej strony, zaś w Niemczech i Francji z drugiej. Nie różnią się od siebie w sposób zasadniczy amerykańskie Pershingi z jednej, zaś sowieckie SS-20 z drugiej strony – funkcjonują i zagrażają Europie w ten sam dokładnie sposób. A z kolei – by dalej zacierać różnice – spytajmy: czy „rewolucja goździków” w Portugalii tak znów bardzo, zwłaszcza dla zwykłych obywateli, różniła się od radości „Praskiej Wiosny”? Ci sami hippisi paradowali po ulicach Amsterdamu i Warszawy, tych samych Beatlesów słuchano w Budapeszcie i Londynie, zaś jeansowy mundurek był – ponad

granicami – wspólnym znakiem rozpoznawczym młodzieży całej Europy.

Dodajmy do tego jeszcze jedno: trwodek przed Rosją towarzyszyła i towarzyszy fascynacja Rosją; krytyce Ameryki wtóruje zachwyty Ameryką.

8.

Mówi się, że Europę przygniata ciało Rosji. Ale o tym mówią przede wszystkim ludzie mieszkający na wschód od Łaby (nawiasem mówiąc to chyba niezły tytuł filmu: „Na wschód od Łaby” – byłby to film o raju utraconym, który opisuje Kundera). Na zachód od Łaby mówi się o dominacji Ameryki.

Ameryka składa się z Europy. Intelktualiści amerykańscy przyjeżdżają na „stary kontynent”, by odnaleźć smak: czego? Także utraconego raju. I jest im wszystko jedno czy przebywają w Warszawie, Berlinie, Budapeszcie czy Paryżu. Zwiedzają tu wszędzie te same kościoły i muzea, odczytują wszędzie te same łacińskie inskrypcje – odnajdują własne korzenie.

Intelktualiści europejscy – czy to Jean-Paul Sartre, czy Günter Grass – buntują się przeciw ogarnięciu Europy przez Amerykę. Buntują się przeciwko amerykańskiej organizacji życia niosącej upadek kultury. Mówią, że Europę przygniata ciało Ameryki.

9.

Zastanawiam się często, gdzie tu miejsce dla Europy Środkowej, co oznacza Europa Środkowa. Przed chwilą, idąc do kawiarni w Berlinie Zachodnim parokrotnie słyszałem na ulicy rozmowy po polsku. W Londynie mówi się o zakorzenionej w tym mieście „little Poland”. W Paryżu działają trzy polskie wydawnictwa – w tym jedno o trudnych do wymierzenia dla kultury narodowej zasługach – i można żyć tam całe miesiące nie rozmawiając inaczej niż po polsku. Wszędzie czuję się u siebie: w Europie, w Polsce.

Ale, oczywiście, są też różnice. Gdy włóczę się po berlińskim KaDeWe, po bodaj największym na kontynencie dziale produktów spożywczych, ogarnia mnie przerażenie, gdy porównuję to „muzeum żarcia” z wyszarzałymi, brudnymi i zapełnionymi byle czym półkami warszawskich sklepów. Gdy idę berlińskim parkiem w czasie, gdy w Gdańsku znów strajkuje stocznia domagająca się w istocie tylko prawa do

normalnego życia, czuję się jak zdrajca. Tylko dlaczego nie myślę wtedy o Nikaragui, o Etiopii, o Libii? Wiem dlaczego: bo jestem podwiązany wszystkimi nićmi, wszystkimi włóknami mego organizmu do Europy właśnie. I jestem przekonany, że to tu, po tej stronie berlińskiego muru odnajduję europejską normę, o którą upominają się robotnicy strajkujący w Gdańsku.

Lecz oni patrzą raczej w stronę Ameryki niż Europy. I specjalnie mnie to nie dziwi: to nie Europa wymyśliła plan Marshalla.

10.

Ciało Rosji... Nie zgadzam się, gdy ktoś mówi, że Rosja pozostaje poza granicami Europy. Że jest czymś z natury innym. Bo czymże by była dziś, gdyby nie zrodzona w Paryżu, w czasie Rewolucji Francuskiej, europejska mentalność rewolucyjna? Czymże by była bez niemieckiej filozofii i bez niemieckiej polityki? Ale też czymże by była bez europejskiego na wskroś Osipa Mandelsztama, bez wielkiej Europejki Anny Achmatowej, bez europejskiego do szpiku kości Borysa Pasternaka?

Rosja jest tak samo złożona z Europy jak Ameryka: to dwie siostry, bliźniaczki syjamskie zrosnięte wspólnym organem – sprzedaną przez Rosję Ameryce Alaską. I wspólną ideą: uratowania Europy przed nią samą, a także wbrew jej woli.

11.

Sen Kundery o Europie Środkowej jest snem bardzo pięknym. Przyśnił się pisarzowi w Paryżu – to dobre miejsce dla podobnych marzeń. Tu się bowiem rozpoczął – lub ponowił, jeśli pamiętamy całą historię kontynentu – proces „utrąty europejskości”. Dokładnie 200 lat temu, w roku 1789. Pytanie jednak można sformułować tak oto: czy „odwrót od europejskości” nie jest zarazem jakimś jej potwierdzeniem? Umiejętność kwestionowania własnych mitów i dogmatów jest być może tym, co ocala, co nadaje ruch i tworzy dynamikę przemian kulturowych. I może właśnie pozbawione tej umiejętności cywilizacje skazane są na powolną śmierć, gdy tymczasem Europa sama siebie kwestionująca i znów powracająca ku swym korzeniom jednak trwa i tworzy wciąż nowe dzieła.

Jeśli tak na to spojrzeć, wówczas być może zarówno

narodziny 200 lat temu „mentalności rewolucyjnej” okazać się czymś dla Europy zbawiennym. Być może kryzys – który to już w historii kontynentu? – okaże się zbawczym przesileniem? Tego nie wiemy i wiedzieć nie możemy. Wiemy natomiast, że w kulturze europejskiej mit katastroficzny powraca dość regularnie, bodaj czy nie stanowi jednego z jej głównych wątków.

Wiemy natomiast, że zarówno Rosja i Ameryka – każde na swój sposób – są tworcami europejskiej cywilizacji, która z jednej strony Europę kwestionuje, z drugiej jednak ją potwierdza: przypomnijmy tylko mity o „dzikich” przeciwstawiane upadłej kulturze Europy. Dramatyczna to dialektyka, ale nikt nie wie czy przeznaczeniem, losem Europy nie jest właśnie dramat. Dramat napisany (czy zapisany) przez Sofoklesa i powtarzający się do dzisiaj. Nie tylko w literaturze.

## 12.

Skoro ten dramat trwa, nie ma powodu, by uważać – jak sądzi Kundera – że „Europa traci poczucie własnej tożsamości kulturalnej”. Tak zapewne mogło się wydawać w okolicach roku 1968, gdy zachodnie fale buntów przeciw bibliotekom i muzeom nałożyły się na inwazję Czechosłowacji, tworząc zgrzytliwy asonans. Dziś, dwadzieścia lat później, wszystko to wygląda inaczej. Okazało się, że właśnie ów bunt stał się impulsem powrotu ku wartościom kultury. Jest to paradoks, ale wydaje się, że kultura europejska właśnie z podobnych paradoksów czerpie siłę i zdolność do dalszego trwania. Błędem Kundery wydaje się spojrzenie z krótkiej perspektywy czasowej.

Efektom tego błędu jest utworzenie absolutnie sztucznej kategorii Europy Środkowej, która jawi się czeskiemu pisarzowi jako rodzaj skansenu, dostojnego muzeum czy nawet „strażnika pieczęci”. Charakterystyczne przy tym, że kategoria ta zaczęła w większości dyskusji – zwłaszcza w Niemczech Zachodnich – pełnić rolę zupełnie odmienną od tej, jaką chciał jej nadać Kundera: przekształciła się mianowicie w termin ściśle polityczny.

## 13.

W rozważaniach Kundery uderza jeszcze jedna pomyłka – dość zresztą charakterystyczna: określa on Europę Środkową jako „ojczyznę małych narodów”. Z historycznego punktu

widzenia określenie to wydaje się co najmniej dyskusyjne. Zarówno Polska i Węgry – dwa kraje bez wątplenia zaliczane przez pisarza do Europy Środkowej – do dziś żyją pamięcią swej dawnej wielkości, także pamięcią swych zwycięstw. Potęga Polski, potęga Węgier, potęga Austrii to ważne fundamenty późniejszych snów tych narodów. To także podłoże ich współczesnych kompleksów wobec zwycięzców dyktujących dziś swą wolę Europie. Charakterystyczna jest przy tym postawa wielu Czechów – z jednej strony, także w kulturze, widoczna jest tu fascynacja Niemcami, z drugiej zaś – jak zauważa François Bondy – pojawia się następujące pytanie: „jeśli komunizm Stalina jest zjawiskiem obcym Europie, dlaczego w Czechosłowacji znalazł więcej zwolenników niż kiedykolwiek w Rosji?” Wydaje się więc, że Kundera dokonuje projekcji czeskich kompleksów na cały obszar określany przez siebie jako Europa Środkowa.

14.

Dokonuje też Kundera dość zaskakującego zabiegu. Pisze mianowicie: „w XX wieku Żydzi byli głównym elementem kosmopolitycznym i integrującym Europę Środkową – byli jej intelektualnym spoiwem, kondensacją jej ducha, twórcami jej duchowej jedności”. Nie sądzę, by teza ta była prawdziwa – zaś jeśli tak, to na pewno nie w odniesieniu do samej tylko Europy Środkowej, lecz do całej Europy. Przykłady można mnożyć bez końca – czy to powołując się na dorobek Bergsona, czy Einsteina. Listę nazwisk ludzi kultury i nauki pochodzenia żydowskiego w całej Europie dałoby się spisywać stronicami, nawet w wypadku ograniczenia się wyłącznie do tych, którzy zobyli pozycję znaczącą. Również w Rosji – od Mandelsztama poczynając. Teza, że Żydzi w Europie Środkowej odgrywali jakąś szczególną rolę, odmienną od tej, jaką odegrali w innych częściach kontynentu, jest tezą dziwną. Równie zresztą dziwną jak ta, że odgrywali rolę wyłącznie pozytywną – wystarczy prześledzić rolę działaczy pochodzenia żydowskiego w ruchu komunistycznym. Jak widać, również i ten wyróżnik, jaki odnalazł Kundera podczas konstruowania swego pojęcia Europy Środkowej, jest mocno problematyczny.

15.

A oto definicja małego narodu, którego ojczyznę ma być

Europa Środkowa: „mały naród – pisze Kundera – to taki, którego istnienie może w każdej chwili zostać zakwestionowane, który może zniknąć i o tym wie”. Dlaczegożby więc z „ojczyzny małych narodów” wykluczać kraje bałtyckie, z Finlandią włącznie? Otóż dlatego, że włączenie do niej Finlandii rozsypie w gruzy całą koncepcję. A kraje i narody zamieszkujące i tworzące dzisiejszą Jugosławię? Jak widać, nie takie to wszystko proste. Zmiana, nawet drobna, punktu widzenia powoduje rozmycie granic Europy Środkowej, tej współczesnej Atlantydy. Ale też i do tego zmierzam.

Wpływy i nawarstwienia, osmotyczne procesy w tyglu kultury europejskiej przebiegają czasem w sposób zaskakujący i trudno przewidzieć z góry ich efekty. Opowiadała mi niedawno w Paryżu Natalia Gorbaniewska, jedna z bardziej interesujących poetek rosyjskich, o pewnym spotkaniu, które odbyło się w Moskwie bodaj na początku lat sześćdziesiątych. W czasie tego spotkania, czysto towarzyskiego, zebrani w prywatnym mieszkaniu młodzi pisarze rosyjscy czytali przekłady hiszpańskich romanów. Nie byłoby w tym nic specjalnie dziwnego, gdyby nie fakt, że czytano te teksty po polsku, zaś autorem przekładów był poeta, który na polski tłumaczył także wiersze Mandelstama. Stare poezje hiszpańskie czytane we współczesnej Rosji po polsku to zjawisko, które nie jest w Europie niczym nowym lub zaskakującym. Takie zjawiska świadczą o jedności i niepodzielności Europy, bogactwa i dialogu wewnętrznego jej kultury. Tymczasem kategoria Europy Środkowej niebezpiecznie bogactwo to redukuje, utrwalaając w kulturze podziały polityczne.

16.

Upowszechnia Kundera mit, że Europa Środkowa na początku tego stulecia „stała się ogromnym, może największym centrum kultury”. Tym samym też obecnie, kontynuując tradycje wówczas powstałe, odgrywa szczególną rolę jako obrońca prawdziwych wartości kultury europejskiej.

Tu już warto zacząć się spierać bardzo poważnie. Osobiście bardzo daleki jestem od niedoceniań twórczości Bartoka, Kafki, Haska czy Witkacego. Niemniej nie wydaje mi się, by tu właśnie, na terytoriach, na których twórczość ta powstawała – rozgrywały się wszystkie wydarzenia dla kultury europejskiej najważniejsze. Ba – w literaturze polskiej istnieje gruntownie

uzasadniona teza o plagiatowym charakterze polskich przewrotów artystycznych. Jest to teza, jak każda inna, bardzo dyskusyjna. Niemniej warto zauważyć, że jeden z rewelatorów polskiej poezji, Tadeusz Peiper, przywiózł swoją koncepcję z Hiszpanii.

Gdy jednak mowa o poezji, warto sobie uświadomić, że najciekawsze zjawiska początku stulecia nie tylko nie miały miejsca w Europie Środkowej, lecz nawet nie w Paryżu, Rzymie, czy Berlinie. Dziś coraz wyraźniej widać, że pewne procesy tak dla współczesnej kultury europejskiej ważne, rozpoczynały się na jej obrzeżach. Bo choć na pewno nie można sobie wyobrazić tej kultury bez tak wielkich prozaików – też w większości spoza obszaru Europy Środkowej – jak Joyce, Proust, Mann, Broch czy Musil – to przecież, przynajmniej w moim pojęciu, najciekawsze z dzisiejszego punktu widzenia procesy odbywały się w poezji, która najprecyzyjniej prześwieśla i ożywia europejskie mity. I tu właśnie warto zwrócić uwagę na dwa centra: jedno w Ameryce, drugie w Rosji.

Myślę tu o ruchach nawiązujących do tradycji klasycystycznych. Pierwszym z nich jest anglo-amerykański nurt reprezentowany przez Eliota, Pounda, Hulme'a czy Aikena, drugim – grono akmeistów rosyjskich z Mandelstamem, Gumilowem i Achmatową. To niezwykle interesujące, że właśnie tu, na obrzeżach przede wszystkim (warto w tym kontekście przywołać także twórczość greckiego poety Kawafisa) odnajdujemy postawę nakazującą powrót do źródeł kultury europejskiej. Dziś współbrzmienie głosów tych poetów jest lepiej słyszalne niż przed niewiele jeszcze laty, co także świadczy o reorientacji buntowniczych tendencji europejskiej kultury. Ale też dziś obserwujemy powrót ku formom klasycyzmu: czy to w twórczości Brodskiego, czy Seiferta, czy wreszcie Miłosza – by ograniczyć się do niedawnych laureatów nagrody Nobla.

Może jest w tym coś symbolicznego, że klasycystyczne odrodzenie – które zapewne niedługo samo siebie podda w wątpliwość – rozpoczęte zostało w Ameryce i Rosji.

17.

Czy istnieje jakiś punkt zetknięcia tych wielu osi, które przecinają i przecinały Europę? Pamiętamy przecież rozróżnienie między śródziemnomorską kulturą Południa i kulturą Północy z jej mrocznymi mitami. Nakłada się na to



podział na kulturę Wschodu i kulturę Zachodu. Mało kto chce i potrafi przyjąć w siebie całość, czerpać swobodnie ze wszystkich doświadczeń. Dokonujemy zatem wyborów, po czym, zależnie od temperamentów i osobistych skłonności, zaczynamy licytację, w której chodzi o dowiedzenie, kto z nas jest lepszym i prawdziwszym Europejczykiem. Dowiadujemy się zatem, że dobrym Europejczykiem jest tylko przedstawiciel awangardy, by po chwili usłyszeć, że przeciwnie – jedynie konserwatysta. Ktoś z hukiem wywala za drzwi Europy Dostojewskiego, kto inny znów wprowadza go tu z powrotem, rozwijając przed nim czerwony dywan. Za chwilę, choć nie bez zastrzeżeń, ktoś zaczyna zaliczać do tradycji europejskiej twórczość Hemingwaya czy Faulknera, zaś wtóruje mu inny wywodząc europejskość Borgesa i Marqueza. Trwa przeraźliwy zgiełk.

Skąd ten zgiełk powstaje? Myślę, że ze zderzenia się z sobą dwóch tendencji, z których pierwszą określiłbym jako dośrodkową, europocentryczną, drugą zaś jako odśrodkową. Pierwszą z nich bez wątpienia reprezentuje Kundera. Do przedstawicieli drugiej zaliczyłbym polskiego prozaika Jacka Bocheńskiego, który w szkicu „Niepodległość wśród ludzkości” pisze: „Wśród inteligencji polskiej wciąż jeszcze mało kto dostrzega, że środkiem ciężkości świata przestał być Paryż, że – co więcej – przestają być nimi także Waszyngton i Moskwa, że ów środek jest już w miejscu niezbyt określonym, a niesłychanym, jak gdyby w Azji, jak gdyby w Ameryce Łacińskiej, może w afrykańskim buszu”. To, oczywiście metafora – bardzo piękna i bardzo pojemna. Ta metafora uwalnia od polskich, środkowoeuropejskich czy w ogóle europejskich kompleksów.

18.

Nie chciałbym tych uwag zamykać tak dydaktycznym stwierdzeniem. Sięgnę więc na koniec do przestania wspomnianego już tutaj Aleksandra Błoka, który w poemacie „Scyci” tak oto zwraca się do Europy:

*Kochamy barwę, smak, cielesny szat,  
Duszny, śmiertelny ciała zapach  
Nie wińcie nas, gdy szkielet waszych ciał  
Zachrzęści w ciężkich, czułych łapach (...)*

*O stary świecie!  
wiedz ostatni raz  
Na jasne bratnich uczt igrzyska,  
Na ucztę pracy i pokoju – was przyzywa  
Lira barbarzyńska*

(przekład Mieczysław Jastrun)

Brzmi to jak wyzwanie, ale jednocześnie jak głos nadziei. Jej trudny kształt odnajdujemy we wcześniejszym nieco napisanym wierszu Konstandinosa Kawafisa „Czekając na barbarzyńców”:

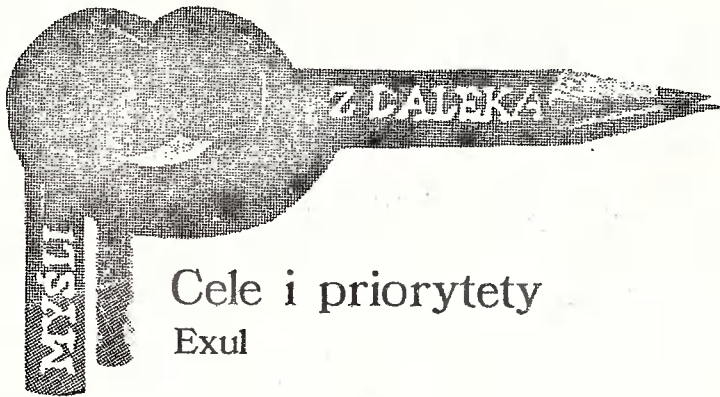
*Dlaczego wszystkich nagle ogarnął niepokój?  
Skąd zamieszanie? (Twarze jakże spoważniały.)  
Dlaczego tak szybko pustoszeją ulice  
i place? Wszyscy do donu wracają zamyśleni.*

*Dlatego, że noc zapadła, a barbarzyńcy nie przyszli.  
Jacyś nasi, co właśnie od granicy przybyli,  
mówią, że już nie ma żadnych barbarzyńców.  
bez barbarzyńców – cóż poczniemy teraz?  
Ci ludzie byli jakimś rozwiązaniem.*

Zestawienie tych dwóch głosów wydaje się pouczające. Uczy pewnej pokory w ocenie własnej wartości i wartości innych. Tylko w ten sposób możemy – w dialogu, który przecież nie musi być pozbawiony napięcia – dociekać prawdy o świecie, w którym żyjemy. Prawda rodzi się w iskrzeniu różnych, czasem przeciwstawnych racji. Zamykanie się w kręgu dotychczasowych ustaleń przemienia życie w bezsensowną vegetację.

Być może Europa w ogóle nie może istnieć w swym kształcie duchowym bez „barbarzyńców”? Dziś wybór padł na Rosję. Dzięki temu właśnie powstał namiętny, dynamiczny tekst Kundery. Piękny tekst o Atlantydzie, o Europie Środkowej żyjącej w cieniu olbrzymiego ciała Rosji. I choć nie wierzę w istnienie Europy Środkowej – podobnie jak nie wierzę w istnienie Atlantydę – jestem przekonany, że powołanie tej kategorii służy i Europie i Rosji: tworzy przestrzeń dialogu. Trudnego, czasem bolesnego, lecz niezbędnego dla potwierdzenia raz jeszcze europejskiej tożsamości, która bez Rosji obejść się nie może.

Leszek SZARUGA



## Cele i priorytety

Exul

**D**o jakiego celu dążą ugrupowania wolnościowe w Polsce? Do niepodległości państwa i ustroju demokracji parlamentarnej.

Jaka jest ich taktyka w dążeniu do tego celu? Jakie przygotowania uznają za konieczne? Jaką widzą drogę, jakie etapy, jaka ich kolejność, jaką hierarchię ważności? Trudno powiedzieć, ponieważ to niejasne.

Do jakiego celu zmierzają władze PRL? Nie wiemy.

Co dla nich najważniejsze? Utrzymanie się przy władzy możliwie najmniejszym kosztem politycznym dla nich samych i dla Kremla. Jaką mają taktykę? Ustępować tylko pod naciskiem. Rezygnować z pełnej kontroli tam, gdzie jej utrzymanie staje się zbyt trudne (kultura); nie ustępować z monopolu w dziedzinach podstawowych, przede wszystkim co do tego, kto ma prawo podejmować decyzje polityczne, gospodarcze i społeczne, nie mówiąc już o policyjnych i wojskowych. Rozbijać powstałe spontanicznie wspólnoty i związki, maksymalnie dezintegrować i atomizować społeczeństwo.

\*\*\*

Do opisu działań politycznych można używać rozmaitych pojęć. Ich wybór ułatwia albo utrudnia zrozumienie sensu tego, czego jesteśmy świadkami lub współuczestnikami – bo albo pozwalają wszystkie obserwowane fakty jakoś uporządkować, albo pozostawiają różne luzy i zamazane kawałki obrazu.

Myślę, że zastosowanie do opisu postępowania władzy PRL w ciągu ostatniego dziesięciolecia kategorii „priorytetu” i przeciwstawienie jej kategorii „celu” jest pożytecznym zabiegiem porządkującym.

Nie trudno zauważyć, że obecna ekipa rządząca w tym jest oryginalna w zestawieniu z poprzednimi, że nie roztacza przed

narodem kuszących wizji przyszłości, do której dążymy (jest w tym podobna ekipie Gierka u schyłku jej władania, ale „schyłek” to właśnie z zasady rezygnowanie z rozległych horyzontów). Nie opisuje Polski, do jakiej dąży, jaką chce zbudować: ani jej ustroju, ani jej stosunków społecznych, ani jej kultury, ani nawet jej gospodarki. Jeżeli mówi o odleglejszych celach – to tylko o takich, które byłyby usunięciem przykrych składników teraźniejszości: spłacić długi zagraniczne, zmniejszyć straty powodowane przez błędne inwestycje, złagodzić powszechne niezadowolenie. Można sobie ten stan rzeczy rozmaicie tłumaczyć, na przykład wskazując, że ukazywanie odleglejszych celów w kategoriach wymaganych przez ideologię komunistyczną byłoby niepopularne i nawet – wobec tego, co się dzieje w ZSRR – ośmieszające, zaś ustalanie tych celów bardziej zgodnie z oczekiwaniami narodu byłoby wykładaniem programu samobójstwa PZPR-u. Ale nie o interpretację przyczyn mi chodzi, lecz o opis stanu faktycznego. A jest on taki, że obecna ekipa jest pierwszą po wojnie, która nie zdołała ani na chwilę zyskać poparcia żadnej liczącej się części społeczeństwa. I zyskać nie mogła między innymi właśnie dlatego, że nie ukazała żadnej wizji. Sądzę, że takiej wizji nie ma. Ciemne okulary generała i przydawana mu przez satyryków laska niewidomego są tego okrutnym symbolem.

Jest za to ta ekipa socjotechnicznie najzręczniejsza, bo na krótką odległość wzrok ma bystry. Swoje priorytety stawia sobie jasno i jest sprawna w ich realizacji. Rozgrywkę z rządzonymi prowadzi przebiegle, stosując różne, często nowatorskie metody: od badań opinii publicznej i straszenia jej wynikami – do wyposażania ZOMO w importowany sprzęt; od szermowania symbolami narodowymi – do powoływania coraz to nowych ciał pseudopredstawicielskich; od oszczerczych nagonek – po niezliczone ustawy, prawa i przepisy, ustanawiane na wszelki wypadek lub z potrzeby chwili (które po krótkim czasie samym twórcom zaczynają przeszkadzać). Ekipa koncentruje się na tym, co ważne w tym właśnie momencie; dalsza przyszłość niech sobie poczeka. Gospodarka ma dla tych ludzi znaczenie drugorzędne, bo jej stan nie decyduje o tym, kto sprawuje władzę – tylko o tym, jak się ją sprawuje. Jedyne ci, którzy zarazili się marksistowskim determinizmem ekonomicznym mogą się ludzić, że rząd MUSI z pewnością ustąpić przed koniecznościami gospodarczymi. Nie musi; będzie się je starał obchodzić, jak długo się da – bo jego priorytety są inne. A przestanie się dawać obchodzić wymogi gospodarki dopiero wtedy, kiedy zorganizowany nacisk społeczny zrobi się zbyt silny. Żeby „musiał”, trzeba go zmusić.

Rządzi ta ekipa na sposób właśnie – wojskowy. Wojsko z reguły nie wypowiada wojen, ani nie zawiera traktatów pokojowych: oficerowie nawet generalskiego szczebla rzadko podejmują istotne

decyzje polityczne (z kim sojusz, z kim wojna) albo strategiczne. Oni układają plany bitew, natarć i obrony. I tak się też dzisiaj rządzi PRL-em: od potyczki do potyczki, A o co toczy się wojna z narodem – o tym się milczy, bo przecież przyznać się nie można.

Natomiast rzecznicy naszej strony – wolnościowych aspiracji tego narodu i przywódcy niezależnych kół i ugrupowań są przede wszystkim specjalistami od Wielkiej Polityki, od planów ustrojowych i strategii sojuszów. Wizje mamy wspaniałe i porywające. Potrafimy opisać wygląd przyszłej niepodległej Ojczyzny. Gorzej z przygotowaniem dróg dojścia do niej. Najbardziej liczy się na żywioł: jedni muszą się zbuntować, „bo już nie można wytrzymać”, drudzy muszą ustąpić, bo ich przydusi kryzys.

Na krytyczne uwagi, że za mało jest pracy organizacyjnej, przygotowującej zbiorowy nacisk i sposoby jego wykorzystania – słyszy się odpowiedzi, że struktury organizacyjne nie prowadzące czynnych działań muszą zamierać, a możliwości takiego działania są „bardzo ograniczone” i dlatego nasze struktury są takie słabe. Jednakże tajne związki zawodowe i tajna partia socjalistyczna we frankistowskiej Hiszpanii miały możliwości działania „czymś mniejsze i musiały działać w ukryciu dłużej niż parę lat – ale były czynne i współprzygotowały gładką zmianę ustroju. Zresztą po co szukać tak daleko; zajrzyjmy do biografii Piłsudskiego i sprawdzimy: przygotowania do 1905 roku trwały trzynastcie lat, w warunkach nieporównanie trudniejszych, przy zupełnej niemożliwości bezpośredniego wpływania na to, co się dzieje „na powierzchni”. I teraz też można by zrobić jeszcze bardzo wiele, jeśli się potężny dalekie wizje z praktycznymi krokami.

\*\*\*

Więc tak: „oni” nie osiągną celu, bo go nie mają i posuwają się od potyczki do potyczki, bez wizji tego, do czego dążą. My taki cel mamy, więc już samo to daje nam większe szanse. Ale jak wielkie będą koszty trwających latami socjotechnicznych manewrów ekipy Jaruzelskiego, opóźniających odwrót komunizmu? I jakie koszty naszego zdawania się na żywioł i dobroczynny wpływ upadku gospodarki? Czy dopiero z polskiej nędzy ma się wyłonić odrodzenie?

Exul



Uniwersytet im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie — strajk studencki wiosną br. (fot. Jan GRUSZYŃSKI)

## KOMUNIKAT FUNDACJI IM. BARBARY SADOWSKIEJ

Warszawa, 19.09.88

Wiosną 1988 roku po raz pierwszy przyznane zostały nagrody im. Barbary Sadowskiej literatom w Kraju. Jury w składzie: Jacek Bocheński, Jerzy Ficowski (przewodniczący), Jan Józef Lipski, Artur Międzyrzecki, Andrzej Szczypiorski, na posiedzeniu w dniu 28 kwietnia 1988 przyznało trzy równorzędne nagrody. Laureatami zostali: Włodzimierz Paźniewski za twórczość eseistyczną, Piotr Sommer za zbiór poezji „Czynnik liryczny” i inne wiersze oraz Andrzej Szmidt za zbiór poezji „Wyrok nieprawomocny” i inne wiersze

Przyznanie nagród było możliwe dzięki kilkudziesięciu fundatorom, którzy przysłali pieniądze na ten cel. Zgromadzona suma (w okresie listopad 1987 — marzec 1988) wyniosła 12.764,85 F. Jury postanowiło przeznaczyć na nagrody część zebranej sumy, z pozostałej tworząc fundusz wieczysty, zabezpieczający kontynuację Fundacji.

Zwracając się ponownie o wpłaty na Fundację nagród literackich im. Barbary Sadowskiej mamy nadzieję, że dzięki gronie stałych fundatorów nagroda ta stanie się trwałym wsparciem dla młodej polskiej literatury w Kraju.

Z poważaniem —

Komitet Organizacyjny  
Elżbieta FICOWSKA  
Jolanta CHŁOJECKA

# 1992, czyli Nowa Europa

Piotr Moszyński

**W**Sylwestra 1992 roku przeniesiemy się w inny świat. Szampana będziemy sobie nalewać jeszcze w starej, dobrze znanej Europie – ale wypijemy go już na kontynencie, którego kształt i zasady funkcjonowania będą całkiem nowe. W jego zachodniej części zacznie istnieć organizm, nie będący r...m państwem, ani nawet klasycznie rozumianą federacją państw – ale pod pewnymi względami przypominający właśnie nowe, i to wielkie, państwo. Formalnie, zmieniają się tylko zasady działania dotychczasowego Wspólnego Rynku w sferze gospodarczej. Praktycznych zmian, jakie decyzyja ta wywoła w codziennym życiu całej Europy i w możliwościach jej dalszego rozwoju – nie są jednak chyba w stanie do końca wyobrazić sobie nawet jej inicjatorzy.

Nowemu tworowi nadaje się obecnie bardzo rozmaite nazwy: „Rynek Wewnętrzny”, „Wielki Rynek”, „Zjednoczony Rynek”, „Rynek Ujednolicony” itp. Niezależnie jednak od niuansów w nazewnictwie, warto przede wszystkim zdać sobie sprawę z rzeczy zasadniczej, a mianowicie:

**Co to właściwie oznacza?**

A ściśle biorąc: Co na ten temat w tej chwili już wiadomo? Wiadomo, że za wszystkimi cytowanymi nazwami kryje się jedna myśl: żeby z końcem 1992r. doprowadzić do rzeczywistego usunięcia wszelkich przeszkód w swobodnym przepływie osób, towarów, usług i kapitałów między dwunastoma państwami, wchodzącymi w skład Wspólnoty Europejskiej. Innymi słowy, każdy przedsiębiorca – i w ogóle każdy obywatel – będzie mógł mieszkać, pracować i prowadzić dowolną działalność w dowolnym miejscu i w dowolnej dziedzinie na

całym obszarze EWG. Wszędzie będą go obowiązywać podobne, ujednolicone przepisy dotyczące działalności gospodarczej i podstawowych spraw życiowych. Aby wstępnie tylko uzmysłwić sobie możliwe znaczenie tego nowego organizmu gdy zacznie on już funkcjonować na pełnych obrotach – wystarczy przypomnieć, że chodzi o obszar, na którym mieszka 320 milionów ludzi, i który – przynajmniej potencjalnie – stanowi najpotężniejszy ośrodek ekonomiczny na świecie.

Doprowadzenie do rzeczywistego wykorzystania tego potencjału wymaga jednak ogromnych prac przygotowawczych. Choć stosunkowo niewiele mówi się o nich, a szeroka publiczność interesuje się nimi raczej niewiele, gdyż odbiera je jako nudne i bardzo skomplikowane – to jednak trwają już one pełną parą, a termin ich zakończenia przewidziano właśnie na koniec 1992 roku. Dotyczy to w szczególności trzech dziedzin.

### Europa jednego prawa

Po pierwsze – co bodaj najtrudniejsze – trzeba usunąć mnóstwo przeszkód natury czysto technicznej, wynikających przede wszystkim z różnic w systemach prawnych i licznych lokalnych przepisach poszczególnych państw członkowskich. Według ocen Komisji Europejskiej, przed 31 grudnia 1992 r. konieczne będzie przyjęcie co najmniej trzystu wielostronnych ustaleń, pozwalających na takie zharmonizowanie przepisów w ramach EWG, by mówienie o naprawdę wspólnym rynku mogło być w ogóle możliwe. Nie wspominać już nawet o tym, że każda z istotniejszych decyzji musi jeszcze „przejsć” przez krajowe parlamenty poszczególnych państw – bo na myśl o teoretycznie możliwych komplikacjach włos dostojnie jeży się na głowie.

W praktyce powinno jednak być nienajgorzej. Głównie dlatego, że w zasadzie poszczególne państwa członkowskie są zobowiązane do wprowadzenia przepisów EWG do swoich systemów prawnych – a i dlatego, że polityczna decyzja o utworzeniu „Rynku Wewnętrznego” jest już na ogół wszędzie akceptowana i rozumiana. Głośniejsze sprzeciwy słychać jedynie z dwóch – na szczęście mało liczących się – przeciwnych krańców kontinuum politycznego: z partii komunistycznych i skrajnie prawicowych. Pierwsze potestują ze względu na oczywistą niezgodność projektowanych rozwiązań europejskich z interesami ZSRR. Drugie – ze względu na przywiązanie wielu ich członków do tradycji nacjonalistycznych.



Krótko mówiąc, siły odgrywające rzeczywiście istotną rolę w konstrukcji zjednoczonej Europy mogą liczyć na to, że zasadnicze problemy uda się rozstrzygnąć w przewidzianym terminie. Widoczny jest wysiłek, by jak największej ilości spraw w ogóle nie pozwolić na przerodzenie się w „problem”. W licznych kwestiach przewiduje się po prostu procedurę wzajemnego uznawania swoich uprawnień tam, gdzie na upartej można by oczekiwać także „europeizacji”. Np. można by domagać się wprowadzenia „europejskich” dyplomów wyższych uczelni, uchwalenia kryteriów, jakim powinny odpowiadać wydające je szkoły i otrzymujący je absolwenci – oraz żądać, by tylko te dyplomy dawały prawo do pracy na terenie całego EWG. Zamiast tego dąży się jednak do stopniowego „dopasowania” programów studiów w poszczególnych krajach i do wzajemnego uznawania dyplomów wydanych w poszczególnych krajach za ważne w krajach pozostałych.

### Europa mniejszych podatków

Po drugie – konieczne jest usunięcie granic podatkowych między poszczególnymi państwami. A nie jest to sprawa prosta. To, od kogo, w jaki sposób i w jakiej wysokości przejmować się będzie część dochodów na rzecz budżetu państwa – zależy wprost od koncepcji politycznych, jakim się sprzyja. W krajach rządzonych przez konserwatystów wygląda to więc na ogół inaczej niż tam, gdzie u steru są np. socjaliści. Już więc dopasowanie systemów opodatkowania bezpośredniego nastęrcza niemało trudności. Bodaj jeszcze większe problemy przewiduje się w dziedzinie tzw. podatków pośrednich – czyli rozmaitych opłat i dopłat, uiszczanych na rzecz budżetu państwa przy okazji nabywania rozmaitych towarów lub usług. Podatki te bardzo różnią się w zależności od kraju. W przypadku np. sprzętu radiowego i telewizyjnego w niektórych krajach podatek taki wynosi ok. 10 proc. ceny, a w innych sięga 40 proc. Usługi ubezpieczeniowe nie są w ogóle opodatkowane w Wielkiej Brytanii, a we Francji dopłaca się z tego tytułu ponad 35 proc. Jeszcze większe są rozpiętości, gdy w grę wchodzi kupno samochodu.

Oczywiście, inicjatorzy zjednoczonego rynku europejskiego liczą na to, że z biegiem czasu konkurencja po prostu wymusi wyrównanie dysproporcji w tej dziedzinie (podobnie jak w wielu innych) – i doprowadzi do likwidacji anormalnych „kominów” podatkowych, cenowych itp. Jeśli bowiem będzie można bez żadnych dodatkowych formalności nie

tylko pojechać do dowolnego sklepu na terenie EWG i przywieźć sobie stamtąd co się komu żywnie podoba – ale i korzystać z usług dowolnych instytucji sprzedaży wysyłkowej w ogóle nie ruszając się z domu, to ludzie będą kupować przede wszystkim tam, gdzie jest taniej. Czyli m.in. tam, gdzie jest niższe opodatkowanie. Rządy krajów, które nie chcą odebrać klientów – a więc i chleba – swoim przedsiębiorcom i handlowcom, muszą to brać pod uwagę. I biorą. Rząd francuski już np. obniżył stawki bezpośredniego opodatkowania książek i płyt, a zapowiedział podobne posunięcie w stosunku do sprzętu *hi-fi* i *video* (podatek ten spadnie dość gwałtownie: z 33 do 18,6 proc.), a także artykułów sportowych. Zapowiada na jest również dalsza obniżka opodatkowania sprzedaży książek. Innymi słowy – kto nie chce dać się „utopić” konkurencji po 1992r., ten musi czynić bardzo daleko posunięte przygotowania już dzisiaj.

A skutek tych przygotowań zapewne przybliży Europę do ideału, który głosi m.in., że klient powinien kupować tam, gdzie mu najwygodniej – czyli w pobliżu swego miejsca zamieszkania.

### Europa bez granic

Po trzecie wreszcie – konieczne jest zniesienie wszelkiego rodzaju kontroli na granicach między poszczególnymi państwami EWG. Nie znaczy to, że granice te znikną w sensie administracyjnym. Państwo belgijskie, francuskie czy hiszpańskie pozostanie nadal tym samym państwem – i jego jurysdykacja będzie rozciągać się nadal na dokładnie tym samym terytorium. Znikną jednak granice w sensie „namacalnym” – tzn. zabraknie posterunków i funkcjonariuszy, których zadaniem było przeprowadzanie kontroli paszportowych, wizowych, celnych, dewizowych, sanitarnych itd. Cały ciężar procedury kontrolnej zostanie przeniesiony na granice między EWG a resztą świata. Ktoś, kto raz wjedzie na teren EWG w dowolnym punkcie Wspólnoty, nie będzie już kontrolowany na żadnej granicy międzypaństwowej w jej wnętrzu.

Praktyczne zniesienie granic jest niewątpliwie posunięciem najbardziej spektakularnym – ale też najłatwiejszym do przeprowadzenia. Chodzi bowiem nieomalże tylko o usankcjonowanie stanu już istniejącego. Ktokolwiek podróżował – zwłaszcza samochodem – po Europie Zachodniej, ten wie, że kontrole graniczne – szczególnie w odniesieniu do obywateli państw EWG – prawie nie istnieją, a posterunki graniczne czasami

wprost trudno zauważyć.

Trzeba przy tym podkreślić – by nie stwarzać niepotrzebnych złudzeń – że wszystkie te ułatwienia są wprowadzane przez państwa EWG z myślą o obywatelach państw EWG i o ich własnym interesie. Należy wątpić, by rok 1992 mógł przynieść zasadnicze zmiany w obowiązujących do tej pory przepisach odnośnie prawa do pobytu i pracy osób przybywających spoza EWG.

### Co już zrobiono?

Skoro już o interesach mowa, to zauważmy od razu, że cały pomysł stopniowego jednoczenia Europy Zachodniej pod hasłami pełnej swobody działania i przemieszczania się nie wziął się tylko z przywiązania do ideałów wolności, współpracy, braterstwa itp. Trzeźwość i niezbędna w takich wypadkach odrobina cynizmu każą wręcz podejrzewać, że ideały te odegrały raczej drugorzędną rolę, natomiast na czoło wysuła się właśnie ocena własnych interesów.

Należy podziwiać przede wszystkim przenikliwość i dalekowzroczność polityków francuskich i zachodnioniemieckich, którzy już w latach 50-tych dali pierwsze impulsy do tworzenia instytucji i organizmów, obejmujących coraz więcej krajów: najpierw Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, a później Wspólnego Rynku, który – przypomnijmy – skupiał początkowo tylko sześć państw członkowskich. Można mniemać, że dość wcześnie przewidzieli oni, iż zainteresowanie Amerykanów bezpośrednim zaangażowaniem w Europie Zachodniej może stopniowo bardzo zmaleć – i że żaden kraj z osobna nie będzie w stanie na dłuższą metę poradzić sobie z groźbą ekspansji drugiego – a położonego znacznie bliżej – supermocarstwa.

Trudno natomiast powiedzieć, w jakim stopniu udało im się już wtedy przewidzieć wyzwania ekonomiczne, jakie rzuci Europie tzw. „trzecia rewolucja techniczna”, rozwój gospodarczy strefy Pacyfiku i konkurencja najbliższego sojusznika – Stanów Zjednoczonych. W każdym razie, z dzisiejszej perspektywy widać, że europejska integracja gospodarcza jest procesem, który stwarza Europie Zachodniej szansę uratowania się przed zepchnięciem do roli „podwykonawcy”. To prawda, że zdolnego i dobrze wyposażonego – nie tylko podwykonawcy.

Postępom integracji sprzyja szybko upowszechnione spostrzeżenie, iż koszty produkcji w „zjednoczonej” Europie

będą niższe, a zatem europejskie towary staną się bardziej konkurencyjne niż dotychczas. Ujednoczenie przepisów jest może z początku trudne, ale raz przeprowadzone – bardzo upraszcza i ułatwia wszystkim życie i działanie. Bardzo wzrasta rentowność inwestycji – zwłaszcza w dziedzinie badań naukowych. Unika się rozproszenia wysiłków i dublowania ich przez kilka różnych ośrodków. Zniesienie barier celnych odbija się korzystnie na kieszeni zarówno przemysłowców, jak konsumentów – i to bez żadnych nakładów z budżetu państwa. To tylko niektóre konkretne, wymierne korzyści, które pozwolą EWG znaleźć się po 1992r. w lepszej sytuacji na rynku międzynarodowym.

Szeroka publiczność być może nie dostrzega intensywności przygotowań do „wielkiego skoku” europejskiego. A tymczasem jest ona duża – zwłaszcza w dziedzinie badań naukowych i współpracy technicznej. Przygotowania te prowadzi się przy tym dwutorowo. Z jednej strony, realizuje się tzw. *program ramowy Wspólnoty na lata 1987-91*. Jego koszty są pokrywane w zasadzie całkowicie z budżetu EWG. Z drugiej strony, opracowuje się programy pomocy finansowej i organizacyjnej dla przedsięwzięć wymagających bezpośredniej współpracy kilku przedsiębiorstw lub ośrodków badawczych z różnych krajów.

*Program ramowy* obejmuje rozmaite projekty, z których pięć najważniejszych i najbardziej znanych to:

— **ESPRIT**, dotyczący prac nad nowymi technologiami przenoszenia i przetwarzania informacji. Obejmuje on badania zarówno nad materialnymi elementami niezbędnymi do produkcji np. komputerów, jak i nad systemami oprogramowania, robotyzacją itp. Budżet: I faza – 5 mld franków francuskich, II faza – 7 mld FF.

— **RACE**, którego celem jest doprowadzenie do tego, by sieć telefoniczna w całej Europie Zachodniej mogła służyć przenoszeniu wysokiej jakości dźwięków i obrazów, pozwalających na szybkie przekazywanie m.in. całych dokumentacji, stron druku itp. Technicy nazywają to tworzeniem „sieci szerokopasmowej”: popularnie nazywa się ten projekt „autostradą telekomunikacyjną”. Budżet: ponad 5 mld FF.

— **FUSION**, mający na celu „przestawienie” Europy Zachodniej na energię termojądrową, którą specjaliści uważają za „energię trzeciego tysiąclecia”. Innymi słowy, przyszłe reaktory w elektrowniach nie będą już korzystały z uranu, ale z wodoru. Chodzi tu o uzyskanie źródła energii praktycznie niewyczerpanego i „czystego”. Budżet: w obecnej fazie, co

najmniej 7 mld FF.

– **BRITE**, którego celem jest opracowanie i wprowadzanie najnowocześniejszych technologii przemysłowych (jak np. wykorzystanie laserów) w formach dostosowanych do potrzeb małych i średnich przedsiębiorstw. Budżet: w obecnej fazie, ponad 3 mld FF.

– **EURAM**, stworzony z myślą o opracowaniu nowych materiałów – przede wszystkim superwytrzymałych i superlekkich – przeznaczonych głównie dla lotnictwa, budownictwa, przemysłu samochodowego i elektronicznego. Budżet: 1,5 mld FF.

Program ramowy obejmuje również wiele innych projektów, dotyczących m.in. walki z rakiem i z AIDS, ochrony środowiska, biotechnologii, wykorzystania nie-nuklearnych źródeł energii itp.

Jeśli chodzi o programy, motywujące do bezpośredniej współpracy między ośrodkami z różnych krajów, to najbardziej znane są trzy:

– **EUREKA**, program wykraczający poza ramy EWG i obejmujący także Austrię, Finlandię, Islandię, Norwegię, Szwecję, Szwajcarię i Turcję. Warunkiem przyjęcia projektu przez EWG jest to, by prowadził on w krótkim terminie do uzyskania produktu lub sposobu wytwarzania, który można natychmiast eksploatować. W ciągu dwóch pierwszych lat istnienia „EUREKI” przyjęto do realizacji 160 takich projektów.

– **AIRBUS**, czyli program budowy pełnej gamy nowych samolotów pasażerskich przez konsorcjum, złożone z firm francuskich, zachodnioniemieckich, brytyjskich i hiszpańskich, przy współpracy belgijskich i holenderskich. Sukces tego programu przekroczył wszelkie oczekiwania. W dniu pierwszego lotu *Airbusa A-320*, wpłynęło nań już 437 zamówień z szesnastu kompanii lotniczych.

– **ARIANE**, program realizowany przez Europejską Agencję Kosmiczną, w skład której wchodzi wszystkie państwa EWG, Szwecja i Szwajcaria. I ten program przyniósł sukces handlowy, oparty na razie na umieszczaniu na orbicie satelitów o różnym przeznaczeniu – ostatnio również amerykańskich. Trwają prace nad przygotowaniem europejskich lotów załogowych na promie kosmicznym „Hermes”. Wspólnie z USA jest przygotowywana budowa stacji orbitalnej „Colombus”.

Dodajmy, że na najbliższe lata szczególną uwagę przywiązuje się do rozwoju telewizji satelitarnej, którą uważa się za jedną z podstaw przyszłego „kulturalnego zjednoczenia”

Europy. Francuskie i zachodnioniemieckie satelity będą zapewniać bezpośredni odbiór programów telewizyjnych w kilku językach dzięki wyposażeniu indywidualnych telewizorów w anteny paraboliczne, których rozmiary i koszty powinny być już wkrótce niewielkie.

Dodajmy także, iż co bardziej przewidujący politycy i przedsiębiorcy próbują tworzyć struktury wykraczające poza ramy jednego państwa także w innych dziedzinach niż przed chwilą omówione. Wynika to zresztą w równej mierze z zapowiedzi stworzenia „Rynku Wewnętrznego”, jak i – znowu – z oceny własnych interesów, która zapewne sprzyjałaby dążeniu do takich rozwiązań nawet gdyby o jego tworzeniu nie było mowy.

I tak np. wiadomo, że tendencja do tworzenia potężnych koncernów ponadnarodowych datuje się nie od dziś – a ich wpływy bywają oceniane jako wręcz niebezpiecznie duże. Europejczycy mogą w każdym razie pocieszać się tym, że „ich” koncerny tego typu zaczynają ostatnio osiągać lepsze wyniki niż ich odpowiedniki amerykańskie – a dorównują japońskim. Wspomniana tendencja zaczyna obejmować także rynek prasowy. Z jednej strony, wydawcy porozumiewają się – w poszukiwaniu nowych rynków zbytu – w sprawie publikowania mutacji językowych pism, które odniosły już sukces na rynku krajowym. Z drugiej strony – niektórzy wydawcy już próbują wypuszczać pisma, których zasięg ma być z założenia ogólnoeuropejski (np. francusko-włoska *Europa* albo *Europe Top*).

Tyle można powiedzieć z grubsza o „bazie” nowej Europy. Pozostaje jeszcze kwestia „nadbudowy” – czyli, przede wszystkim, polityki. Innymi słowy, pozostaje pytanie:

Jakie może być polityczne znaczenie powstania „nowej Europy”?

Na pytanie to nie potrafią jeszcze w pełni odpowiedzieć sami jej twórcy – tym bardziej, że wśród nich samych wybuchają od czasu do czasu spory o to, jak dalece ma i może posunąć się integracja EWG pod względem politycznym. Nie trzeba

tłumaczyć, jak silna jest naturalna skłonność elit rządzących poszczególnych krajów do zazdrośnego strzeżenia swoich prerogatyw. Choćby dlatego perspektywa ewentualnego utworzenia nowego, federacyjnego państwa w tej części kontynentu z pewnością nie jest perspektywą na jutro. Niemniej, nowe

fakty, z których składać się będzie od 1 stycznia 1993r. życie kilkuset milionów Europejczyków, na pewno wpłyną na inne niż dotychczas postrzeganie przez nich otoczenia. Być może te zmiany w świadomości wpłyną z czasem na rzeczywiste obalenie granic między państwami EWG i przyczynią się do uformowania swoistej „tożsamości europejskiej”.

Na razie jednak, jako się rzekło, trwają jeszcze spory. Najnowszym tego przykładem są wystąpienia pani Thatcher podczas jej wrześniowych odwiedzin w Belgii i Luksemburgu. Szefowa rządu brytyjskiego bardzo ostro sprzeciwiła się próbom tworzenia jakiegokolwiek *supermocarstwa europejskiego*, podkreślając, że jej wizja działania przyszłego rynku europejskiego opiera się na zasadach jak najpełniejszego liberalizmu. Pani Thatcher ostrzegła więc, iż – w jej mniemaniu – *zdradą* byłoby uczynienie z EWG *twierdzy handlowej*, niedostępnej dla krajów trzecich. Posunęła się ona nawet do – dawno nie słyszanego z tak wysokiego szczebla – przypomnienia, że m.in. kraje należące do Układu Warszawskiego są *także depozytariuszami dziedzictwa europejskiego*, więc nie można granic przyszłej Europy zamykać zbyt szczelnie.

Pani Thatcher walnęła mocno pięścią w stół, ale trzeba powiedzieć, że właściwie nie odezwały się żadne nożyce. Belgijski minister spraw zagranicznych, Leo Tindemans oznajmił jedynie, iż jest jej wystąpieniem *rozzarowany*, *ale nie zrozpaczony*, po czym przypomniał, że „Żelazna Dama” *nie* niejednokrotnie zmieniała zdanie w sprawach Europy – np. w kwestii konferencji międzyrządowej, albo europejskiego systemu walutowego – więc *przy użyciu dobrych argumentów uda nam się ją w końcu przekonać*.

A francuski minister ekonomii i finansów Pierre Bérégovoy ani na pół kroku nie wycofał się ze zgłoszonego kilka dni wcześniej postulatu utworzenia *centralnego banku europejskiego*, którą to kwestię brytyjska pani premier uznała za drugorzędną w stosunku do – postanowionego już zresztą – swobodnego przepływu kapitałów. Bérégovoy powiedział przy okazji, że wprowadzenie wspólnej waluty europejskiej byłoby jeszcze *przedwczesne*. Warto tu dodać, że zdaniem pani Thatcher, posunięcie takie jest w ogóle nie do pomyslenia.

**A gdzie będzie Polska?**

Polskiego obserwatora interesuje jednak, rzecz prosta, nie tyle to, jaki będzie polityczny kształt wnętrza EWG po roku 1992 – ile pytanie o to, jak zachodzące zmiany wpłyną na

## układ sił poza Wspólnotą.

Zmiany te, istotnie, mogą mieć żywotne znaczenie dla interesów Polski i Polaków – i dlatego polskie koła polityczne powinny już dziś z najwyższą uwagą nie tylko śledzić te zmiany, ale i, w miarę możliwości, starać się wpływać na ich bieg tak, by nie przybrały one obrotu niekorzystnego dla polskich interesów.

Nie przesądzając w szczegółach dalszego rozwoju wypadków, już dziś można powiedzieć, że po 1992r. w zachodniej części Europy powstanie nowy, wielki, silny i spójny wewnętrznie organizm gospodarczy, zespojony także daleko posuniętymi powiązaniem wojskowymi i politycznymi. Z czysto militarne-go punktu widzenia nie będzie on silniejszy od ZSRR, gdyż nie będzie dysponować taką siłą rażenia ani tak liczną, jednolitą armią. Natomiast na jego terytorium mieszkać będzie 320 milionów ludzi, czyli więcej niż na terytorium ZSRR. Stopa życiowa ludności, a także wydajność gospodarki i nasycenie jej najnowocześniejszą technologią – już dziś są znacznie wyższe niż w ZSRR. A jeśli powiodą się zamysły twórców „nowej Europy” – to na obszarze tym może dojść do bardzo poważnego skoku naprzód. Z czasem więc ZSRR może przestać mieć do czynienia w Europie Zachodniej z licznymi rozproszonymi, i nierzadko skłóconymi, partnerami – a zacznie mieć do czynienia z jednym, silnym, i pod każdym względem atrakcyjniejszym od siebie, konkurentem.

Przy czym – w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych – sfera Europy Środkowej będzie dla tego konkurenta obszarem żywotnych interesów, bezpośredniego sąsiedztwa i zainteresowania. Nie miałoby sensu pogrążyć się w spekulacjach i marzeniach. Ale niekoniecznie może okazać się mrzonką np. mniemanie, iż nowa sytuacja na zachodzie Europy mogłaby wpłynąć na stopniową zmianę spojrzenia np. na kwestię niemiecką – tak przecież ważną dla Polaków, z wielu powodów, a m.in. i z tego, że NRD jest jedyną przeszkodą uniemożliwiającą nam bezpośrednią styczność z EWG. Jest tajemnicą poliszynela, że Niemcy Wschodnie od dawna są – dzięki brakowi granicy celnej z RFN – praktycznie trzynastym państwem członkowskim EWG. Nic więc dziwnego, że Berlin Wschodni nie kwapi się z poparciem dla reformatorskich zapędów Gorbaczowa, które mogłyby zmienić dotychczasowy stan rzeczy i – w dalszej perspektywie – skończyć się zbyt silną „integracją socjalistyczną” z Moskwą. Być może na innych niż kiedyś zasadach, ale jednak. Na miejscu Honeckera każdy wolałby przeczekać i zobaczyć, co też wyniknie po 1992



roku. To przecież już tylko za 4 lata. Termin historycznie bardzo krótki.

Z polskiego punktu widzenia, trudno jeszcze w tej chwili dokładnie powiedzieć, czy ze zmian projektowanych na 1992 rok należy cieszyć się, czy nie. Jeżeli w EWG przeważą koncepcja dość ścisłego „zamknięcia się w sobie” i wzniesienia trudnych do przeskoczenia barier handlowych i administracyjnych – to powodów do radości nie będzie chyba za wiele. Poza może jednym: EWG prawdopodobnie szybciej stałaby się wtedy rzeczywistością przeciwważą dla ZSRR i byłaby mniej podatna na destabilizację z zewnątrz. Kryje się tu jednak ryzyko definitywnego wepchnięcia Polski na orbitę konającego powoli imperium – i zupełnej utraty szans na przyszły rozwój. EWG odniosłaby może sukces, ale Polacy mogliby wtedy jedynie kibicować jej z zewnątrz i oklaskiwać. I zazdrościć.

Jeżeli natomiast Wspólnocie bardziej będzie opłacać się w miarę otwarta koncepcja istnienia i działania – to zasadniczą sprawą staje się utrzymanie jak najściślejszych gospodarczych więzi z Zachodem. Jedno jest jasne już w tej chwili: nawet gdyby istniały już obecnie polityczne możliwości przyjęcia Polski do EWG, to należy bardzo wątpić, czy sama EWG wyraziłaby na to zgodę. Polska gospodarka jest zbyt zrujnowana, żeby mogła włączyć się bezkolizyjnie w obieg EWG, pracujący na zupełnie innych zasadach i używający zupełnie innego języka. Polska gospodarka w obecnym stanie nie mogłaby po prostu zrozumieć nawet sygnałów, wysyłanych przez jej ewentualnych nowych partnerów. Również polski system polityczny – nawet przy założeniu, że komuniści oddają władzę – byłby, przynajmniej w początkowej fazie, zbyt chwiejny i niedojrzały, żeby organizm EWG mógł go przyjąć bez ryzyka reakcji przypominającej odrzucenie przeszczepu.

Polsce byłoby potrzeba sporo czasu – a terminy są, jak powiedzieliśmy, historycznie krótkie. Hiszpanii i Portugalii też nie przyjęto do EWG zaraz po obaleniu tam dyktatur – ani też i nie po to, by im filnatropijnie pomagać. Przyjęto je wtedy, gdy ich system gospodarczy i polityczny osiągnął taki poziom rozwoju, że mogły płynnie włączyć się w rozwój całej Wspólnoty.

Staje się rzeczą coraz bardziej oczywistą, że sprawa zmian, jakie zajądą w Europie za 4 lata, powinna pilnie znaleźć się znacznie bliżej centrum zainteresowań polskiej opinii niż do tej pory. Zbyt wiele może od tego zależeć, by pozwolić sobie na przegapienie tego historycznego momentu. Wymaga

to jednak poważnej dyskusji o strategii. Wyciągnięcie wniosków strategicznych nie jest rzeczą publicysty. Ale może on próbować sprowokować szybsze ich sformułowanie.

Piotr MOSZYŃSKI

NOWY FILM VIDEO-KONTAKTU

# GDZIE INDZIEJ

•PARIS•

Film o Polakach w Paryżu. Występują: Kazimierz BRANDIS (pisarz) □ Mirosław CHOJECKI (wydawca) □ Natasza CZARMIŃSKA (piosenkarka i reżyser) □ Agnieszka HOLLAND (reżyser) □ Jan LEBENSTEIN (malarz) □ Anna PRUCNAL (piosenkarka i aktorka) □ Wojciech PSZONIAK (aktor) □ Andrzej SEWERYN (aktor) □ Kazimierz ROMANOWICZ (księgarz i wydawca) □ Ludwik STOMMA (etnolog) □ Stanisław SYREWICZ (kompozytor) □ Eugeniusz ZALESKI (profesor ekonomii).

Realizacja:

Natalia CZARMIŃSKA i Jarek SYPNIEWSKI

Czas emisji – 90 min.; cena – 40 USD/300 FF plus koszt przesyłki; nagrania w systemach VHS-PAL, SECAM, NTSC, BETA-PAL, SECAM.

Copyright by Video-Kontakt and N. Czarmińska. Wszelkie prawa zastrzeżone. Za odtwarzanie publiczne 30% dochodu pobiera wydawca kasety (zysk przeznaczony będzie na rozwój kultury niezależnej w Polsce). Niekomercyjne odtwarzanie za zgodą wydawcy. Zamówienia prosimy kierować na adres:

# Europa – między policją i polityką

Maciej Rybiński

Idea zjednoczonej Europy odwołuje się przede wszystkim do wartości duchowych – wspólnego dziedzictwa kulturowego, wyrosłego z tradycji chrześcijańskich. Zrąb zjednoczonej Europy – Wspólnota Europejska to przede wszystkim fakt ekonomiczny, trzeci – obok Japonii i Stanów Zjednoczonych – gigant światowej gospodarki, którego udziałem jest 18 proc. globalnych obrotów handlowych. Politycznym celem zintegrowanej Europy jest przełamanie podziału kontynentu na wrogie obozy.

*Wszystko, co zbliża Europejczyków do Europejczyków, zbliża także Niemców do Niemców* – napisał w artykule dla tygodnika „Die Zeit” zachodnioniemiecki minister spraw zagranicznych, Hans Dietrich Genscher. Zdanie to oddaje w pełni cel bońskiej polityki europejskiej – rozwiązanie problemu podziału Niemiec w ramach nowej organizacji całego kontynentu. Dążeniom Bonn do europeizacji problemu niemieckiego towarzyszą deklaracje polityczne adresowane zarówno do Wschodu jak i do Zachodu. Na tegorocznym zjeździe Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna przyjęła dokument, w którym zjednoczenie Niemiec uzależniane jest od zgody sąsiadów. Sekretarz generalny tej partii, Heiner Geissler w początkach listopada wyraził wątpliwość co do możliwości odtworzenia kiedykolwiek w przyszłości Rzeszy w granicach z 1937 roku. Dla Zachodu przeznaczone są zapewnienia o stawianiu wolności ponad jednością i o odrzucaniu zjednoczenia za cenę neutralności.

Zgoda sąsiadów okupiona może być wciągnięciem ich w działania integracyjne. Genscher powiada wprawdzie, że Europa nie kończy się na polskiej granicy wschodniej, że za Bugiem nie rozpoczyna się Azja, ale gdy mowa jest o Europie

wspólnych wartości duchowych politycy niemieccy wymieniają Polskę, Czechosłowację i Węgry. Włączenie tych trzech państw do zintegrowanej Europy jest celem Unii Paneuropejskiej, której przewodniczącym jest poseł do Parlamentu Europejskiego – Otto von Habsburg, z czego nie należy wszak wyciągać wniosku, iż idzie tu o odtworzenie monarchii austro-węgierskiej. Unia spełnia bardzo pożyteczną rolę nadzorując stan przestrzegania praw człowieka w Europie Wschodniej zgodnie z historycznymi, europejskimi ideałami, do których tak chętnie odwołują się ostatnio wszyscy politycy.

Szczególny interes Niemców w integracji europejskiej ma swoje zarówno dobre jak i złe strony. Dziś na Łabie przebiega granica nie tylko między systemami politycznymi i społecznymi, ale również granica między nowoczesnością i zacofaniem. Najlepiej ilustruje to fakt, że dla Wspólnoty Europejskiej Szwajcaria jest znacznie większym rynkiem zbytu niż wszystkie kraje RWPG razem wzięte, nie wyłączając Związku Radzieckiego. Przewidywania są zgodne – obroty z RWPG, wynoszące obecnie 7 proc. obrotów Wspólnoty, po roku 1992 jeszcze się zmniejszą. Zapóźnienie krajów komunistycznych wzrośnie i nie negują tego nawet reprezentanci lewicy, którzy przez całe dziesięciolecie tkwili w więzach marksistowskiej tezy o nieuniknionym upadku kapitalizmu w rezultacie jego wewnętrznych sprzeczności. Jeszcze Nikita Chruszczow zbierał poklask za prorocstwo, że Wspólnota Europejska – kapitalistyczna superstruktura rozsadzona zostanie od wewnątrz konkurencyjną walką rekinów kapitału. Wzrost dystansu między Wspólnotą i RWPG wcale nie będzie rezultatem protekcyjizmu, przed którym ostrzegają dziś niektórzy politycy. Nie wszystkie kraje, będące członkami wspólnoty startowały z tego samego pułapu rozwoju gospodarki. Hiszpania była krajem dość zapóźnionym, ponoszącym wszystkie negatywne skutki dyktatury, częściowo izolowanym. W roku 1976 dochód narodowy brutto był w Hiszpanii dokładnie taki sam jak w Polsce i wynosił 2900 dolarów na głowę. W okresie dziesięciolecia 1976-1985 hiszpański produkt narodowy wzrósł do 4360 dolarów, podczas gdy polski spadł do 2190 dolarów *per capita*. Jednak jeszcze dziś struktura przemysłu hiszpańskiego odbiega od standardów najbardziej rozwiniętych krajów Wspólnoty Europejskiej, dlatego Madryt musi korzystać – podobnie jak Lizbona, Ateny i Dublin – z pomocy finansowej dla przeprowadzenia koniecznych reform. Zupełnie tak samo, jak PRL i inne kraje RWPG. Różnica jest jedna – do roku 1992 Portugalia, Hiszpania, Grecja i Irlandia

otrzymają ponad 100 miliardów marek pomocy strukturalnej z kas Wspólnoty, podczas gdy kraje RWFG będą musiały spłacić 100 miliardów marek dfugu – ponad połowa tej sumy przypada na Polskę i Węgry. Trudno przewidzieć dziś rozwój sytuacji politycznej w komunistycznych państwach Europy, ale gospodarcze i finansowe możliwości Wspólnoty mogą stanowić dużą siłę przyciągającą, a nawet czynnik rewoltujący społeczeństwa.

Gigantyczna omyłka kremłowskich ideologów co do przyszłości i rozwojowych możliwości kapitalizmu obudziła lęk przywódców radzieckich. Przejawem strachu jest powtarzana przez Gorbaczowa teza o wspólnym, europejskim domu, który ma być przeciwieństwem zintegrowanej Europy Zachodniej i którego jedynym rozpoznawalnym dziś elementem jest mur berliński. Polityczne lęki istnieją również i w Europie Zachodniej. Są to lęki związane – paradoksalnie – z konsekwencjami podziału Niemiec i niepewnością co do polityki RFN. Republika Federalna wytwarza jedną czwartą produktu narodowego brutto całej Wspólnoty. Gdyby któregoś dnia bońscy politycy ulegli marzeniu o państwie narodowym i zrezygnowali z integracji zachodniej – a trudno wykluczyć przedstawienie przez Moskwę takiej propozycji – oznaczałoby to klęskę dla całej Europy. Problem niemiecki jest więc zasadniczym punktem, wokół którego – jawnie i w sposób utajony – obracają się spory co do przyszłego, konkretnego kształtu europejskiej integracji; proponowane modele próbują przełamywać kwestie narodowe bądź przez biurokratyczny centralizm polityczny i centralne sterowanie gospodarką, przez – jak projekt belgijskiego premiera Martensa – utworzenie federacji rządzonej przez parlament, bądź wreszcie – co proponuje pani Thatcher – rezygnują z pełnej integracji ograniczając się do zawiadywania kooperacją gospodarczą. Bonn stara się rozładowywać te lęki partnerów nie tylko deklaracjami, ale i konkretnymi posunięciami. Takim było powołanie mieszanej brygady francusko-zachodniemieckiej oraz ogłoszenie gotowości utworzenia podobnych jednostek wspólnie z pozostałymi partnerami europejskimi. Nawiasem mówiąc jak na razie z brygadą jest więcej kłopotów niż korzyści – ponieważ Francja nie jest członkiem Paktu Atlantyckiego, mieszana jednostka pozostaje poza strukturami zachodniego sojuszu obronnego i nie może niczemu, poza reprezentacją, służyć. RFN dokonała również wielkiego wysiłku dla wprowadzenia z dniem 31 grudnia 1992 Europy bez granic – decyzję tę podjęto za przewodnictwem Niemiec Zachodnich we Wspólnocie i

jest w tym duża, osobista zasługa kanclerza Kohla. Wystarczy przypomnieć, że o zniesieniu ceł wwozowych i wywozowych, przeszkód dla swobodnego przepływu osób, usług i kapitału między krajami członkowskimi była już mowa w akcie założycielskim Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Jako datę dla Europy bez granic wyznaczono wówczas rok 1973! Potrzeba było aż kilkunastu lat, aby ów zapis urzeczywistnić. O ile na płaszczyźnie wielkiej polityki jasny jest zachodniemiecki priorytet dla pełnej integracji europejskiej i stworzenia w ten sposób szansy na rozwiązanie kwestii niemieckiej w ramach rozwiązań ogólnoeuropejskich, to w poszczególnych, konkretnych następstwach kroków integrujących zaczynają już odgrywać rolę partykularne interesy. Niektóre z nich można uznać za małostkowe i egoistyczne, inne z kolei pozbawione są zdrowego sensu.

Zacznijmy od tych drugich – oczywiście z punktu widzenia Niemców. RFN ma najbardziej liberalne w Europie przepisy azyłowe. Zniesienie granic wewnątrz Wspólnoty powoduje obawę, że wszyscy uchodźcy z całego świata, po otrzymaniu wizy w ambasadzie któregośkolwiek kraju europejskiego znajdą się wcześniej czy później na terytorium Niemiec i tu ubiegać się będą o azyl, korzystając ze wszystkich przywilejów, o jakich nie mogliby nawet marzyć w Anglii czy we Francji. Zmiana, zaostrenie tych przepisów wymagałaby kwalifikowanej większości 2/3 głosów w Bundestagu. Takiej większości nie ma, jak również nie ma szans na wprowadzenie w pozostałych krajach Wspólnoty równie liberalnych zasad azyłowych jak w RFN. Niemcy Zachodnie mają najbardziej rygorystyczne przepisy dotyczące żywności. Dla przykładu – wędliny niemieckie składać się mogą wyłącznie z mięsa i przypraw, podczas gdy brytyjskie mogą zawierać nawet 50 proc. substratów, na przykład soi. Jak skłonić Anglików, żeby robili dobre kiełbasy? Przytoczyłem tu żartobliwie akurat bliski każdemu Polakowi problem wędlin, ale w istocie sprawa dotyczy wielu norm przemysłowych, które powinny ulec przed wprowadzeniem swobodnej wymiany towarowej ujednoliceniu. Otwarcie granic uniemożliwi kontrolę, choćby mięsa, do którego hodowli w Belgii i Holandii używa się hormonów, których stosowanie w RFN jest przestępstwem.

Otwiera się tutaj ogromny obszar prac kodyfikacyjnych, które doprowadzić powinny do ujednolicenia wszystkich tych przepisów, ale które utykać będą na narodowych, egoistycznych interesach.

Wprowadzenie wspólnego rynku odebrane zostało przez

zachodnioniemieckich związkowców jako cios dla ruchu robotniczego. Przewodniczący Związku Metalowców, Steinkühler wyraził obawę, że wolny przepływ kapitału doprowadzi do zawężenia chronionych sfer socjalnych ze szkodą dla pracobiorców. Przewodniczący DGB, Breit uważa, że integracja europejska może stać się powodem demontażu praw socjalnych, a w najlepszym wypadku do sprowadzenia ochrony socjalnej do jakiegoś przeciętnego poziomu europejskiego, jednakowego we wszystkich krajach, co dla związkowców zachodnioniemieckich oznaczać będzie utratę wywalczonych przez dziesięciolecia uprawnień. Chodzi zresztą nie tylko o utrzymanie umów zbiorowych, świadczeń socjalnych i tak zwanego Mitbestimmungsrecht – prawa załóg do współdecydowania w zakładzie pracy, ale również o utrzymanie poziomu zatrudnienia. Kapitał inwestycyjny kierowany będzie do krajów, w których siła robocza jest najtańsza, a związki zawodowe najsłabsze – a więc do Wielkiej Brytanii i Hiszpanii.

Zachodnioniemieccy związkowcy domagają się umów zbiorowych na platformie europejskiej, ale równocześnie są sceptyczni co do możliwości realizacji tych żądań. Zresztą obawy sięgają głębiej, podziela ją socjaldemokraci. Zjednoczona Europa, wskazuje na to zresztą już dzisiejszy stan wewnątrzpolityczny krajów Zachodu, nie będzie raczej naznaczona silnym elementem socjalistycznym. Więcej mówi się dziś w Europie o prywatyzacji niż o uspołecznianiu – i to nie tylko w Europie Zachodniej.

To wszystko – od prób włączenia niektórych krajów komunistycznych w orbitę integracji europejskiej i rozwiązania na tej drodze kwestii niemieckiej aż po sposoby ratowania zdobytcy socjalnych, zagrożonych rozszerzeniem zasad wolnorynkowych – należy do polityki. Ale pozostaje jeszcze policja, która ma także swoje obawy związane z integracją i zniesieniem granic. Rocznie granicę Republiki Federalnej Niemiec przekracza – w obie strony – prawie 900 milionów ludzi. Wśród nich są terroryści, przemytnicy narkotyków, osoby poszukiwane listami gończymi w różnych krajach. W roku 1984 na mającej 4800 kilometrów długości granicy RFN służby graniczne ujęły 87.371 przestępców, w tym 40.094 poszukiwanych międzynarodowymi listami gończymi. 418 poszukiwanych było za morderstwo, 10.499 za handel narkotykami, 1615 osób posiadało przy sobie broń lub materiały wybuchowe. 60 proc. ciężkich przestępców poszukiwanych na terytorium RFN ujętych zostało na granicy.

Odpaść ma najskuteczniejszy instrument wyławiania

kryminalistów, jakim są kontrole graniczne. Ale na tym nie koniec. Pomimo istnienia kontroli oblicza się, że rocznie szmuglowanych jest do RFN i wynajmowanych do pracy niemieckim firmom 800 tysięcy nielegalnych robotników cudzoziemskich. Kontrole – tak powiadają specjaliści z bońskiego ministerstwa spraw wewnętrznych – chronią nie tylko rynek pracy, ale i powodują zmniejszenie tak zwanej turystyki śmieciowej, czyli przewożenia z kraju do kraju trujących odpadów przemysłowych. Kontrole mają także znaczenie dla ochrony środowiska.

I wreszcie – istnienie granic i wyrywkowej choćby odprawy celnej chroni przeciętnych obywateli przed pokusą przemytu – i przed kryminalizacją praktycznie wszystkich podróży. Kiedy bowiem bez ryzyka będzie można na przykład robić poważne zakupy we Francji i przywozić towar do RFN – kto się oprze okazji? We Francji podatek od wartości dodanej przy towarach przemysłowych wynosi 33 proc., w Niemczech Zachodnich 14 proc. Butelka wódki obłożona jest w Grecji 36 fenigami podatku, w Niemczech podatek wynosi 7,65 marki, a w Danii 31,36 marki. We Francji fiskus bierze od paczki papierosów 60 fenigów, w RFN 2,87 marki. Przewiezenie jednej złotej monety południowoafrykańskiej (*Kruggerand*) z Luksemburga do Niemiec przynosi 133 marki zysku.

Na razie, dopóki podatki i ceny wewnątrz Wspólnoty nie zostały zrównane, dopóki nie wypracowano szczegółowego konceptu ochrony zewnętrznych granic europejskich policjanci są za utrzymaniem kontroli granicznych, których zniesienie postanowili politycy.

Byłoby jednak zbyt pesymistyczne, zwłaszcza z Bonn, w którym widać wyraźnie rzetelną wolę integracji, kończyć sarkastycznym stwierdzeniem, że i w Europie Zachodniej o wszystkim w ostatecznym rozrachunku decyduje policja. Wszystkie wątpliwości, które przedstawiłem, są wątpliwościami polityków, związkowców, publicystów a i policjantów zachodnioniemieckich – a więc opinii publicznej. Na razie, w roku 1988, na cztery lata przed całkowitym otwarciem granic jest łatwiej przejechać z Niemiec do Francji niż z Pragi na Węgły w grudniu 1981 roku.

Maciej RYBIŃSKI



# Tysiąclecie chrztu a los Ukrainy

W. Kosyk

Tysiąc lat temu, w 998r., książę Włodzimierz Wielki ochrzcił mieszkańców Kijowa, stolicy dzisiejszej Ukrainy. Religia chrześcijańska zaczęła jednak przenikać do tego kraju, zwłaszcza za pośrednictwem kolonii greckich nad Morzem Czarnym, już od pierwszych wieków chrześcijaństwa. (...)

W IX wieku, stając się ważnym ośrodkiem handlowym i politycznym, Kijów rozpoczął ekspansję zewnętrzną i budowę rozległego imperium. W 860r. wojska Państwa Kijowskiego najechały Grecję i zajęły Konstantynopol. Źródła bizantyńskie podają, że w następstwie tej operacji, zakończonej ostatecznie porażką wojsk kijowskich, wielu najeźdźców przeszło na wiarę chrześcijańską. Sądzi się w każdym razie, że wyznawali ją ówcześni książęta Askold i Dyr; oraz później, w połowie X wieku, księżniczka Olga. Skądinąd jej syn Światosław, który znacznie poszerzył posiadłości Państwa Kijowskiego, nie chciał przyjąć chrztu. Dopiero wnuk Olgi, książę Włodzimierz zdecydował się nadać religii chrześcijańskiej status oficjalny. Przyjął on wiarę chrześcijańską z Bizancjum.

Odnosnie tego wyboru kroniki przekazują wyjaśnienie zawierające więcej legendy niż prawdy. Podają mianowicie, że do Kijowa przybyli przedstawiciele religii muzułmańskiej, żydowskiej, greckiej i łacińskiej i kolejno zachwalali przed księciem zalety swej wiary. Ale Włodzimierz chciał mieć czas do namysłu i wysłał delegację, by przekonała się o cechach poszczególnych religii na miejscu. Po powrocie do Kijowa wysłannicy przekonali księcia, by ze względu na piękno i bogactwo liturgii przyjął religię chrześcijańską obrządku bizantyńskiego.

---

\* „L'Est Européen” nr 211, juillet-septembre 1988

W rzeczywistości Kijów łączyły z Grecją silne więzy. Poza częstymi kampaniami wojskowymi przeciwko terytoriom bizantyńskim, Grecja miała ważny udział w handlu Kijowa. Ponadto Konstantynopol potrzebował od czasu do czasu pomocy swego północnego sąsiada. To zatem stosunki polityczne, handlowe i militarne ułatwiły przeniknięcie chrześcijaństwa rytu bizantyńskiego na Ukrainę. Ponadto w roku 988, roku chrztu mieszkańców Kijowa, książę Włodzimierz poślubił siostrę cesarza Bizancjum, Annę. (...)

Chrześcijaństwo przyniosło średniowiecznemu Kijowowi i Ukrainie znaczne dobrodziejstwa. Przyczyniło się ono do wspaniałego rozwoju kultury, sztuki, architektury i umysłowości. Dzięki przyjęciu chrześcijaństwa i małżeństwu księcia Włodzimierza z księżniczką bizantyńską, były „kraj barbarzyński” stał się szybko krajem kulturalnym, dorównując chrześcijańskim państwom Europy. Za panowania Włodzimierza rozpoczyna się okres nawiązywania stosunków politycznych i dynastycznych z licznymi państwami europejskimi. Stosunki te będą rozwijane zwłaszcza za panowania Jarosława Mądrego, w pierwszej połowie XI wieku. (...) Od momentu przejścia na chrześcijaństwo i nawiązania bliskich stosunków z różnymi państwami europejskimi, Ukraina stanowiła zatem integralną część Europy.

Dochowując wierności obrządkowi bizantyńskiemu, Kijów nawiązał także stosunki z Rzymem. Zarówno za panowania Włodzimierza jak i później, aż do XIV wieku, Kijów i Rzym, mimo rozłamu Kościoła w 1054 roku, wymieniali ambasadorów. (...)

Przy okazji tysiąclecia chrztu Rusi Kijowskiej mówi się o trzech różnych sprawach: chrzcie Ukrainy, chrzcie Rusi i chrzcie Białorusi. Co właściwie najbardziej odpowiada prawdzie historycznej?

Z historycznego punktu widzenia, idzie o chrzest mieszkańców Kijowa, a więc o ludność ukraińską. Kijów był przecież stolicą kraju położonego wokół tego miasta, noszącego nazwę Ruś. W momencie chrztu i aż do XII-XIII w. tylko ziemie położone wokół Kijowa nosiły tę nazwę.

Chrzest Rusi Kijowskiej może więc bezpośrednio dotyczyć tylko Ukrainy, kraju noszącego wówczas nazwę Ruś. To to terytorium, które przyjęło później nazwę Ukraina, pojawiającą się po raz pierwszy w roku 1187.

W okresie chrztu państwo kierowane przez Kijów było potęgą. Jego północne posiadłości, na których kilka wieków później uformowała się Rosja, nie nazywały się w tym okresie

ani Ruś, ani Rosja. Były one mało zaludnione. Najważniejsze miasta tych terenów, zamieszkałych w większości przez plemiona nie-słowiańskie, zostały założone po chrzcie Ukrainy: Suzdań w 1024, Włodzimierz w 1108, Moskwa w 1147 roku. To wokół tych miast uformuje się później Rosja.

Moskwa została zatem założona dopiero przeszło półtora wieku po chrzcie mieszkańców Kijowa. Mimo to, jednak to do Moskwy udały się delegacje krajów zachodnich i Rzymu na uroczystości tysiąclecia chrztu.

Jest faktem, że żadna z północnych ziem imperium kijowskiego nie przeszła na chrześcijaństwo w 988 roku. Jeśli idzie o przyszłe terytoria rosyjskie, tylko miasto Nowogród zostało zmuszone siłą do przyjęcia chrześcijaństwa w 991 roku. Pozostałe tereny, z powodu oporu lokalnej ludności i rozległości tych ziem, ulegną chrystianizacji dopiero między XI a XIII wiekiem.

Rozpad imperium kijowskiego (1132-1135) spowodował zmiany w strukturze politycznej Europy Wschodniej. Na Ukrainie centrum życia politycznego przeniosło się na ... d, do Halicza w Galicji. Na północy, najpierw wokół Włodzimierza i Suzdań, później wokół Moskwy, zaczął się tworzyć nowy świat.

Jest pewne, że to Kościół prawosławny mający swą siedzibę w Kijowie dokonał chrystianizacji tych terenów. Ale w końcu wieku XIII jego siedziba została przeniesiona za zgodą Konstantynopola do innego kraju, do Włodzimierza, a później do Moskwy.

Moskwa stała się stopniowo pierwszą siłą polityczną w pół.-wsch. Europie. Uznała się ona za centrum świata prawosławnego i zaczęła, począwszy od XV wieku, przechwytywać duchowe dziedzictwo Kościoła kijowskiego.

Ukraina średniowieczna utraciła swą niepodległość w połowie XIV w., pod naporem Polski i Litwy. Od tego okresu aż do drugiej połowy XVII wieku terytoria ukraińskie stanowiły część państwa polsko-litewskiego a nie Rosji, jak się powszechnie sądzi. Nazwa „Ukraina” nie pochodzi jednak od tego, jak sądzi większość Polaków, że jej ziemie położone były na kresach państwa polsko-litewskiego, ponieważ pojawiła się ona w okresie, kiedy Ukraina była jeszcze państwem niepodległym.

Po utracie niepodległości Kościół Ukraiński istniał nadal i starał się zawsze zachować swoją odrębność, chcąc zależeć bezpośrednio od Konstantynopola, a nie od Moskwy.

W roku 1596, z wielu powodów część Kościoła Ukraiń-

skiego zawarła przymierze z Rzymem (Unia Brzeska – przyp. tłum.). W ten sposób narodził się Kościół Unicki, nazywany dzisiaj Ukraińskim Kościołem Katolickim. Niemniej jednak część Kościoła Ukraińskiego pozostała prawosławna. Mimo że podzielony, Kościół Ukraiński nie porzucił idei zachowania swej odrębności, zarówno jeśli idzie o Kościół unicki jak i prawosławny.

Począwszy od drugiej połowy XVII wieku, to jest przeszło sześć wieków po rozpadzie imperium kijowskiego i utworzeniu niezależnych państw w pñ.-wsch. Europie, Rosja zaczęła rozszerzać swoje wpływy na Ukrainę. W konsekwencji przymierza zawartego przez Moskwę z przywódcą kozackiego państwa ukraińskiego i układu polsko-rosyjskiego dotyczącego podziału Ukrainy, Rosja po raz pierwszy rozszerzyła swój zasięg na terytoria ukraińskie położone na wschód od Dniepru. Nieco później, w roku 1686, Moskwa podporządkowała Ukraiński Kościół Prawosławny patriarchatowi w Moskwie i poczęła – by doprowadzić do jedności administracyjnej Kościoła rosyjskiego – ograniczać jego prawa.

Większa część Ukrainy pozostała jednak jeszcze ponad wiek w ramach państwa polsko-litewskiego. Dopiero pod koniec XVIII wieku, to jest ponad siedem wieków po upadku państwa kijowskiego, Rosja zajęła w wyniku rozbiorów Polski większość pozostałych ziem ukraińskich. Ale Ukraiński Kościół Unicki istniał nadal. Począwszy od końca XVIII i w XIX wieku był on jednak stopniowo likwidowany przez Moskwę. W efekcie Ukraińcom żyjącym w granicach imperium rosyjskiego został narzucony prawosławny kościół rosyjski. (...)

Krótki okres niepodległości Ukrainy (1917–1920) przyczynił się do odrodzenia nie tylko życia narodowego i kulturalnego, lecz także religijnego. Ukraiński Kościół Prawosławny stał się niezależny, autokefaliczny. Ale w końcu lat dwudziestych i na początku lat trzydziestych został zlikwidowany. Wymordowano całą hierarchię kościelną oraz tysiące kapłanów i wiernych.

Przychodzi Druga Wojna Światowa. W wyniku paktu Ribbentrop-Mołotow Rosja sowiecka objęła po raz pierwszy kontrolę nad Galicją, a w wyniku wojny także nad północną Bukowiną i Zakarpaciem, włączonymi podobnie jak Galicja do sowieckiej Ukrainy.

I historia się powtórzyła: nie tylko został zlikwidowany autokefaliczny Ukraiński Kościół Prawosławny, lecz władze sowieckie z pomocą prawosławnego Kościoła Rosyjskiego przeprowadziły w 1946 roku likwidację Ukraińskiego Kościo-

ła Katolickiego. Od tej daty, dwa Kościoły ukraińskie – Autokefaliczny Kościół Prawosławny i Kościół Unicki nie mają prawa bytu w Związku Sowieckim. Niedawny komunikat agencji Tass stwierdził, że nie będą one uznane.

Niekiedy sądzi się mylnie, że Ukraina stanowi geograficznie część Rosji. Jest to przekonanie, które pojawiło się w XIX wieku, w epoce imperium carskiego; nie pozwala ono zrozumieć dwudziestowiecznych realiów. (...)

W konkluzji trzeba stwierdzić, że nawet w odniesieniu do rocznic religijnych – w tym przypadku tysiąclecia chrztu – polityka znowu wzięła górę nad faktami i prawdą historyczną.

W ramach szerszej strategii politycznej (datującej się nie od dziś) Rosja, która nie istniała tysiąc lat temu, nadała uroczystościom milenijnym zorganizowanym w Moskwie charakter „ważnej operacji pokazowej” (według stwierdzenia jednego z dziennikarzy francuskich, *Le Qoutidien de Paris*, 9.06.1988).

Stawka jest bez wątpienia ważniejsza. Chociaż Rosja neguje prawo Ukraińców do obchodów tysiąclecia chrztu i – z innych pod pretekstem, że w momencie chrztu kraj nie nosił jeszcze tej nazwy, sama przywłaszczyła sobie prawo uczczenia tysiąclecia „chrztu Rosji” (a nie Kijowa czy Rusi kijowskiej), mimo, że Rosja powstała wiele wieków po chrzcie Kijowa i mimo, że nazwa „Rosja” zaczęła pojawiać się dopiero w XV wieku.

Poza prostym zyskiem politycznym, ta postawa zdradza zdecydowaną chęć zawładnięcia przez Rosję dziedzictwem historycznym nie należącym do niej. Rosjanom łatwo przychodzi przekład dwóch różnych nazw „Ruś” i „Russia” na „Rosję” i dekretowanie, że Ruś to po prostu Rosja. W rzeczywistości chodzi, jak pokazano, o dwa różne kraje i dwie różne rzeczywistości historyczne.

Znaczenie Rosji, dominującego narodu w Związku Sowieckim, oddziałuje na arenie międzynarodowej na niekorzyść nierosyjskich narodów federacji. Państwa, w tym Watykan, przywiązują dużo większą wagę do rzeczywistości politycznej niż do prawdy historycznej. Tym bardziej w świecie, gdzie państwa – obojętnie czy demokratyczne, totalitarne, jedn narodowościowe, czy imperialistyczne – zajmują decydującą pozycję w stosunkach międzynarodowych. Trudno jest narodowi bez państwa narzucić swój punkt widzenia, zostać usłyszonym. (...)

Postawa Watykanu w kwestii chrztu Ukrainy odzwierciedla międzynarodową sytuację polityczną i zdradza zakłopotanie. W swoim liście apostołskim *Euntes in Mundum*, papież Jan

Paweł II mówił o „dziedzictwie chrześcijańskim kijowskiego chrztu, z którego dobrodziejstw skorzystały narody rosyjski, ukraiński i białoruski”. Ale jeśli jest prawdą, że to dziedzictwo stało się począwszy od XI wieku udziałem ludności, z której później uformuje się naród rosyjski, stwierdzenie listu: „Jest to z pewnością i w sposób szczególnie święto Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, który ma swoją siedzibę w Moskwie i który z radością nazywany „bratnim kościołem”. To on z pewnością zachował w wielkiej części dziedzictwo dawnej Rusi chrześcijańskiej” bardziej przypomina język dyplomatyczny niż język prawdy historycznej.

Z drugiej strony, Jan Paweł II skierował następnie do katolików ukraińskich przesłanie z okazji chrztu Rusi Kijowskiej *Magnum Baptisti Donum*, w którym podkreślił, że „naród ukraiński jest geograficznie i historycznie związany z Kijowem i dlatego ma szczególne powody cieszyć się z tysiąclecia chrztu”. Wprawdzie dokument stwierdza, że „przyjęty wówczas chrzest stał się punktem wyjścia dla ewangelizacji narodów położonych we wschodniej części kontynentu europejskiego aż po Ural”, ale czy można jednak rzeczywiście uważać, że chrzest „oznaczał stworzenie nie tylko tożsamości chrześcijańskiej, ale także tożsamości kulturowej narodów ukraińskiego, rosyjskiego i białoruskiego i w konsekwencji, ich historii”? Jak wiemy, w odniesieniu do narodu rosyjskiego nie jest do końca prawdą. To bez wątpienia z tego powodu w przesłaniu skierowanym do uczestników międzynarodowego kolokwium zorganizowanego z okazji milenium w Rzymie, papież stwierdził, że „chrzest św. Włodzimierza i Rusi Kijowskiej tysiąc lat temu jest słusznie dzisiaj uważany za nieskończony dar Boga dla wszystkich chrześcijan Wschodu, poczynając od narodów ukraińskiego i białoruskiego („L'Osservatore Romano”, 6.05.1988).

W odniesieniu do dziedzictwa Rusi Kijowskiej (a więc średniowiecznej Ukrainy) użyteczne jest rozróżnienie między dziedzictwem religijnym, z którego korzystali poza Ukraińcami również Białorusini i Rosjanie, a dziedzictwem historycznym i politycznym. Związki Rosjan z tym ostatnim są bardzo luźne. Od XII wieku terytoria przyszłej Rosji rozwijają się w specyficzny sposób a następnie zostają poddane niezwykle brzemiennym w skutki wpływom najazdów mongolsko-tatarskich.

Dziedzictwo historyczne i polityczne Państwa Kijowskiego w okresie między IX a XII wiekiem należy przede wszystkim do Ukrainy i narodu ukraińskiego. Ukraińcy są tego świadom-

mi, tak samo jak prawa do wolności narodowej – zgodnie z prawem każdego narodu do swobodnego kierowania swoim losem i dysponowania swoją spuścizną.

W. KOSYK  
(tłum. P. Kasznia)

Nowość  Nowość

Tom 58

*Tymon Terlecki*  
**Krytyka personalistyczna.  
Egzystencjalizm chrześcijański**

*Przedmowa Krzysztof Dybiak*

Książka znakomitego esecy, krytyka teatralnego i historyka literatury, przebywającego na emigracji od 1939 r., profesora Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie. W „Krytyce personalistycznej” Terlecki w oparciu o pisma filozoficzne Emmanuela Mouniera konstruuje teoretyczny zarys tej koncepcji estetycznej. W „Egzystencjalizm chrześcijański” przeciwstawia się pogładowi, że egzystencjalizm jest kierunkiem z gruntu anty-chrześcijańskim. Książka zawiera bibliografię prac Tymona Terleckiego oraz indeks osób. Nakład 10 tys. egzemplarzy.

*Do nabycia w księgarniach polskich w Europie i Ameryce*

# Antoni Pawlak

wiersze

## WSTAWIAM SIĘ ZA MOJĄ MATKĄ

zapadła noc  
nad dziurą w ziemi która  
jeszcze niedawno była stolicą kraju  
niebo przebito gwoździami rac  
ludzie tańczyli na wysypiskach gruzu  
był dziewiąty maja tysiąc dziewięćset  
czterdziestego piątego roku

młoda dziewczyna stała w oknie ocalałego domu  
kierując modlitwę w rozświetlone niebo  
w którym spodziewała się Boga  
nie była to modlitwa dziękczynienia  
była to modlitwa lęku – to prawda  
skończyła się noc lecz nie przyszedł świt  
a kolejna ciemność nie będzie dana radość  
a ból i cierpienie

w kilka lat później ta dziewczyna  
została moją matką nie była szczęśliwa  
nie mogła być szczęśliwa w tej części Europy  
więc jeżeli istnieje Bóg powinien wynagrodzić to  
mojej matce dlatego dziś równo czterdzieści lat później  
proszę Go – niech będzie przeklęty  
Winston Churchill niech  
będzie przeklęty Franklin Delano Roosevelt  
niech będzie przeklęty Józef Stalin  
niech umrze pamięć o nich



# Nie jestem nacjonalistą

rozmowa z Paruirem AIRIKIANEM,  
Przewodniczącym Związku  
Samostanowienia Narodowego  
Armenii

Krystyna GRZYBOWSKA – Od czasu wydalenia Solżenicyna jest Pan jednym z najbardziej znanych dysydentów pozbawionych obywatelstwa radzieckiego. Kim Pan jest z zawodu?

Paruir AIRIKIAN – Z zawodu jestem tłumaczem z języka lotewskiego na ormiański.

– Jak odbyła się Pańska deportacja za granicę?

– 20 lipca zostałem zabrany z Erewania do Moskwy specjalnym samolotem. Następnego dnia prokurator poinformował mnie, że na mocy specjalnego dekretu zostałem amnestionowany, pozbawiony obywatelstwa i będę natychmiast wydany. Zaprotestowałem mówiąc, że nie ma żadnego powodu udzielać mi amnestii, skoro nie zostałem skazany. Natychmiast napisałem też list do Gorbaczowa, wzywając go do odwołania dwóch decyzji: decyzji o pozostawieniu Górnego Karabachu w granicach Azerbejdżanu oraz decyzji o wyrzuceniu mnie z ojczyzny. Zrobiłem parę kopii tego listu, jedną z nich miałem w kieszeni marynarki, ale już w Addis Abebie ukradł mi ją Władimir Pietrow, szef grupy KGB, która mnie eskortowała. Ukradł mi ponadto wszystkie inne notatki, ale poza tym był dla mnie bardzo uprzejmy.

– Dlaczego wywieziono Pana właśnie do Etiopii?

– To bardzo proste. Na lotnisku w Addis Abebie nie sprawdzano żadnych dokumentów i o nic mnie nie pytano. Gdybym wylądował gdzieś indziej, po prostu odmówiłbym przekroczenia granicy. Było nas razem dziewięciu. Siedmiu agentów KGB, lekarz i ja. Stosunki były tak miłe, że dla obserwatora z zewnątrz, nie zorientowanego o co chodzi, mogliśmy wyglądać jak grupa przyjaciół na wycieczce. W Addis Abebie

trafiłem do dość luksusowego hotelu, gdzie rozpocząłem strajk głodowy. Był to dla moich opiekunów poważny cios. Młody KGB-ista prosił mnie, żebym chodził z nim do hotelowej restauracji, żebym nie rezygnował z posiłków, bo to dla całej grupy była jedyna szansa raz porządnie się najeść w porządnej restauracji na koszt państwa.

– Jaki był oficjalny powód Pańskiego wydalenia?

– Oficjalny – agitacja i propaganda antysowiecka. Mam 39 lat, z tego 14 lat i 5 miesięcy spędziłem w więzieniu a 3 lata i 6 miesięcy na zesłaniu za walkę o wolność i niepodległość Armenii, odrodzenie narodu ormiańskiego, demokrację i pluralizm. Można to uznać za powód mojego wygnania. Można też uznać, że tym powodem była moja działalność publiczna, organizowanie zgromadzeń i demonstracji. Ale w rzeczywistości chodziło o co innego. Chodziło po prostu o uniknięcie postawienia mnie przed sądem po ostatnim aresztowaniu w marcu 1988. Okazało się, że moje aresztowanie nie tylko nie załamało organizacji, ale przeciwnie, dało jej nowy impuls. Przeciwno uwięzieniu mnie protestowały dziesiątki tysięcy ludzi. Najprościej więc było się mnie pozbyć.

– Jakie są cele Związku Samostanowienia Narodowego Armenii?

– Naszym najważniejszym celem jest odzyskanie państwowej niezależności Armenii. Jest to zgodne z leninowską zasadą prawa narodów do samostanowienia, a także z konstytucją ZSRR. Prasa na Zachodzie pisząc o mnie używa określenia „nacionalista”. Jest to obelga. Nie postępowałem inaczej niż każdy obywatel na Zachodzie w sytuacji, gdyby jego kraj utracił suwerenność. Częstym argumentem za pozostawianiem Armenii w ramach Związku Radzieckiego jest odwoływanie się do tragicznej przeszłości, do trudnego położenia Armenii między Azerbejdżanem i Turcją. Prawda, nasze położenie byłoby po odzyskaniu państwowości skomplikowane, ale nie gorsze niż dzisiaj. Wielkie nadzieje pokładam w bliskich kontaktach Turcji z Europą Zachodnią. Nie byłoby przecież rzeczą niemożliwą przynależność Armenii do Wspólnoty Europejskiej. Mamy przecież wspólne korzenie kulturowe i cywilizacyjne.

– A jak liczna jest Pańska organizacja?

– Nie prowadzimy statystyki, w każdym razie za sympatyków należy uważać wszystkich Ormian. Do naszego Związku należy wielu członków KPZR. Nawet naczelny redaktor naszego organu, pisma „Niezależność” jest komunistą. Nie chcieliśmy, aby nasi działacze występowali z partii. Jak już powie-

działem nasze cele zgodne są z konstytucją. Mimo to uważa się nas niemal za opozycyjną partię polityczną. Ale najniebezpieczniejsze jest, że mamy bliskie kontakty z Ukraińcami i mieszkańcami republik nadbałtyckich, a także współpracujemy z opozycją moskiewską. Zresztą o zamiarze założenia Związku poinformowałem Gorbaczowa listownie w marcu 1987. Napisałem, że zamierzam założyć organizację, która respektować będzie konstytucję. W maju 1987 roku dostałem oficjalny list, zawiadamiający mnie, że nie otrzymam odpowiedzi na zawarte w moim piśmie pytanie, czy mogę założyć taką organizację. W październiku znowu napisałem do Gorbaczowa, dziękując mu, iż nie wydał zakazu utworzenia Związku. 24 października 1987 roku w, dniu Obrony Więźniów Politycznych ogłoszonym przez ONZ rozpoczęliśmy działalność.

– Czy problem Górnego Karabachu i jego przynależności do Armenii jest dla Ormian sprawą najważniejszą i czy uważa Pan, że gdyby rozstrzygnięto go zgodnie z żądaniami Ormian, sytuacja uległaby uspokojeniu?

– Problem Karabachu nie jest problemem czysto etnicznym. Jest to kwestia demokracji. Gdyby Związek Radziecki respektował prawa człowieka, sprawa Karabachu byłaby rozwiązana. Mieszkańcy tej enklawy w Azerbejdżanie chcą żyć we wspólnocie z Armenią. Od czasów Lenina narody w Związku Radzieckim mają prawo do samostanowienia. Jest to jedna z leninowskich zasad. Jedynym powodem, dla którego władze ZSRR nie zgadzają się na przyłączenie Karabachu do Armenii, jest lęk przed udzieleniem komukolwiek prawa do decydowania o własnym losie na zasadach demokratycznych. Moskwa zobiła z tej sprawy problem nacjonalistyczny i religijny. W rzeczywistości jest to problem demokracji i głośności. Ormianie żądają w demokratyczny sposób przyłączenia skrawka ziemi do Armenii. Centralna prasa radziecka przeprowadziła kampanię propagandową, która miała wykazać, że Ormianie chcą doprowadzić do destabilizacji i niepokojów w ZSRR. Była to akcja oficjalna, w rzeczywistości bowiem nie było żadnych antyormiańskich nastrojów w Moskwie czy innych miastach. Mimo głoszonej głośności Moskwa stara się trzymać wszystkie objawy życia publicznego pod kontrolą. Tam, gdzie się to nie udaje, działa starymi, wypróbowanymi metodami. Gorbaczow miał szansę pokazać na praktycznym przykładzie, jak wygląda głośność i pieriestrojka. Właśnie przychyłając się do żądań Ormian w sprawie Górnego Karabachu. Ale z tej szansy nie skorzystał. Chcemy, aby na temat naszego bytu narodowego przeprowadzone zostało demokratyczne referen-

dum. A także wolne wybory. To uwolniłoby Ormian a także inne narody wcielone do ZSRR od wielu problemów, także narodowościowych, bo one istnieją. Dążymy do uzyskania autonomii i demokracji w Armenii.

– Znaczy to, że problem Górnego Karabachu jest tylko częścią zasadniczego problemu ormiańskiego.

– Wydarzeniom w Górnym Karabachu zawdzięczamy po pierwsze rozgłos, a po drugie, dzięki szerokiemu rozpowszechnieniu informacji o sytuacji w Armenii, obudzenie się świadomości narodowej. Ale przynajmniej tutaj na Zachodzie zbyt wiele jak na mój gust jest w tym wszystkim posmaku sensacji. Wszyscy piszą o Górnym Karabachu, a istnieje także inny region ormiański znajdujący się dokładnie w tej samej sytuacji. Myślę tu o Nariczewaniu, wydzielonej enklawie na południu Armenii, która również jest administrowana przez Azerbejdżan. Przez całe dziesięciolecia Ormianie zmuszani byli lub nakłaniani do opuszczania tego regionu i dzisiaj stanowią tam zaledwie dwa procent ludności. Jest to jeszcze jedna ilustracja sposobu obchodzenia się przez Moskwę z granicami, narodami itd. Ale brak prawa do samostanowienia, do decydowania o losach własnego kraju, ma jeszcze inne, fatalne następstwa. Na przykład coraz więcej Ormian ucieka z terytorium Armenii w inne rejony Związku Radzieckiego z powodu fatalnego zanieczyszczenia środowiska. Wielu emigruje i odnoszą czasami wrażenie, że celem Moskwy jest skłonienie jak największej liczby Ormian do wyjazdu z rodzinnego kraju. Wracając do środowiska naturalnego, mnożą się wypadki przedwczesnych zgonów wskutek chorób cywilizacyjnych, wad wrodzonych u dzieci, masowych zatruc. Wszystko to jest konsekwencją rabunkowej gospodarki Moskwy, katastrofę ekologiczną można by zahamować tylko w ramach narodowego państwa ormiańskiego, którego władze miałyby świadomość dziedzictwa historycznego i odpowiedzialności za przyszłość narodu. Dotychczasowe działania w tej sprawie, liczne petycje i demonstracje pozostały bez echa.

– Czy istnieje jakakolwiek współpraca między Pańską organizacją i organizacjami Ormian na wychodźstwie?

– Ormiańska diaspora jest bardzo liczna. Obliczam ją na 3 do 4 milionów ludzi poza granicami ZSRR i 2 do 3 milionów Ormian w innych republikach radzieckich. Odczuwaliśmy oczywiście poparcie naszych rodaków za granicą, zwłaszcza tych w USA i we Francji, ale teraz gdy miałem okazję poznać tę działalność osobiście, uważam, że zrobili oni mniej niż mogli. Zresztą nasz Związek miał wyłącznie kontakty z osoba-



Paruir AIRIKIAN w rozmowie z dziennikarką

mi, a nie z organizacjami emigracyjnymi.

– Czy wie Pan, że w ostatnim czasie bardzo wielu Ormian – katolicka prasa w PRL pisała o tysiącach – przybywa do Polski w ramach łączenia rodzin?

– Nie, nie wiedziałem o tym. Ale mnie to nie zaskakuje. Ormianie byli zawsze w najcięższych chwilach swojej historii przyjmowani z otwartymi ramionami przez Polaków. Myślę, że oba narody mają wiele wspólnego.

– Czy wypadki w Polsce, powstanie „Solidarności”, wprowadzenie stanu wojennego miały jakiś wpływ na metody walki narodu ormiańskiego o wolność?

– Oczywiście Ormianie wiedzą o „Solidarności” jeśli nie wszystko, to bardzo wiele. Ale „Solidarność” jako związek zawodowy nie jest dla nich bezpośrednim wzorem ani nie budzi takiego zainteresowania. O wiele bardziej interesującą i bliską jest nam Konfederacja Polski Niepodległej. Wiem, że KPN dąży do pełnej suwerenności i niepodległości Polski. Już sama nazwa sugeruje, że cele KPN i naszego Związku są zbieżne.

– A czy wie Pan, że czołowi działacze „Solidarności” podpisali skierowany do Gorbaczowa apel o Pańskie uwolnienie?

– Dowiedziałem się o tym dopiero na Zachodzie, więc chciałbym niniejszym skorzystać z okazji, żeby im za to podziękować. Panom Kuroniowi, Lisowi i Michnikowi i wszystkim, którzy w Polsce popierają naszą sprawę. Niestety, nie mamy praktycznie żadnych kontaktów z polską opozycją,

a byłyby one korzystne dla obu stron. Moglibyśmy dzielić się doświadczeniami. My w Armenii pokładaliśmy wielkie nadzieje w Polakach i w „Solidarności”. Mając organizację zrzeszającą 10 milionów członków, można było przeprowadzić referendum narodowe i zgodnie z prawem narodów wyprowadzić Polskę z obozu socjalistycznego. Ormianie dziwili się, że „Solidarność” samoograniczała się do działalności związkowej i zrezygnowała z takiego referendum. Z programu „Solidarności” najbliższe są nam postulaty socjalne.

– Czy miał Pan osobiste kontakty z Polakami?

– Nie wiem, czy Pani o tym wie, ale jednym z najpopularniejszych Polaków w Armenii jest pan Bogdan Gębowski, ja nawet nie wiem kto to jest, ale faktem jest, że spowodował ogromną falę sympatii dla Polaków. Otóż w latach sześćdziesiątych pisał on listy otwarte do Organizacji Narodów Zjednoczonych, domagając się niepodległości dla Armenii. Te listy były u nas rozpowszechniane, wszyscy je znają. Myślę, że te wystąpienia pana Gębowskiego odpowiadały sentymentom większości Polaków. Także pragnieniem Ormian jest, aby Polska jako kraj europejski, kraj chrześcijańskiej cywilizacji i kultury wystąpiła z RWPG i weszła w skład Wspólnoty Europejskiej. To stworzyłoby szansę i Armenii i innym zniewolonym narodom. My, Ormianie znamy tragiczną historię Polski. Wiemy o pakcie Ribbentrop-Mołotow i o Katyniu. Ja osobiście będąc na zesłaniu w Irkuckiej Obsłai spotykałem Polaków, byłych łągierników. Natrafiałem na ślady dawnej generacji zesłańców, jeszcze z czasów carskich. Pozostało po nich wiele pamiątek, dokumentów, fotografii, wyrobów rękodzielniczych. Polacy, to tragiczny naród.

– Co będzie Pan robił teraz?

– Przede wszystkim zamierzam wrócić do Armenii tak szybko jak tylko możliwe. Podjąłem już odpowiednie kroki, po mojej stronie jest prawo moralne, gdyż nikt nie może pozbawić mnie mojej Ojczyzny. Gdyby jednak powrót okazał się niemożliwy, wybiorę na miejsce pobytu kraj, w którym miałbym najlepsze możliwości działania na rzecz narodowego odrodzenia Armenii. Wybiorę chyba Stany Zjednoczone.

– Dziękuję Panu bardzo za rozmowę.

rozmawiała Krystyna GRZYBOWSKA

# Miejsce śmierci - Kurapaty...\*

Wadim Szerszow

## Podniesiona kurtyna

**L**as milczał. Jakby wsłuchując się w jego wiec...  
ciszę, nieruchomo, przywarły do sosny, siedział człowiek.  
Zastygło też, zmrożonych mglistym uczuciem strachu, dwóch  
podrostków, którzy nie słuchając starszych wleźli przez dziurę  
w trzymetrowym płocie. W nienaturalnej pozie mężczyzny  
było coś nierzeczywistego. Wziąwszy się jednak w garść,  
dodając jeden drugiemu animuszu zrobili parę kroków do  
przodu. I... oniemieli, a w sekundę potem gnali co sił w no-  
gach ze straszego miejsca. Poranne światło księżyca padło na  
twarz nieznanego zalaną krwią...

Wiosną, zatrząsienie kwiatów odmładzało las rozłożony na  
niewysokich wzgórzach. Pierwiosnki, po tutejszemu kurapaty,  
tak od dawna mieszkańcy nazywali i las i okolice. Ożywała też  
głusza jesienna – grzybów i jagód starczało nie tylko dla wieś-  
niaków z Cny, Zielonej Łąki, Drozdów, lecz również dla  
przybyszów z niedalekiego Mińska. Szumiały na wietrze  
sosny i dęby, wesóło pokrzykiwała na bagnach świeżo wy-  
lęgnięta młodź, pojawiali się kawalerowie i słychać było popis-  
kiwania dziewcząt straszonych przez bosonogich rówieśników  
ukrytych za krzakami.

Wszystko skończyło się w jednej chwili wraz z pierwszą  
ciężarówką, która przywiozła w to uroczysko nieznanym  
więźniów. Towarzyszyli im ludzie w mundurach NKWD i

---

\* "Daugawa" - Miesięcznik Literacki i Społeczny Związku Pisarzy  
Łotwy - nr 9/88

kiedy rozbrzmiały strzały ścisnęły się z trwogi serca w całej okolicy. Ale wtedy nikt jeszcze nie mógł nawet podejrzewać, że poczynając od tego dnia, niedobrej pamięci 37 roku echa strzałów toczyły się będą po ich wioskach, po ich życiu, dzień w dzień... aż do samego czarnego czerwca 1941.

– Pięć lat strach wisiał nad naszą wioską. Strzały w lesie nie dawały spokoju, mieliśmy je w uszach bez chwili przerwy – wspomina tamten straszny czas mieszkaniec Cny, Roman Bocian z chrzestem mnąc palce. Nie łatwo ożywiać pamięć... – Przywozili ludzi na rozstrzelanie żwirową drogą, o której wtedy mówili, że była „wojskowa”. Ciężarówki zjeżdżały do lasu i – zaczynało się. Siedzi się latem na dworze przy kolacji i nagle – Boże dobry! Jedzenie w gardle staje: przecież tam w tym momencie ludzie rozstają się z życiem. Dusza nie mogła pogodzić się z tymi wystrzałami, nie mogła. Już nawet przestali strzelać, a ty ciągle słyszysz: bach – bach... (...)

Roman Nikołajewicz milknie, patrzy w stronę lasu, dobrze widocznego z jego obejścia. Nasłuchuje. Mimo woli nasłuchuję i ja. Cisza... Ale wydaje się, jakby mój siedemdziesięcioletni rozmówca ciągle słyszał wystrzały, które brzmiały tu przed pół wiekiem.

– Duży kawał lasu odgradzili jeszcze w trzydziestym siódmym, wysokim szczelnym płotem, na zakładkę, deska na deskę. Ale czy ukryjesz przed ludzkim okiem coś takiego? Kto odważniejszy przechodził za płot a i przez szczeliny wielu widziało jak ludzi śmierć dosięgała. Oczywiście, ryzykowali... ale czy tylko te strzały nas przerażały? W Cnie uczył Arsenij Pawłowicz Grusza, dobry człowiek. I zniknął, zabrało go NKWD. A ile więcej ludzi zabrali z Podbagnia i Zielonej Łąki. Przewodniczący naszego kołchozu, Bocian, krzywdzić swoich nie dawał. Nie raz do niego przychodzili – „Wrogów u siebie masz? Jak to nie masz? Popatrz aby dobrze, muszą być.” Ale Timofiej Wasiliewicz stał przy swoim. Dużo narodu uchronił od zguby...

Rozstając się z Romanem Nikołajewiczem, poruszonym ciężkimi wspomnieniami, przechodzę po przekątnej ulicy Robotniczą. Naprzeciw dom Nikołaja Karpowicza. Wita mnie sam gospodarz – krzepki jeszcze, mocno ogorzały na rękach i twarzy mężczyzna.

– W trzydziestym siódmym, trzydziestym ósmym zdarzało się widzieć rozstrzeliwania w lesie – wolno, z wyraźnym oporem zaczął Nikołaj Karpowicz. – Miałem wtedy osiemnaście lat... i z takimi jak ja, tymi śmielszymi, chodziło się za ten płot. Wiadomo czym ryzykowaliśmy.

Jednego razu szedłem rano do pracy omijając bokiem ogrodzoną



część lasu, a było tego z dziesięć–piętnaście hektarów. Spotkałem Szibajło – nie pamiętam już jak miał na imię, był z sąsiedniej wsi. Przez całą noc pilnował lokomobili, którą używali do wycinania torfu na bagnach. Niedaleko od miejsca gdzie rozstrzelivano. Widzę: zdenerwowany, roztrzęsiony. „Żebyś wiedział bracie ilu ludzi zabili w nocy. Nawet ziemi nie zasypywali. Chodź, to ci pokażę”. Poszedłem. Niezbyt daleko od płotu, w szerokiej jamie leżeli zabici, ledwo tylko przykryci świerkowymi gałęziami. Proste ubrania, biedne buty... Chłopi tacy jak my...

Ludzi zabijali szeregami. Zabójcy w mundurach NKWD strzelali w skroń pierwszemu ze skraju, widać po to, żeby jedną kulą położyć dwóch. Oszczędność... Mieli dobrą praktykę: po dwóch od razu wpadało do jamy... W ustach kneble. Wystzelają cały rząd i już następna partia. Aż się jama zapełni. Potem trochę piasku, zrównanie, koniec.

Kiedyś, było już pod wieczór, ciemniało, szedłem przez las do domu z Zielonej Łąki. Był ze mną jeden z naszej Cny, człowiek dużo ode mnie starszy. Strzelaniny nie słyhać. Myślę sobie: postrzelali, pies was... i pojechali. Patrę – a pod drzewem (jak przelazł ten parkan?) siedzi człowiek w pokrzwawionej bieliźnie. Wygląda, że żywy. Jak mu pomóc? Nagle słyszyny tuż obok – samochód. Więc dalej stąd, a potem biegiem. Prosto na enkawudzistów. „Kim jesteście?” Z Cny, odpowiadamy. „Widzieliście kogo?” Milczę ale odczułem obok mnie nie wytrzymał: „Siedział, o tam, taki jeden...” Oglądam się a oni tego skrwawionego nieszczęśnika wloką za nogi, głowa obija się po ziemi... Potem, jak kłodę na ciężarówkę i powieźli. Jak on mógł przejść przez ten parkan – pójść nie mogę...

Karpowicz przeszedł dwie wojny, nie raz zaglądał śmierci w twarz, ale i jego ręce wyraźnie drżały kiedy wspominał tę noc.

Czy uratował się ktoś z Kurapatów? Czy ktoś stąd uciekł? Nikołaj Wasiliewicz nie słyszał o tym, ale on w trzydziestym dziewiątym roku poszedł do wojska, gdy tutaj rozstrzelivano aż do początku wojny. Niektóre świadectwa wskazują, że ten i ów ocalał. Czy choć jeden z nich żyje jeszcze dzisiaj? Chciałoby się wierzyć...

O świadkach. Jest ich niemało, chociaż wojna tych miejsc (dzisiaj przedmieście Mińska) także nie oszczędziła. Dzięki ich świadectwu zarysowuje się przed nami obraz strasznych, krwawych bachanalii, jakie trwały tutaj przez ponad cztery lata poprzedzające wojnę. W roku 1937 ludzie, dowożonych do Kurapatów „czarnymi krukami”,\*\* rozstrzelivano o świcie,

---

\*\* Samochody przystosowane do przewozu więźniów

potem około drugiej po południu, wreszcie po zmroku. Warstwa po warstwie, zwały się trupy w głębokie, wykopane wcześniej jamy. Zasypywano je dwudziesto-, dwudziestopięciocentymetrową warstwą piasku i czasami, zależnie chyba od nastroju, sadzano małe sosenki. Parkan pojawił się w drugiej połowie trzydziestego siódmego roku a wraz z nim straż z psami.

Od postronnych oczu rzeźnię odgradzili, ale przedśmiertnych krzyków wystrzały uchronić przed postronnymi uszami nie mogły. Zmienili tylko czas rozstrzeliwania. Teraz robili to po obiedzie, pod wieczór i przez całą noc. I tak codziennie. Taśma śmierci, według naocznych świadków, pracowała bez żadnej przerwy...

*Czasami nawet po kilka ciężarówek na raz wjeżdżało za ogrodzenie... Jak tylko zaczęła strzelać, krzyk się podnosi, płacz, przeklinania... Drogę z Zasiawia, którą przywożono skazańców, tutejsi nazwali drogą śmierci. Przebyły ją w te lata dziesiątki tysięcy. Ilu ich było dokładnie, kim byli – to jedno z pytań, na które odpowiedzieć ma Komisja Rządowa powołana decyzją Rady Ministrów Białorusi.*

### **Kim byli ofiary..?**

– *Nie ma dziś najmniejszych wątpliwości, że odbyła się tutaj straszna tragedia – mówi śledczy do specjalnie ważnych spraw przy prokuratorze Białoruskiej SSR, J. Brolisz. – Kim byli Kaci? Kim ofiary?*

Jazep Jazepowicz kieruje grupą śledczą. Pochodzi z Elgawy, gdzie żyje jego matka i krewni. W roku 1972 skończył Wydział Prawa na Białoruskim Państwowym Uniwersytecie im. Lenina. Jest żonaty, ma dwoje dzieci.

– *Śledztwo idzie w trzech kierunkach: przestuchuje się świadków, przewidziane jest badanie archiwów NKWD (trzeba jednak najpierw do nich dotrzeć. I czy w ogóle one jeszcze są?), wreszcie dokonuje się ekshumacji i przeprowadza ekspertyzy medyczno-sądowe.*

*Świadków jest ponad stu. Zeznania złożyły już dziesiątki osób. W związku ze śledztwem, prowadzonym w sprawie otworzonej przez prokuraturę białorską po odkryciu masowych grobów w Kurapatach, nasza grupa śledcza przeprowadziła ekshumację. Od strony naukowej prace prowadzili archeologowie z Instytutu Historii Białoruskiej Akademii Nauk pod kierownictwem Z. Pożniaka. Co można choćby wstępnie powiedzieć o tragedii, jaka rozegrała się na przedmieściach Mińska? Na jakiegokolwiek wnioski jest jeszcze za*

wcześniej. Zeznania świadków jednak i pierwsze wyniki ekshumacji mówią na pewno jedno: nie ma niczego co podważyłoby wersję, że rozstrzeliwano tutaj ludzi w czasie represji stalinowskich.

Darujmy sobie oficjalności, zastanówmy się nad tym, kim mogły być ofiary?

- Całkiem możliwe, że większość znalazła się na miejscu stracenia bez żadnego sądu. Byli to ludzie niewysokiej rangi społecznej, głównie chłopcy, choć w jednym grobie znaleźliśmy, jak wszystko na to wskazuje przedstawiciele inteligencji. Wiele też wskazuje, że większość zabitych tutaj pochodziła z Białorusi, w tym także z jej zachodniej części przyłączonej w roku 1939.

- A czy wśród ofiar znaleziono mieszkańców republik nadbałtyckich, konkretnie Łotyszów?

- Nie wykluczone.

Swoje ostatnie pytanie zadałem nie bez powodu. Z pośród sześciu ekshumowanych zbiorowych grobów w trzech znajdują się zwłoki ludzi zabitych po roku 1939. Wiele jest takich mogił w Kurapatach. Przede wszystkim jednak są materialne dowody prowadzące na „łotewski ślad”. Chodzi o dwie pary butów z łotewskim (kalosze gumowe) napisem na podeszwie „Riga 1939” i (pantofle skórzane) „Kvadrats Riga”.

- W kwietniu tego roku, podczas kładzenia przez kurapatskie uroczysko rurociągu gazowego odkryto mogiłę, w której oprócz kaloszy ze znakami fabryk radzieckich, znaleziono dwie pary obuwia z oznakowaniem łotewskim - powiedział mi w czasie jednego z naszych spotkań Zenon Poźniak, o którym wspominałem wyżej. - Jestem więc przekonany, że do Kurapatów przywożono też mieszkańców krajów nadbałtyckich. Potwierdzają to również niektórzy świadkowie. Śledztwo nadal w toku i niestety nie wszystko można już teraz opublikować. Także wielu świadków, choć może się to komuś wydawać bardzo dziwnym, nie chce, by ujawniano ich nazwiska.

Nie mogę nie zgodzić się z Zenonem Stanisławowiczem. Sam w czasie zbierania materiałów o kurapatskiej tragedii zetknąłem się z prośbą o zachowanie w tajemnicy nazwiska mojego rozmówcy. Korzystając ze sposobności proszę go jednak, żeby dokładniej opowiedział do jakich wniosków doszedł on osobiście po ekshumacji, którą przeprowadziła kierowana przez niego grupa archeologów.

- Pierwsze groby w Kurapatach pochodzą z połowy lat trzydziestych, dokładniej z początku roku 37. Z tym, że w zachodniej i południowo-zachodniej części miejsca rozstrzeliwano są groby z okresu po roku 39. Ogółem do dziś zidentyfikowane zostało 510 zbiorowych mogił, a w każdej z nich leżą setki, a zdarza się, że i tysiąc zwłok.

Niektóre dochodzą do dziesięciu metrów długości i trzech metrów głębokości. Wypełnione są zabitymi po brzegi. Co najmniej sto mogił zostało zniszczonych podczas wyrębu lasu i kładzenia gazociągu. Wiele mogił zniknęło, kiedy w końcu lat 50-tych i na początku lat sześćdziesiątych pociągnięto tędy obwodnicę. Możliwe również, że część zniszczono jeszcze w latach czterdziestych podczas wyrębu i sadzenia lasu. Ogólna ilość zbiorowych grobów w Kurapatach mogła dochodzić do strasznej liczby dziewięciuset...

A teraz parę wniosków z przeglądu sześciu mogił, w których znaleźliśmy szczątki wielkiej liczby ludzi. Wszyscy oni byli cywilami (grazdanskoje nasilenije) i pochodzili z różnych rejonów Białorusi z tym, że niektórzy mogli być przesiedleńcami z krajów nadbałtyckich. Sądząc po obuwiu, resztkach ubrań i przedmiotach osobistego użytku większość z nich to chłopci, robotnicy, drobni urzędnicy, wiejska inteligencja. Charakter znalezionych przedmiotów wskazuje, że zamordowani tutaj ludzie (wśród których jest wiele kobiet) opuścili swoje domy bardzo krótko przed śmiercią, wybierając się według wszelkich przypuszczeń w długą drogę. Jest więc prawie pewne, że rozstrzelano ich bez sądu. Zabijano strzałem w głowę, głównie w potylicę z radzieckiego rewolweru marki „Nagan”. Łuski od tej broni znajdują się we wszystkich odkopanych grobach.

Szczegół bardzo ważny: jeszcze przed nami ktoś niewątpliwie odkopywał te mogiły i ekshumował zabitych. Było to co prawda robione niedbale, ale jednak usunięte zostały całe warstwy zwłok. Kto to robił i po co? Po to żeby zatrzeć ślady strasznego przestępstwa? Czyli już wtedy wiedzieli co robili?

...Kurapaty stały się miejscem śmierci 250 tysięcy ludzi. Według zaś osobistej oceny Pożniaka leży ich tu więcej niż 300 tysięcy.

- Nie wątpię, że na tym uroczysku leżą głównie zwykli ludzie rozstrzelani przez enkawudzistów – powiedział mi przez telefon N. Sawickij, plastyk, członek Komisji Śledczej – Ostatecznych wniosków jeszcze nie ma, ale utwierdzają mnie w takim przekonaniu dowody rzeczowe znalezione podczas ekshumacji, w której bratem udział.

- To masowe zabójstwo – mówi członek Komisji, laureat nagrody leninowskiej, Wasilij Bykow – jest jednym tylko z świadectw stalinowskiego terroru, który większość zna tylko z gazet, a teraz z książek. To, co się tutaj stało zaświadcza, że w tamtych latach ginęli nie tylko najlepsi z partyjnego kierownictwa, inteligencji czy z Armii Czerwonej. Przede wszystkim szły do grobów setki tysięcy zwykłych, niczemu niewinnych ludzi, zwykłych wieśniaków.

Kurapaty nie są wyjątkiem. Wokół wszystkich rejonowych ośrodków naszej republiki, jestem o tym przekonany, znajdują się miejsca masowych kaźni z czasów stalinowskich. Ani jedna z tych zbrodni nie powinna zostać w cieniu. Przez wiele lat działały w kraju siły (działały i dziś, choć innymi metodami) starające się ukryć dawne sprawy za parawanem „tajemnic”, zatrzeć przed narodem swoje krwawe ślady. Nie powinniśmy zapomnieć o tych wyciężonych robotnikach, zagłodzonych kołchoźnikach, o pierwszych ludowych inteligentach, o tych mężczyznach i kobietach, którzy z kulą w potylicy zwalali się w wykopane przez nich samej jamy, a ich ostatnią myślą nie było ani przekleństwo, ani protest, a jedyne i tragiczne – „za co?”.

Nie usłyszą nigdy odpowiedzi na swoje pytanie, ale my musimy usłyszeć i zrozumieć.

### ...I trochę o katach

Niektórzy z nich żyją. Ci właśnie, co wykonywali ludobójcze rozkazy o „wyższej mierze”. O jednym z nich, niejakim Karaulowie opowiedział mi Zenon Stanisławow. Zenon akurat zwariował. A oto bardziej typowy przypadek. To nam kata mojego ojca. Żyje w Mińsku, ma państwowe odznaczenia...”.

– W tym wypadku identyfikacja zabitych jest moim zdaniem ważniejsza niż poszukiwanie katów – Takie jest zdanie Jazepa Brolisza – Ludzie mają oficjalne zawiadomienia o śmierci bliskich skazanych w czasach stalinowskich. Ale gdzie ich stracono? Gdzie pochowano? Tego nie wiedzą i oczekują od nas pomocy. A gdy chodzi o tych co rozstrzelowali, prawo z powodu przedawnienia niewiele może im zrobić.

Ci, których bliscy padli ofiarą stalinowskich represji myślą jednak inaczej niż prowadzący śledztwo: uważam, że trzeba o nich pisać, trzeba ich poddać ludzkiemu sądowi. Trudno się z tym nie zgodzić. Ale sprawiedliwość wymaga też zidentyfikowania wszystkich co zginęli, uwiecznienia ich pamięci i zawiadomienia krewnych: miejsce śmierci – Kurapaty...

Ludzka pamięć... Nie mogę pominąć jeszcze jednego świadectwa pomagającego pełniej przedstawić moralne oblicze tych w Kurapatkach. Kobieta, która opowiedziała tę historię miała wtedy jedenaście lat...

Dzieciarnia. było ich z siedmioro, polazła za płot, rosło tam zatrzęsienie jagód. Nagle, niedaleko od nich, otwiera się brama i wjeżdża nią najpierw samochód osobowy, a potem „czarny kruk”. Dzieciaki jak jeden z powrotem do płotu, do dziury, która w nim była. Jak jeden za wyjątkiem niej. Dziew-

czynnika przerażona, straciwszy głowę, chowa się za krzak. I oto na jej oczach dzieje się straszne – masowe zabójstwo, rzeźnia, coś co jeszcze pół wieku później wracać będzie do niej nerwowymi atakami.

Z „emki” wychodzi czterech po cywilu. Doskonale nastroje, śmiejąc się, dowcipkując, podchodzą do wykopanych wcześniej dołów. Teraz podprowadzają do nich pierwszą grupę ludzi z „kruka”. Jeszcze niczego się nie domyślają. Krzyki, mrozące krew w żyłach, zaczynają się z pierwszymi strzałami. Czwórka zupełnie na zimno z naganów rozstrzeluje ludzi. Ostatni z pierwszej grupy padają w dół, a konwojenci już podprowadzają następną. Zonglując dla zabawy naganami, z zimną krwią strzelają w potylicę. Bestie. Na zieloną trawę obficie płynie krew... Nie każdy dorosły sprostałby takiemu przeżyciu. Dziewczynka wraca do świadomości dopiero nad ranem...

– Byli to niewątpliwie ludzie z centrali NKWD, amatorzy mocnych wrażeń – komentuje rozbawienie katów, o którym mówiła kobieta, ekspert Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – jeździli na rozstrzeliwania jak choćby na ryby. Działali według wskazówek wielkiego cudotwórcy, który jeszcze na XVI Zjeździe Partii Bolszewików podkreślał, że represje są niezbędnym elementem ofensywy w budownictwie socjalistycznym. No i oto wytyczna...

## Przeciwdziałanie

Las milczał. Poranne światło księżycy padło na twarz nieznanego, nieruchomo przywartego do sosny. Była zalana krwią...

Czy mógł przypuścić W. Jermołowicz, naoczny świadek tego straszego obrazu z przedwojennych czasów, że rzeźbiarz-amator odtworzy w gipsie nieszczęśnika spod sosny? I czy mógł przypuścić, że ludzie postawią tę bolesną figurę w Kurapatach, obłożą ją kwiatami i odbędą tu czterdziestotysięczny miting dla upamiętnienia ofiar stalinowskich represji? Ale i uczestnicy mitingu czegoś nie przewidzieli. Tego, że pomnik rzeźbiarza samotka – wyraz ludowego bólu i gniewu – szybko zniknie bez śladu, stając widać komuś kością w gardle. Komu? Jak tu nie powtórzyć jeszcze raz słów Wasilija Bykowa, że w kraju działały (i nadal działają choć innymi metodami) siły bardzo się starające skryć krwawe sprawy za parawanem tajownic państwowych, zatrzeć przed narodem swoje krwawe ślady.

Komu przeszkadzał skromny pomnik postawiony w lesie? W czym przeszkadzał? Co przypominał ludziom? Przypominał, że Kurapaty to nie miejsce dla pikników i zabaw, bo tutaj trawa rośnie na ludzkich kościach. Zenon Pożniak powiedział mi, że pytał Przewodniczącego Rejonowego Komitetu Wykonawczego w Mińsku, dlaczego usunięto pomnik. Dostał odpowiedź, że było takie zlecenie Komisji Śledczej. Członek Komisji I. Niedielaj zapewnia natomiast, że takiego zalecenia nikt nie dawał. Czyli sprzątnęli pomnik z własnej woli, jak najdalej od miejsca grzechu. Może go zniszczyli? I co dalej?

A oto co dalej. Po ogłoszeniu w „Literatura i Mastactwa” o odkryciu w Kurapatach, Zenon Pożniak chciał sprawdzić zeznania świadków, według których wielu ludzi zamordowano także na innym przedmieściu Mińska, Łoszyńcu. Fakt, od dawna zamierzano tutaj zbudować dworzec autobusowy, ale nic się nie działo. Zenon Stanisławowicz przyjechał do Łoszyńca po mitingu mieszkańców Mińska w Kurapatach i... oczom nie uwierzył. Na miejscu wzgórze, zagłębienie i gruszowego sadu rozciągał się ogromny, dokładnie wyrównany teren wysypywany piaskiem i grubym tłuczniem. Ukryli pod nim wszelkie ślady, które o wielu sprawach mogły powiedzieć archeologom. Pożniak próbował kopać w paru miejscach, ale znaleźć w takich warunkach zbiorowe groby to tak jak szukać igły w stogu siana. Czy przypadkiem nie ukryli tam przed ludzkim okiem „drugich Kurapatów”? Chciałoby się wierzyć, że te gruntowe roboty to był czysty przypadek...

A dlaczego władze nie dawały zgody na odbycie wiecu w Kurapatach przy miejscach rozstrzelań? Co za tym się kryło? A kiedy stało się jasne, że wiec i tak się odbędzie, postanowiły zorganizować „swój” oficjalny. Przyszło kilkadziesiąt osób, a w Kurapatach, choć to daleko od centrum, a nawet od samego miasta, zgromadziły się dziesiątki tysięcy. Sekretarzowi Miejskiego Komitetu Partii, P.Krawczence, zmuszonemu do wystąpienia na demonstracji w lesie, wyrwało się niechcący słowo „nostalgia”, gdy mówił o stalinowskich czasach. Wywołał oburzenie zgromadzonych, oczywiście potem próbował się wykręcić. Zmuszony został nawet do stwierdzenia, że takie wiece są konieczne... co nie przeszkodziło władzom ukarać organizatorów grzywnami. A w mieście następnego dnia rozpuszczano pogłoski, że to nacjonałiści organizują spędy w miejscu, gdzie rozstrzelano faszystów z oddziałów pacyfikacyjnych. Robiło się i robi próby, by na wszelkie sposoby oczernić tych co budzą ludzką pamięć. Nie bądźmy więc za bardzo optymistami. Przeciwdziałanie destalinizacji jest bardzo

mocne. I także nacisk na osoby zaangażowane oficjalnie w śledztwo wokół tej tragedii. Człowiek, który pałał oburzeniem na bestialstwa NKWD w lesie Kurapatskim kiedy rozmawiałem z nim po raz pierwszy, w dwa tygodnie później załił się, że jeśli zgodnie z dokumentami nie zidentyfikuje się ofiar, to nie będzie pewności kto faktycznie padł tam pod kulami oprawców. I to wszystko przy dziesiątkach protokolarnych zeznań naocznych świadków! A ponadto stwierdzone jest oficjalnie, że hitlerowcy tutaj nikogo nie rozstrzeliwali. A jak tu zareagować kiedy słyszy się: „Kto wie, może stracono ich zgodnie z prawem... Zgodnie z prawem! Kilkaset tysięcy? O jakim tu się mówi prawie?

Będziemy cierpliwi. Będziemy wierzyć, że dla potrzeb śledztwa przekazane zostaną odpowiednie dokumenty NKWD i kurtyna nad tragedią w Kurapatkach zostanie całkowicie podniesiona. I kto wie, może poznamy nazwiska naszych rodaków, którzy - nie wykluczone - przeszli swoją ostatnią drogę w tym strasznym lesie pod Mińskiem. A na razie śledztwo trwa...

Wadim SZERSZOW

Tłumaczenie z rosyjskiego – Waldemar Kuczyński

NOWOŚĆ!  
EDITIONS SPOTKANIA

## W BLASKU LEGENDY

Kronika poetycka życia Józefa Piłsudskiego  
z 14 drzeworytami

Stanisława Ostoi-Chrostowskiego i Michała Byliny  
Opracowanie, noty i posłowie Krzysztof A. Jeżewski

*Pierwsza tego rodzaju publikacja w literaturze polskiej. Dzieje legendy Józefa Piłsudskiego i jego Legionów w układzie chronologicznym od wizji jego nadejścia u wielkich romantyków poprzez poszczególne etapy jego życia aż po ewokacje pośmiertne z ostatnich lat. W ogromnej większości nieosiągalne, zakazane i skazane na zapomnienie w PRL 352 utwory 160 poetów, prozaików, polityków, publicystów, artystów, w tym kilkudziesięciu najsylniejszych nazwisk polskich tego stulecia. Zamiast przedmowy esej Bruno Schulza. Posłowie Krzysztofa A. Jeżewskiego rzucające nowe oryginalne światło na postać Marszałka. Obszerne noty o autorach, źródła tekstów, przypisy, indeksy.*

Str. 598

Cena: 140 FF; 23 \$US; 14 £



ISSN 0756-3086

# kontakt

42, rue Raymond Marcheron  
92170 VANVES

FRANCE

tél. (1) 46 45 87 16

Directeur de la Publication  
*Miroslaw Chojecki*Redaguje Zespół : *Jacek Bierezin* (dział artystyczny i literacki), *Miroslaw Chojecki*, *Maria de Hernandez-Paluch* (dział krajowy), *Piotr Kasznia* (dział zagraniczny), *Roman Lewandowski* (sekretarz redakcji), *Jerzy Nowacki* (redaktor naczelny)Imprimerie KONTAKT  
42, rue Raymond Marcheron  
92170 VANVESDépôt légal 4<sup>ème</sup> Trimestre 1988  
N° CPPAP 66969

Warunki prenumeraty	1 egz.	6 m-cy	rok
Francja (FF)	30,00	170,00	330,00
Australia (\$ AUS)	8,00	44,0	83,00
Austria (Szl.)	77,00	400,00	770,00
Dania (DKr)	40,00	220,00	400,00
Holandia (FL)	12,00	61,00	120,00
Kanada (\$ CAN.)	6,50	38,00	72,00
Norwegia (Nkr)	30,00	170,00	330,00
Niemcy (DM)	11,00	55,00	110,00
Szwecja (SKr)	30,00	170,00	330,00
Szwajcaria (FRS)	9,00	48,00	90,00
USA (\$ USA)	5,50	30,00	57,00
Wlk. Brytania (£)	3,00	17,00	33,00

Prenumerata pocztą lotniczą jest droższa o równowartość 70 FF lub 12,5 \$ (prenumerata półroczna) i 140 FF lub 25 \$ (prenumerata roczna). W krajach niewymienionych prenumerata półroczna wynosi — 170 FF, roczna — 330 FF. Numer podwójny kosztuje 50 FF lub 14 \$ AUS, 129 Szyl., 66 DKr, 11 dol. CAN, 50 Nkr, 18,50 DM, 50 SKr, 15 FRS, 9 \$ USA, 5 £.

## PRZEDSTAWICIELSTWA

### AUSTRALIA

Polish Book Depot VISTULA  
King York House  
32, York Street  
Sydney N.S.W. 200

### AUSTRIA

Polnische Buchhandlung  
Księgarnia Polska  
Burggasse 22  
1070 Wien

tel. 0222/938.72.22

konto PSK Wien 722 75 56

### HOLANDIA

*Stawomir Chojecki*  
Postbus 2675  
3500 GR Utrecht

### NIEMCY ZACHODNIE

*Andrzej Wirga*  
Berliner Str. 61  
6500 Mainz 1

### NORWEGIA

*Pawel Gajowniczek*  
Lindebergasen 28c  
1068 Oslo 10

### STANY ZJEDNOCZONE

Polonia Bookstore  
2886 Milwaukee Av.  
Chicago, Ill 60618

### SZWECJA

Solidarities Informationskontor  
i Sverige  
Vasimanngatan 9 III  
11124 Stockholm*Miroslaw Ancypa*Independent Polish Agency  
Box 2113, 220 02 Lund 2,  
tel. 046.14.34.16

### WIELKA BRYTANIA

*Marek Garztecki*  
Voice of Solidarity  
215 Batham High Road  
London S.W. 17

Przedstawiciel VIDEO-KONTAKTU w USA i Kanadzie : *Richard HEITH*  
- 6312 SORREL PL. - SURREY, B.C. - V35 5H7 - Canada

Wpłaty prosimy dokonywać na adres redakcji lub na nasze konto pocztowe :  
KONTAKT CCP PARIS 351140 E

"KONTAKT" można zaprenumerować także przez Minitel  
— kod 3615, hasło POLK, dział « Informacje praktyczne »

800, —